



7 802 267

1

ŚLAWOMIR MROŻEK

# DWA LISTY

I INNE OPOWIADANIA

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1970

ŚLAWOMIR MROŻEK

DWA LISTY

I INNE OPOWIADANIA

881 MOT

IMPRIMERIE EN FRANCE

INSTITUT LITÉRARIEN  
PARIS

---

INSTITUT LITÉRARIEN  
PARIS

---

INSTITUT LITÉRARIEN  
PARIS

1970

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 188

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

SŁAWOMIR MROŻEK

# DWA LISTY

I INNE OPOWIADANIA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1970

SŁAWOMIR MROZEK

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010990948



II 802.267



INSTITUT LITÉRACKI

PARIS

© Copyright by Sławomir Mrozek, Paris, 1970

1970 W 1209/1

*List Pierwszy*

*Szanowny Panie,*

Chciał rozdzielić czas ten, mam nadzieję, że nie stracił  
się na zbędne okazy, lecz że Pan będzie zadowolony  
z tego, że Pan kopie **DWA LISTY** w ten sposób, że Pan  
da Panu w tym czasie, w jakim Pan się tego spodziewa  
i być może wciąż jeszcze obawia.

Znamy, gdybyśmy nawet chcieli uczynić to, przed czym  
pseudopokornie drżał Pan swego czasu, a jak mi Bóg  
miły, nie był to strach niewinnego (nie, nie, wręczem  
to zdanie całkowicie przesłona się Pan, że nie chodzi o  
uczyn) wówczas, jeszcze przed orzeczeniem kogoś, a co do  
sprawy z niewinnego serca, z niewinnego po tych latach  
o Pa, o Pa, o Pa, przez długie lata uził się Pan bez  
poczty, Pan sam powinien zrozumieć, że sprawy oległy  
przekształcają i gdybyś chciał przechować się po dalszej  
wypisze, co przyleciało w związku z Pana osobą, to i tak  
pozostawia trudności zgromadzenia odpowiednich świad-  
ków, ponieważ, proszę. Co przede (o tym nie  
mówiąc, aby jednak zachować w Panu ochotę nieprze-  
nośną) wyznawie że przekazy są do przeczytania.

Razem by Pan zdziwiony do prawdy, domyślając  
się, że zamierzam dotrzeć się od Pana niedościgniętym  
namy oczekiwać, niż odwołując się do nieprzezwyciężonej  
sprawiedliwości.

Rozumiesz, czego Pan sobie oczekiwaj. Nie wątpię,  
że czytając to następnie nie tylko odczujesz Pan nową



## *List Pierwszy*

„Szanowny Panie,

Choć rozdzieliły nas lata, mam nadzieję, że nie staliśmy sobie obojętni. Liczę na to. A jeżeli z niepokojem otwiera Pan kopertę tego listu, to zapewniam, że nie piszę do Pana w tym sensie, w jakim Pan się tego spodziewa i być może wciąż jeszcze obawia.

Zresztą, gdybym nawet chciał uczynić to, przed czym prawdopodobnie drżał Pan swego czasu, a jak mi Bóg miły, nie był to strach niewinnego (nie, nie, wtrąciłem to zdanie mimochodem, przekona się Pan, że nie chowam urazy) wówczas, jeszcze przed otwarciem koperty, a ochłoniąwszy z pierwszego lęku, z pierwszego po tylu latach, o ile, mimo wszystko, przez długie lata czuł się Pan bezpieczny, Pan sam powinien zrozumieć, że sprawy uległy przedawnieniu i gdybym zdołał przechować aż po dzisiaj wszystko, co przeżyłem w związku z Pana osobą, to i tak pozostałyby trudności zgromadzenia odpowiednich świadków, powództwa, procesu. Co prawda (o tym nadmieniam, aby jednak zachować w Panu odrobinę niepewności) wszystkie te przeszkody są do przezwyciężenia.

Bardziej byłby Pan zbliżony do prawdy, domyślając się, że zamierzam domagać się od Pana zadośćuczynień raczej osobiście, niż odwołując się do zorganizowanej sprawiedliwości.

Rozważmy, czego Pan może oczekiwać. Nie wątpię, że czytając co następuje nie tylko odtwarza Pan moją



myśl, ale i odnajduje swoją. Przypomnijmy pewne zdarzenia pewnego okresu naszego życia. Wiem kim Pan był naprawdę i jaki charakter miała Pańska obecność w naszym domu. Wiem nawet, do jakich sposobów Pan sięgnął, żeby uwieść moją żonę. Gdybyż uległa jedynie urokowi Pańskiej osobowości. (Chociaż dziwię się doprawdy, co można było zobaczyć w tej Pana głowie, już wtedy łysej, a co się tyczy uzębienia, nie tyle załatanego, ile jeszcze bardziej popsutego za pomocą sztuczek jakiegoś taniego dentysty — to już z całą pewnością moja wyrozumiałość staje przed nim bezradna). Także pański zwyczaj siorbania przy zupie, którego, mam nadzieję, nie pozbył się Pan do dnia dzisiejszego, poważnie mi utrudnia, nawet przy najlepszej woli, zastosowanie określenia „urocze” w stosunku do pańskiej powierzchowności i manier. Ale szantaż? Proszę wybaczyć, to środek oddziaływania na kobietę nie należący do repertuaru, którym powinien się posługiwać mężczyzna. Ach, gdybym był wiedział, wówczas, na początku, kiedy Pan do nas przybył, zanim jeszcze do tego doszło. Posadziłbym Pana w ogrodzie, w charakterze ogrodowego karła. Wtedy mógłbym zrozumieć, że moja żona uległa jakiemuś odruchowi wyobraźni. A jeszcze gdybym Panu wsadził pióropusz w otwór gębowy, mógłby Pan od biedy przypominać coś romantycznego. Pan mnie rozumie? Łatwiej by mi było znaleźć wytłumaczenie i co za tym idzie, znoś świadomość, że jestem rogaczem. Ale tak? Boże, jaką genialną imaginację posiadają kobiety, jeżeli umieją przybrać i umać jakimikolwiek wyobrażeniami coś tak płaskiego i bezbarwnego jak Pan. I jaką samodzielną, jeżeli im potrzeba tylko pustego terenu, byle jakiej deski, by tym swobodniej na niej szkicować swoje fantastyczne twory. Aż dziwić się należy, dlaczego więcej jest poetów, niż poetek. A teraz, kiedy Pan już wie na pewno, że nic nie uszło mojej uwadze, tym słuszniej Pan się wzdryga przed dalszą lekturą tego listu.

Bo gdybyż chodziło tylko o uwiedzenie. Wtedy za-

trzymalibyśmy się w kręgu pojęć tak złożonych, mielibyśmy do czynienia ze sprawą tak delikatną, kruchą, tajemniczą, że oskarżenie jasne, druzgocące w kategoriach prawnych nie byłoby możliwe. (Czyżby Pan sam pomyślał o pióropuszu? Nie wierzę. To przekracza pańskie możliwości). Jakiegokolwiek były moje osobiste doznania, kontur wydarzeń pozostałby zatarty. Zupełnie jednak inaczej, o wiele prościej, przedstawiłaby się sądowi kradzież pewnej ilości gotówki, (sumy nie wymieniam, choć mógłbym to uczynić bez narażenia się na zarzut drobiazgowości. Sama wysokość tej sumy uwolniłaby mnie od takiego zarzutu), jakiej Pan się dopuścił pod moim dachem. Chociaż, niestety, zaistniała pewna okoliczność, która klasyfikuje pański czyn o tyle wyżej, że nie można go nazwać kradzieżą. Mianowicie dokonał Pan przywłaszczenia sobie gotówki dopiero po uprzednim pobiciu mnie, co sprawia, że był to raczej rabunek niż kradzież. I jeżeli mimo wszystko waham się z przyznaniem pańskiemu postępkowi szlachetnej rangi rabunku, to tylko dlatego, że napaści dokonał Pan znieńacka, pozbawiając mnie tym samym możliwości obrony. Było to raczej wymuszenie.

Rozumiejąc jednak motywy, które kierowały Panem zarówno w wypadku uwiedzenia (bo jeżeli nawet takie bydlę jak Pan, nie pozostało wrażliwe na wdzięk mojej żony, to znaczy, że o ileż wyżej od Pana stojące na szczelbłu rozwoju minerały są w niej bezwątpienia do szaleństwa zakochane), jak i w wypadku przywłaszczenia gotówki (z przeniknięciem pańskich pobudek w tym względzie nie mam żadnych trudności), to co się tyczy następnego czynu, którym wkroczył Pan w moje życie, Bóg mi świadkiem, choć usiłuję być bezstronny, nie umiem znaleźć żadnego wytłumaczenia. Co Pana skłoniło, jaka bezmyślność, żeby zasypiając w pokoju gościnnym, który oddaliśmy Panu do dyspozycji, nie zgasić przed zaśnięciem papierosa. Czy oszczędzałem Panu popielniczek? Czy nie mógł się Pan powstrzymać od palenia w łóżku chociażby ze względu na zdrowie? Jakie lenistwo, jaka karygodna

gnuśność, żeby nie zgasić papierosa jak należy, ale upuścić go na łatwopalny dywanik. O, nie, nie na prześcieradło oczywiście. Wtedy zaistniałaby szansa, że spłonąłby Pan najpierw, a potem dopiero cały dom. Kto wie, czy wówczas, rozważywszy wszystkie za i przeciw, sam bym Pana nie namawiał do umilenia sobie chwili przed nocą ostatnim, ostatnim papierosikiem. Stało się inaczej. Pan zdążył się odziać i wyjść przez okno, a mój dom rodzinny obrócił się w zgliszczą. A swoją drogą jaka zdolność zasypiania od razu, godna pozazdroszczenia, jakie nerwy, lub po prostu ich brak. Naturalnie, to nie Pan wtedy cierpiał na bezsenność. Pan nie miał do tego powodów.

Czy więc niesłusznie zakładam, że niepokój, z jakim Pan sięgnął po ten list, byłby usprawiedliwiony? A teraz, kiedy już dowiedział się Pan z ulgą, że nie mam zamiaru ścigać Pana sędownie, poddaje się Pan z kolei nowej fali lęku, bo nie wie Pan jeszcze, jakiego to żądam zadośćuczynienia. Nie będę skarżył, ale nie skarżąc, mam Pana w rękę. Z góry Pan wie, że trzeba przyjąć moje warunki.

Przyznaję, jestem nieco zakłopotany. Zanim przystąpię do rzeczy, chciałbym Pana przygotować, uprzedzić pańskie zdziwienie, złagodzić je, jeżeli nie mogę zapobiec mu całkowicie. To przykre doprawdy, jak dalece jestem skrępowany obawą, co o mnie pomyślą inni. Tak dalece, że nawet wobec Pana, podkreślam: wobec pana — zależy mi, aby pan powziął o moich intencjach mniemanie chociażby zbliżone do tego, jakim chciałbym je widzieć.

Czy pan pamięta, jakie zachody słońca były wtedy, jakie zmierzchy? (Niech pan nie wymaga, żebym zapytał jeszcze: jakie noce). Wtedy, przed laty. Powie pan: „A co, teraz ich nie ma?”. I będzie pan miał rację. Bo z przyrodniczego punktu widzenia dzisiejsze zachody słońca nie różnią się od dawnych. A w ogóle, czy zachód słońca ma jakieś znaczenie, jeżeli jest się wolnym od konwencji zdawkowego sentymentalizmu i odpustowej estetyki? (O to ja pytam, nie pan). A obaj jesteśmy

od niej wolni, ja, pochlebiam sobie, ponieważ stoję powyżej, pan, ponieważ pan stoi poniżej nawet tak niskiej formy kulturowej. Więc dlaczego wspominam tamte zachody słońca? Przyczyna była w nas. (Błagam, niech pan mi nie odmawia tego „w nas”, choćby to było kłamstwo, choćby pan dla siebie nie widział żadnej różnicy między godziną ósmą popołudniu, w lecie, wtedy, dawno temu i dzisiaj. Dlaczego zależy mi na tym, jeszcze się pan przekona). Widocznie było w nas wtedy więcej życia, niż zdołaliśmy pomieścić w sobie, było go tyle, że wystarczyło na obdzielenie nim nawet tak rozległego, a tak bezwzględnie pustego w istocie swej zjawiska, jakim jest ten wieczorny, astronomiczny proces.

Teraz pan zapyta, co to właściwie znaczy „więcej życia”. Niech pan nie oczekuje wyczerpującej odpowiedzi. Ale mogę pana zapewnić, że było tego życia wtedy bardzo dużo. W jakiż to sposób człowiek może się przekonać, że jest, że istnieje. Zna pan zapewne popularny środek na odzyskanie poczucia rzeczywistości w sytuacjach, kiedy to poczucie się traci. Po prostu człowiek szczypie się w rękę, albo w policzek. Albo w jakieś inne czułe, łatwo dostępne miejsce. Boli? Właśnie o to chodzi, żeby bolało. Właśnie przez ból nawet prosta kucharka, nocą, przerażona promenadą domniemanego ducha w korytarzu, intensyfikuje swoje poczucie istnienia. A co dopiero jednostki o rozwiniętej świadomości, którym proporcjonalnie trudniej bronić się przed atakującą nieprawdą, niedosłownością, nieważkością bytu.

Panie, jak ja wtedy cierpiałem przez pana! To było wspaniałe! Zapewne, później moja żona zdradziła mnie jeszcze kilkakrotnie. Ale jej późniejsi partnerzy byli ludźmi, u których nawet ja mogłem dopatrzeć się jakichś zalet, czy to fizycznych, czy umysłowych. A pan był takim cudownym, całkowitym zerem i przez to, właśnie jak zero, które samo nic nie znacząc w rachunkach tak wiele znaczy, pan tyle znaczył w matematyce moich przeżyć. Był pan nagą strasznością, dzięki panu zderzyłem się

z czymś niezrozumiałym, a jednak istniejącym, z czymś, co powinno nie być, a jednak było. Proszę pana, czy to właśnie nie jest definicją życia?

Bo, proszę pana, wspomniałem o szantażu. Pan dobrze wie, podobnie jak i ja, że to nieprawda. Nie było żadnego szantażu z pana strony. Wymyśliłem sobie ten szantaż, ponieważ zabrakło mi odwagi, żeby przyjąć rzecz dokładnie tak, jaką ona była. Nawet teraz, po latach, nawet jeszcze przed kwadransem, chciałem się pocieszyć, oszukać siebie. Wiem przecież, że pan jej nie szantażował. Patrzyła na pana z zachwytem, kiedy pan siorbał zupę, a ja... Nawet teraz, kiedy o tym piszę... Otóż nie. Kłamię. Najpierw kłamałem, żeby mniej cierpieć. Ale dzisiaj jest to podwójne kłamstwo, bo kiedy przestałem kłamać, przed chwilą, okazało się, że w ogóle już nic mnie nie boli. Ale do tego, właśnie do tego nie chcę się przyznać, jako do ostatecznej klęski. Jak to, czyżby z tego wszystkiego nic nie pozostało, po prostu nic? I kłamię jeszcze przed kwadransem, za pomocą owego pierwszego, służebnego kłamstwa o szantażu, kłamałem, że w ogóle coś czuję, ukrywałem przed sobą prawdę, że dzisiaj to wszystko nic mnie już nie obchodzi.

Bo, proszę pana, mało już życia jest we mnie. Mniej, niż mnie samego. Nie wystarcza go nawet na wypełnienie mojej osoby, a cóż dopiero mówić o ożywieniu całych połaci nieba. Trochę jeszcze życia kołacze się we mnie, lata tu i tam jak zeschnięta fasolka w pustym worku. Dobrze, kiedy o tym zapominam w codziennych okolicznościach, ale trudno mi dzisiaj stanąć twarzą w twarz na przykład z owym nieszczęsnym zachodem słońca, który dawniej służył jako... pan pozwoli, że użyję francuskiego słowa... tak wdzięczny *recipient* mojej obfitości. Trochę, jak postarzały cyrkowy atleta, który unika widoku efektownych ciężarów, ponieważ niegdyś z łatwością i wśród oklasków podnosił je na arenie, a teraz unieść ich nie ma siły.

Widzi pan teraz, że mam prawo pisać „my” i „nas”,

kiedy wspominam przeszłość, choćby pan wtedy tak samo jak i teraz (w co zresztą nie wątpię) patrzył na świat, to znaczy jak baran na łąkę. W jakiś sposób istniał pan przeze mnie, jak i ja przez pana i to jest jeszcze jednym dowodem na jedność wszechświata. Rozumie pan, dlaczego się obawiam, żeby mi pan tego prawa nie zaprzeczył. Zrozumie pan jeszcze lepiej, kiedy pan się dowie, czego żądam od pana, o co bardzo proszę...

Przyjacielu, wróć! Jeżeli w twojej duszy zostały jakieś resztki wyrzutów sumienia, wskazuję ci drogę, na której możesz im zadośćuczynić. Jeżeli nie wzruszy cię moja prośba, jeżeli nie znęca korzyści, to niechaj przynajmniej poczucie, że jesteś mi coś winien skłoni się do powrotu. Moja terażniejszość jest już tak wątła, że już nawet nie zamieni się w przeszłość. Może dzięki tobie znowu będę miał czym zagospodarować nie tylko siebie, ale i ten kawałek wieczornego nieba. Bo na wielkie radości, które mogłyby mnie wskrzesić, podobnie jak cierpienie, już nie ma co liczyć. Nie dlatego, że ich nie szukałem. Nie dlatego nawet, że ich nie znalazłem. Ale dlatego, że one już nie były, nie są i nigdy nie będą naprawdę wielkie. Czy wobec tego możliwe są jeszcze wielkie zmartwienia? Mimo wszystko sądzę, że na nich można najbardziej polegać, chociaż i co do tego gryzie mnie czasami zwątpienie. Wyznaję ci to w szczerości, której jednak nie chcę zanadto do siebie przypuszczać. Zresztą jesteś takim bydlakiem, że, mam nadzieję, okażesz się silniejszym od czasu i twoje łajdactwo zatryumfuje nad mijaniem.

Więc wracaj. Powspominamy dawne dzieje. Żona zawsze kwitnąca, dom, chwała Bogu, odbudowany, a cygarko też się znajdzie”.

## *List Drugi*

„Wielmożny Panie,

W pierwszych słowach mojego listu donoszę, że ja

już jestem niepalący. Moja żona mi nie pozwala, a i płuca mam zajęte. Co się dotyczy przyjazdu, to mnie zwolnienia z biura nie dadzą, bo urlop już wybrałem, chyba że na chorobowy, ale doktor mnie nie uzna, bo tak w ogólności to jestem zdrowy, czego i Państwu życzę, a żona by mnie też samego nie puściła, co najwyżej by my wpadli oboje na jakie święta, ale to też na krótko.

Za to ja bym prosił, żeby mnie pan załatwił przeniesienie do jakiejś innej pracy, bo ja jestem w ciężkiej sytuacji i domek mam na spłaty, to jakby pan miał dla mnie jaką posadę bardzo by mnie zależało.

Jakby pan nie mógł posady, to może jakie stare pajacyki dla dziecka, albo jakie palto dla mnie, co pan już nie nosi, państwo mają dzieci? Bo ja mam parkę, dzieci to jest pociecha, chłopak cały wdał się we mnie.

Albo parę groszy. Za to co pan pisze, to ja pana bardzo przepraszam i mogę wszystko odwołać, niech pan do sądu nie zapodaje, a jakby pan zapodał, to mój szwagier jest w policji.

Po co takie rzeczy wypisywać. To wstyd przed Bogiem, pan jest taki wykształcony, to sam pan wie, że młodość minęła. To nie ten sam wiek, panie, nie ten sam wiek. Grzeszyć nie trzeba.

Jeszcze raz dopraszam się łaski, łączę ukłony dla małżonki pańskiej”.

.....

Na tym urywa się korespondencja.

1961

... Dostał się do Wenecji, na Lido, nad brzegiem morza. Siedział długi, szeroka książka wywypną twarzą, w której grały nogi. Po malej lewej ręce znalazł zwiast, że się dalej dalej czołoby, w serodach-dony

## MONIZA CLAVIER

(Romans)

... Nie spodziewał się, że w drodze, nawet samotnie przemysłoby z miasta. Niepokolem się, że zabrakło w ofiary, gdzie chodzić pieszko — kład wie — może się tak.

... Ale przez urwać, choćby i było na czym — jeszcze gorzej. Kiedy samemu, sprawiałem wrażenie, że mam coś do zabrania, że niktun w domy w jakiejś swojej sprawie. Co prawda, przez nieodpowiedzialność i nikt więcej może nie być. Nic nie sądził. Przeciwnie. Wyobrażał sobie, że ktoś, kto paruje na takie przez spary w ciemności, tak sobie pomyśli.

... „A jeśli to pilną i niezwykle sprawę ten nadej człowiek ma do zabrania, jeżeli tak idzie sam, w takim upale. To nadzwyczajne”.

... I nie tylko nie wywołuje miłości, ale nawet poczucie smutku i cięzkosci.

... W jego świecie walidną teksturą, ale wola, że nigdy, tak, że z daleka nikt by nie zrozumiał, że nie jest on z prawdziwej skóry. W walce — dla niego — a także mowiant, który spary — może być w wola, jeśli nie jedzie w daleka poświe.





## 1.

Działo się to w Wenecji, na Lido, nad brzegiem morza. Szedłem dosyć szeroką ścieżką wysypaną żwirem, w której grzęzły nogi. Po mojej lewej ręce jezdnia asfaltowa, za nią palmy, dalej ogrody, w ogrodach domy z zielonymi okiennicami.

Było bardzo gorąco. Na głowie miałem słomkowy kapelusz opasany czerwoną wstążeczką.

Nie spotykałem żadnych przechodniów. Nawet samochody przemykały z rzadka. Niepokoiłem się, że zabrnąłem w okolicę, gdzie chodzić pieszo — któż wie — może nie należy.

Ale teraz usiąść, choćby i było na czym — jeszcze gorzej. Kiedy szedłem, sprawiałem wrażenie, że mam coś do załatwienia, że mijam te domy w jakiejś swojej sprawie. Co prawda, pora nieodpowiednia i nikt oprócz mnie nie idzie. Nic nie szkodzi. Przeciwnie. Wyobrażałem sobie, że ktoś, kto patrzy na mnie przez szparę w okiennicy, tak sobie pomyśli:

„A jakąż to pilną i niezwykłą sprawę ten młody człowiek ma do załatwienia, jeżeli tak idzie sam, w takim upale. To nadzwyczajne”.

I nie tylko nie wyśmieję mnie, ale nawet poczuje szacunek i ciekawość.

W ręce niosłem walizkę tekturową, ale nową, porządną, tak, że z daleka nikt by nie rozpoznał, że nie jest ona z prawdziwej skóry. W walizce miałem rzeczy osobiste, a także prowiant, który zawsze bierze się ze sobą, kiedy się jedzie w daleką podróż.

Szedłem dosyć szybko, bo ten, kto dokądś zdąży, nie może iść powoli. Miałem także nadzieję, że idąc szybko, szybciej przecież dokądś dojdę.

Powietrze stało nieruchome, bez powiewu. „Co jak co” — mówiłem sobie. — „Może i nie wyleguję się w takim domu jak oni, za zielonymi okiennicami, ale chodzić, to ja potrafię”. Więc jeszcze usilniej szedłem.

A po tym żwirze szczególnie ciężko, niewygodnie się szło. Złość mnie na nich brała. Palmy sobie posadzili, ale porządnego chodnika dla pieszych zrobić nie umieją. U nas palm nie ma, ale za to trotuary są jak należy.

Czasami miałem ochotę zboczyć na jezdnię. Byłoby mi wygodniej. Ale nie wypadało. Pomyślałem, że nie wiem do czego służy chodnik, albo może i nie wolno chodzić po jezdni? W każdym kraju są inne przepisy.

Słońce wysoko, niebo niebieskie, ja idę, jak sierpem rzucił.

Za mną jakieś odgłosy po żwirze, chrzęsty, gęsty tętent. Odwrócić się, czy nie odwrócić? Odwrócić się, to powiedzą, że mi jakieś tętenty dziwne, a przecież ja zamysłony mam być, obojętny, za swoją sprawą. Ale tętenty coraz bliższe. Nie wytrzymałem, odwróciłem się.

Za mną zbliżają się dwaj panowie i jedna pani na koniach. Konie lśniące, przystrzyżone, uprząż na nich lakierowana. A pani, jakiejż piękności kobieta. Złoto-włosa, ciało posągowe. W ręku szpicrutę trzyma i konia zacina. Już są coraz bliżej.

Ustałem z drogi i stanąłem pod jakimś kosmatym drzewem, co ma pień jakby futrem obrośnięty. Tymczasem oni nadjechali i kiedy byli tuż-tuż, koń tej pani, co do tej pory spokojnie kłusował, nagle stanął jak wryty. Widząc to, panowie także cugle ściągnęli i cała trójka o metr się ode mnie zatrzymała.

Pani się uśmiechnęła, poklepała wierzchowca po szyi i coś do niego powiedziała po angielsku. Koń w miejscu przebierał nogami, głową na boki rzucił raz i drugi, ale

nic, nie rusza. Na to jeden pan, przystojny, szpakowaty, z wąsem elegancko przystrzyżonym, opalony, pokazuje na mnie i też mówi coś po angielsku. Pani głową kręci, śmieje się, on znowu coś po angielsku. Ja stoję grzecznie i bokiem, z rysami poważnymi, nawet walizki nie wypuściłem z ręki. Aż widzę, drugi pan, młody, czarny, też bardzo przystojny, z szerokimi barami, z konia zsiada i do mnie podchodzi. Słyszę, mówi coś do mnie i czeka, żebym mu odpowiedział.

Mnie wszystko w głowie zawirowało, no nie umiem po angielsku. Ale jakże tu pokazać, że nie umiem?

Więc natężyłem się.

## 2.

Nie pierwszy to już raz w życiu natężyłem się. Przypomnę jedno zdarzenie.

Żyłem w mieście niezbyt wielkim. Ale też nie najmniejszym. Jadałem obiady w klubie inteligencji. Przychodziła tam stała klientela, a wszyscy inteligentni. Stawali przy barze i zamawiali potrawy, najczęściej pierogi.

Dzień był ciemny i mokry, w tym mieście zdumiewająca ilość dni w roku była ciemna i mokra, wszystko właściwie było jesienią, lato przechodziło tylko, jako nieporozumienie. Wydawało się, że prawdziwe życie zawsze gdzie indziej, poza tym panowała bieda. A nawet nie tyle bieda, ile brak dostatku. Zdarzało się, bardzo rzadko, że ktoś wyjeżdżał na zawsze. Jeszcze chodził po ulicach, jeszcze rozmawiał z nami, ale już był jak obcy. Potem odprowadzaliśmy go na stację. Patrzyliśmy na wagony. Dla nas były to wciąż te same, zwyczajne wagony, dla niego już nie. Ukradkiem myśleliśmy o tym, jakże on sobie myśli o tych wagonach, inaczej niż my. Mglisto, wcześniej zapalono światła. Zamieniliśmy słowa pożegnania. Potem pociąg odjechał.

Wracaliśmy. Na placu, na ulicach mgła coraz gęstsza.

I pytaliśmy się siebie: jak to jest możliwe, że niby coś się stało, a jednak nic się nie stało.

Kiedy stanąłem potem przy barze, zobaczyłem koło siebie tych samych ludzi, których widywałem zawsze. To zdawało się nieprawdopodobne, a jednak tak było. Więc dlaczego nieprawdopodobne, kiedy zwyczajne? Nie umiałem tego rozstrzygnąć i ta myśl mnie dręczyła.

Wtedy przyszło mi do głowy, że przecież musi być jakiś sposób. Natężyłem się więc okropnie, ile miałem sił. I stało się: zaśpiewałem. Ale nie tak zwyczajnie, jak to sobie człowiek czasem podśpiewuje. Zaśpiewałem pięknie, głosem niespodziewanym, głębokim, cudnym, wibrującym. Głowę odrzuciłem do tyłu, nogę założyłem na nogę i łokciem wsparłem się o kontuar. Piosenka była włoska, „O sole mio”. Wszyscy spojrzeli na mnie z najwyższym zdumieniem. Nikt nie wiedział, że ja umiem tak śpiewać, ja także nie. Ja zaś śpiewałem lekko, swobodnie, bo przekroczyłem próg możliwości i niezmierne szczęście mnie ogarnęło. Jednak z zewnątrz musiało się wydawać, że zaśpiewałem ot, tak sobie tylko, mimochodem, jak gdyby po prostu przyszła mi na to ochota. Z filuternym uśmiechem, trochę roztargniony, bo zapatrzony przede wszystkim w piękno mojego śpiewu, trochę nieobecny nieobecnością artysty uniesionego własną sztuką, jednakże dla ludzi życzliwy, niczego im nie skąpiący, dobroduszny, wcale nie odsuwający ich od tejże piękności, której byłem źródłem i władcą.

Dziewka kuchenna, która właśnie niosła sznycle, przystanąła oczarowana, zawołała „O Jezu” i plasnęła w ręce, a półmisek ze sznyclami padł na podłogę. Jak ona, tak zastygli wszyscy, z kęsami na widelcach zawieszonymi w pół drogi, skupili się za mną w tym oczarowaniu, bezwolne, zachwycone stadko, za mną, pasterzem, który prowadził ich w krainę inną.

Już z sali jadalnej dochodziły rumory odsuwanych krzesel, jedni tłoczyli się w drzwiach, a inni ich uciszali: „Pssst, pssst, nie słyszycie, że śpiewa?” Jakaś staruszka

podniosła chusteczkę do oczu, może przypomniałem jej piękne dni młodości, kiedy to ze świeżo poślubionym mężem, podówczas baronem, a dzisiaj nieboszczykiem, przebywała w Sorrento. I tak jestem wśród nich, nieco zawstydzony poklaskiem, bo przecież zacząłem śpiewać tylko dla siebie. Śpiewałem, bo musiałem, bo mi w duszy grało.

Lecz stwierdziłem, że już od chwili nie śpiewało mi się najlepiej. Jak gdybym przeciągając dłonią po gładkiej desce natrafił nagle na drzazgę, na zadziór, chropowatość. Opór pochodził z ciemnego kąta, między kontuarem a ścianą. Snuł się stamtąd cienko, ale niewzruszenie. Stał w tym kącie człowiek nieokreślony, skromnie odziany. Widziałem go już tysiąc razy, w tym samym miejscu, o tej samej porze. Jak zawsze, tak i teraz jadł pierogi, zwrócony do mnie bokiem. Tylko pierogom był poświęcony, na mnie nie zwracał uwagi. Ach, gdybym jeszcze miał to wrażenie, że on nie chce, jest przeciw mnie, dąsa się... Ale nie, on nie zwracał w ogóle uwagi na mnie i jadł te swoje pierogi.

Żeby nie poczuć się zupełnie odepchniętym, musiałem przypuścić, że on jest głuchy. Postanowiłem więc podsunąć mu się jak kwiat, który widząc, że miłośnicy natury nie dostrzegają go w zaroślach, wybiega na ścieżkę i sam, z dobrego serca podsuwa się do wachania.

Ruszyłem w jego stronę na modłę śpiewaków z filmów muzycznych, którzy — gdy idą rozśpiewani, dajmy na to, przez miasteczko — to dzieciakowi czuprynkę rozburzą, to osiołka po grzbiecie poklepią, dalej się puszczą, młodą praczkę, co wiesza bieliznę, pod brodę wezmą, dalej idą, na płocie przysiadą zgrabnie jednym skokiem, a wszystko to nie przestając śpiewać. I dopiero kiedy skosem zbliżałem się do kąta, w którym tamten w dalszym ciągu jadł te pierogi, wyciągnąłem końcową frazę i uciałem nagle. Cisza zadzwoniła. Skupiłem się w sobie i popłynęły odmienne, tęskne tony „Indyjskiej pieśni miłosnej”.

Śpiewałem mu prosto między talerz a podbródek. Nabił pieroga na widelec i wzniosł, nasiliłem głos namiętnie, ale wznoszony pieróg przedarł się gładko przez strumień mojej pieśni. Waliłem dźwiękami w to ucho, wcale nie różniące się od innych uszu, pomijając drobne, osobnicze cechy w jego rzeźbie. Ale ono było jak lej, prowadzący do otchłani tajemniczej, w której przepadała moja pieśń. Cała moja potęga rwała w tę małżowinę, wszystko na nic i tak, jak ja cały śpiewałem, tak on cały jadł swoje pierogi. Nie zwracał na mnie uwagi.

Położenie stało się nieznośne. Czułem, że się wyczerpuję, ale nie mogłem przestać. Gdybym teraz odwrócił się i odszedł, zostawił go tak, jedzącego... to było nie do pomyślenia. Więc postawiłem wszystko na jedną kartę. Urwałem „Indyjską pieśń miłosną”, założyłem ręce na piersi, przysiadłem i wyrzucając to jedną, to drugą nogę, puściłem się w kozaki, hopaki, prysiuady, „hu-ha, hu-ha” dziko wykrzykując, a przyśpiewując sobie z werwą szaleńczą, nieokiełznaną. Wprost do niego, niedwuznacznie, zawiadiacko, stepowo. Jeżeli nawet był głuchy, to na pewno nie był ślepy. Kurz się podniósł z podłogi, a ja tańczyłem ku niemu, jak parobczak, co na weselu, czapką o obcas trzasnąwszy, w młodzieńczym zapamiętaniu, w podskokach i przysiadach nieprawdopodobnych w rytm muzyki ku wybranej dziewczynie się puszcza, przed nią cudów dokazuje i w ten sposób do tańca i miłości ją zaprasza.

Na próżno szalałem. Nie drgnął pieróg, nie wypadł z orbity. Nie zwróciła się do mnie głowa, nie wyprostowały plecy w jesionce, zgarbione nad talerzem. Wnet rozboleły mnie nogi, poty buchnęły na ciało, oddech zaraz się urwał. On zaś, kiedy ostatni pieróg przeniósł ze stanu pierożeństwa w stan jakiś inny, tylko skórką od chleba masło roztopione z talerza wytarł, skórkę zjadł spokojnie i po kawałku. A mnie jeszcze twarz rozbawioną, zuchowatą, w tym tańcu okropnym zachować przyszło, włosy sobie rozburzać, niby to z radości niepohamowanej. Od ściany do ściany tak się miotałem, junackie „hu-ha, hu-

ha” wciąż z siebie wydając, kiedy tylko rozpacz we mnie była, bo zrozumiałem, że na próżno ku niemu tańczę.

Tamtych wciągnąłem w zapamiętanie. Bili w dłonie, do taktu moim pohukiwaniami i prysiodom, a niektórzy już sami wyginać się zaczęli, nieśmiało, lecz coraz odważniej nóżkami przytupywać, a jeden profesor nawet kamazkami całkiem na dobre drobił, bo się rozpałał.

Ale co mi tamci, tamci już od dawna byli moi. Ten jeden był mi potrzebny, potrzebowałem go, jak życia samego, a on nic, nic.

Wreszcie, o czynności prosta, zdumiewająca, że taka pospolita, a taka straszliwa, niewiarygodna przez swoje normalne dokonanie, taka, której tylko bezsilne „nie, nie” krzyczeć można, choć niby dlaczego nie, kiedy taka zwyczajna, wstał i wyszedł.

Ja jeszcze kilka razy nogami przebrałem, coraz niemrawiej, jak konający karakon obrócony na grzbiet. Jeszcze przytupnąłem raz, czy dwa, choć „hu-ha” mi zwiędło, opadło jakoś, „hu-ha” powtórzyłem, „ha-ha” znowu, potem coraz ciszej, w coraz większych odstępach czasu, wreszcie szeptem. Wyprostowałem się na chwiejnych nogach, niepewny, czy mam jeszcze własne kolana. Powlokłem się do kontuaru. Kurz opadać zaczął. Dookoła twarze, którym nie patrzyłem w oczy. „Ile płacę?” zapytałem. Tyle a tyle. Zapłaciłem, wyszedłem.

### 3.

Natężywszy się, zrozumiałem co do mnie mówił ten młody:

— Prosimy pana uprzejmie, żeby pan zdjął ten kapelus. Wierzchowiec Miss Clavier spłoszył się i nie pójdzie dalej, jeżeli nie zdejmie pan kapelusza.

Zazwyczaj miałbym wiele kłopotu z zachowaniem się w takiej sytuacji. Ale teraz z lot znalazłem odpowiedź. Postawiłem walizkę na żwirze i podszedłem do amazonki.



Koń zastrzygł uszami, przysiadł na zadzie i wytrzeszczył oczy.

— Pani — powiedziałem swobodną angielszczyzną. — Jest mi niezmiernie przykro, że mój kapelusz stał się przyczyną tego zajścia. Proszę przyjąć wyrazy ubolewania. Niemniej jednak, jeżeli zdejmę kapelusz, to nie przed koniem, ale przed panią, w hołdzie dla jej piękności.

To mówiąc, obnażyłem głowę i skłoniłem się.

Pani zaśmiała się i zaczerwieniła lekko.

— Ależ co znowu — zawołała. — Czyżby pan porównywał moją Elizę ze mną? Proszę tylko spojrzeć, jaka ona cudowna, to wygięcie szyi, ten chód. — I poklepała zwierzę po karku.

— Monizo — odezwał się starszy gentleman. — Zdajesz się zapominać, że czekają na nas w Excelsiorze. Ruszajmy. Dziękuję panu — zwrócił się do mnie chłodno.

— Pan, o ile się nie mylę, też w stronę Excelsioru? — zapytała mnie, nie odpowiadając starszemu.

— Owszem, poniekąd — odparłem.

— Doskonale, możemy więc pojechać razem!

— Ależ Monizo, pan idzie na piechotę! — Zauważył tamten podniesionym głosem.

— Wobec tego niech Mike zsiądzie i odstąpi mu wierzchowca. Zaczeka tutaj, a my prześlemy po niego Vladysłava.

Tak zaczęła się wielka miłość do mnie Monizy Clavier, aktorki filmowej znanej na całym świecie.

#### 4.

Chociaż Moniza nalegała, żebym przeniósł się do Excelsioru, odmówiłem. Wtedy, po pierwszym spotkaniu, rozstaliśmy się przed hotelem. Najpierw Moniza proponowała, żebyśmy poczekali w hallu, aż szofer Vladysłav wróci z moją walizką i z Mike'm. Sprzeciwiłem się jednak grzecznie, pomny zasady, że nie należy narzucać

się świeżo poznanym znajomym, a także, że im chłodniejszym się jest wobec kobiet, tym bardziej przywiązuje się je do siebie. Powiedziałem więc, że poczekam przed hotelem. Moniza kazała wynieść trzy krzesła, ja jednak z godnością oświadczyłem, że postoję. Starszy gentleman nie opuszczał nas ani na chwilę, dopiero kiedy Moniza posłała go do apartamentu po flakon wody kolońskiej, odszedł, choć niechętnie, i zostawił nas samym. Wtedy Moniza zapytała pośpiesznie jak długo zamierzam pozostać jeszcze w Wenecji. Odparłem, że nie wiem jeszcze dokładnie, ponieważ to zależy od stanu moich interesów. Nie określiłem ich jednak bliżej, tylko dałem do zrozumienia, że są to sprawy poważne i złożone. W istocie nie miałem w Wenecji żadnych spraw do załatwienia, ani w Wenecji, ani gdzie indziej, ale nie wydawało mi się słuszne przyznawać się do tego. Staliśmy więc tak przed Excelsiorem, a zauważyłem, że wszyscy wpatrują się w Monizę z ciekawością i uwielbieniem, przy okazji przyglądając się i mnie i gubiąc się zapewne w domysłach, kim jestem i jak się to stało, że tak poufale gawędzę z gwiazdą znaną i ubóstwianą na wszystkich kontynentach. Kiedy Moniza dowiedziała się, że pochodzę ze wschodu, przy czym nie określiłem bliżej mojego kraju, jej zainteresowanie było bardzo żywe. Zażądała, żebym jej dokładniej opisał krajobraz stepowy, o którym tyle słyszała. Zatoczyłem ręką szeroki krąg, mówiąc: „At, daleko, daleko...”, na co zaświeciły się jej oczy jak gwiazdy i wyznała, że dusi się w ciasnych ramach cywilizacji. Wtedy ukazał się u wyjścia z hotelu jej towarzysz, niosąc flakonik. Zapytała szybko, czy jestem zadowolony z hotelu, w którym mieszkam i dodała, że Excelsior jest wprawdzie nudny, jako modny hotel światowej socjety, ale zapewnia wszelkie wygody. Odparłem na to, że my, ludzie wschodu, przyzwyczajeni jesteśmy do życia prostego, nie dbamy o komfort, zaś moje interesy łączą się w jakiś sposób z siedzibą, którą obrałem. Na poparcie moich słów wspomniałem o starodawnym zwyczaju wkła-

dania surowego mięsa pod siodło i pędzenia potem przez cały dzień galopem, aż mięso skruszeje i nadaje się do spożycia. Nadszedł szpakowaty gentleman i podał jej flakonik, który ona przyjęła obojętnie i nawet mu nie podziękowała. Jednocześnie na zakręcie ukazał się Chrysler, wiozący moją walizkę i Mike'a. Vladyslav wyskoczył, zdjął czapkę, przytrzymał ją przy piersi i otworzył Mike'owi drzwi, a następnie wyciągnął moją walizkę z bagażnika. Bałem się, że walizka się otworzy i wszystko się z niej wysypie, bo jeden zamek był zepsuty i tylko ja wiedziałem, jak się z nim obchodzić. Na szczęście nic takiego się nie stało. Podniosłem walizkę i podziękowałem za wszystko. Nastąpiła kłopotliwa chwila.

— Chwileczkę Jerry — zwróciła się Moniza do starszego gentlemana, z nerwowym ożywieniem i sztuczną swobodą. — Dlaczego by nie zaprosić pana na dzisiejszy wieczór? Mamy dzisiaj przyjęcie z okazji festiwalu — wyjaśniła. — Okropne nudy, ale niech mi będzie wolno narazić pana na to nudziarstwo, proszę to zrobić dla mnie. Czy ma pan wolny wieczór? Później moglibyśmy się zabawić w swoim kółku.

Podziękowałem za to zaproszenie, dodając, że o ile nic niespodziewanego mnie nie zaskoczy — była to aluzja do moich tajemniczych i skomplikowanych zajęć w Wenecji — nie omieszkać skorzystać. Po czym skłoniłem się i odrzucając propozycję, aby Vladyslav odwiózł mnie dokąd sobie życzę, ponieważ samochodu używam tylko w wyjątkowych wypadkach — oddaliłem się, przebywając przestrzeń koło gazonu w miarę możliwości sprężyście. Dopiero kiedy byłem już w alei, zerknąłem za siebie nieznacznie, Moniza stała jeszcze przed Excelsiorem i patrzyła za mną.

Resztę dnia spędziłem w rozterce i zmiennych nastrojach. To chciałem zrezygnować z zaproszenia i w ten sposób zniknąć na zawsze z życia Monizy, pozostawiając za sobą żal, ale i cierpką satysfakcję niespełnionego marzenia, a bałem się także, że nie podołam wymaganiom sta-

wianym gościowi na tak wykwintnym i światowym przyjęciu, że pryśnie czar, który niewątpliwie rzuciłem na Monizę — to znowu decydowałem się pójść i kontynuować tę niezwykłą znajomość. W Wenecji, jak już powiedziałem, nie miałem żadnych interesów, ani zajęć. Przyjechałem tego samego dnia, jako skromny turysta o nader ograniczonych środkach. Choć dotąd błąkałem się bez celu, oszołomiony wszystkim, miałem nadzieję, czasem jakże trudną do utrzymania, że mimo wszystko we mnie, biednym i nieznanym, nieobytym, młodym, z dalekiego i nieważnego kraju, jest coś co czeka tylko na okazję, żeby się ujawnić i dorównać temu wielkiemu światu. Nie tylko dorównać, ale i przewyższyć. Walka o własną godność jest najtrudniejszym zadaniem dla każdego, podobnego mnie, w podobnej sytuacji. Walczyć można rozmaicie, a jeżeli walczyć się nie da, trzeba pogardzać. Od samego rana walczyłem i pogardzałem Wenecją przy pomocy kabanosa.

Kabanos jest to rodzaj suszonej wędliny, popularnej w moim kraju, raczej nieznaną gdzie indziej. Cieszy się dużym uznaniem wśród moich rodaków udających się za granicę, nie waży wiele w stosunku do objętości, można więc przewozić znaczny jego zapas, nie psuje się szybko, więc długo można się nim żywić. Kabanos stanowił znaczną część zawartości mojej tekturowej walizki.

Kabanos był więc odrębną specjalnością mojego kraju i nie widziałem go tutaj na wystawach i kramach. Choć mijałem stopy ryb przeróżnych, różowych krabów i nieznanymi mi morskimi stworami, to jednak nie dostrzegałem między nimi kabanosa. Mijałem salami i balerony, szynki przeróżne, lecz kabanosa nie było między nimi. Tylko ja posiadałem kabanos, tylko ja niosłem w mojej walizce specjalność odrębną, której tubylcy nie posiadali. Nie mogli nawet wiedzieć, czy lubią kabanos, czy nie, bo go nie znali. Więc kabanos służył mi jako tarcza i kopia. Przy jego pomocy odpierałem ciosy wymierzane mi przez bogactwo stołów, kipiące aż na ulicę śnieżnymi obrusami,

kwiatami i koszami owoców, smugami zapachów. Sam także nacierałem mówiąc do siebie w myśli z chytrym i dumnym jednocześnie uśmieszkiem: „Cóż z tego. Oni nie mają kabanosa”.

Niestety, kabanosy jadłem już od trzech dni, rano w południe i wieczór. I coraz trudniej mi przychodziło przekonywać się, kiedy przysiadłem na jakiejś ławce, na jakimś murku i pojadałem kabanosa z papieru, że to jest produkt smaczny i że chciałbym go jadać do końca życia. Kabanos wymagał, żeby go nie nadużywać, jeżeli miał służyć.

I kiedy w obliczu laguny, mając przed sobą czarne gondole, miotane falą, za plecami zaś Pałac Dożów — jadłem ten kabanos w przeklętym z nim małżeństwie — przypominałem sobie owe pierożki, przy których akompaniamencie niegdyś śpiewałem. Wtedy pomiędzy pierożkami z przeszłości, a tutejszą sałatą, jednego i drugiego pozbawiony, za jednym tęskniłem, drugiego pożyłem.

Kabanos zresztą zdecydował, że tego wieczoru poszedłem na przyjęcie do Monizy Clavier.

Powtarzam, że wahałem się, czy przyjąć jej zaproszenie, z lęku, że kompromitując się podczas przyjęcia, stracę te awanse, które już mnie spotkały. Aby je zachować, wolałem zrezygnować z dalszych zdobyczy. Jak w hazardzie, w którym poszczęściło się na początku, ale nic nie zapewnia sukcesu przy podwojeniu stawki. Nędznym zawsze byłem graczem, ostrożnym. Nieoczekiwana utrata kabanosa przepędziła moją ospałość, mój gnuśny strach i postawiła mnie w sytuacji ostatecznej.

Nie, nie wpadł mi kabanos do wody, ani mi go nie ukradziono. Popołudnie miało się już ku zmierzchowi, kiedy, zmęczony pomimo mojej przekornej młodości, powłócząc nogami i nie starając się już zachować pozorów, zobaczyłem wiszący na haku przed masarnią olbrzymi baleron. Był takiej wielkości, że chyba służył celom nie tylko reklamowym, ale także metafizycznym. Tryumf rozszalałej wędlinności, wykraczającej poza siebie samą.

Ten niby baleron miał z półtora metra długości, zaś szerokość dębu. Równie jak dąb sędziwy oszczędziały, zapakowany był ten baleron w pergamin, obwiązany mocnymi, zatłuszczonymi sznurami.

Nic przeciwko niemu nie wskórał kabanos, który choć odrębny i specjalny — był tylko zwyczajną wędliną, niczym więcej. Wytrącono mi broń z ręki. Nie było innej rady, jak na oślep rzucić się ku temu światu, zewrzeć się z nim wręcz, pokonać go, lub zginać. A właśnie ten świat otwierał mi swoje objęcia szeroko dzisiejszego wieczoru, już za kilka godzin. Przyjście u Monizy Clavier.

## 5.

Na początku wyłoniły się dwie trudności: nie miałem odpowiedniego stroju i nie wiedziałem, jak się wydostać z tłumu, otaczającego Excelsior, przejść przez kordon policjantów w galowych mundurach, w białych rękawiczkach i lakierowanych pasach, z lampasami i szablami, a potem jak wytłumaczyć służbie, że należę do grona zaproszonych gości. Nie otrzymałem zaproszenia na piśmie, widocznie Moniza uważała moją obecność na przyjęciu za sprawę oczywistą i nie wymagającą takich formalności. Wnet jednak trudność pierwszą, polegającą na braku odpowiedniego stroju, obróciłem na swoją korzyść. Nie należałem do nich, byłem przybyszem z obcych stron, stepowym synem, więc noszalancja, z jaką miałem się zjawić na przyjęciu w moim starym ubraniu, wymiętym w ciągu trzech dni podróży, podkreślała tylko mój urok, wyrażała moją niezależność wobec form światowych, wolność od zwyczajów, które ich krępowały a mnie nie dotyczyły.

Trudność następna także się rozwiązała, dzięki temu, że Moniza jednak myślała o mnie nieustannie. Kiedy stałem w tłumie, ściskając walizkę, wpatrzony w przestrzeń światła, tam gdzie był fronton hotelu i podjazd, gdzie co chwila z czerni samochodów wyłaniały się piękne panie

i panowie w białych gorsach, zauważyłem ponad niebieskim ramieniem policjanta — Mike'a, przechadzającego się z ponurym wyrazem twarzy po wewnętrznym obrębie tego świetlistego kręgu, szukającego kogoś w tłumie. Tym kimś bezwątpienia byłem ja. Moniza wysłała go na spotkanie ze mną. Podniosłem rękę i pokiwałem nią, ale mnie nie zauważył, więc mocniej ścisnąwszy walizkę w garści wystąpiłem naprzód. Już miał mnie galowy policjant wpędzić z powrotem w anonimowość, ale Mike dostrzegł to małe zamieszanie, ruszył ku nam i wprowadził mnie w krąg światła i znakomitości. Czułem na sobie spojrzenia tłumu, kiedy tak szliśmy w stronę hotelu, który był jak szklana kula z zamkniętą w środku grotą kryształową. W hallu Mike odebrał ode mnie walizkę i przekazał ją służącemu, potem szliśmy dalej, do ogrodów za hotelem, gdzie odbywało się przyjęcie. Niepokój o walizkę kazał mi zapomnieć o strachu, jaki odczuwałem, pomimo całego napięcia się, przed oczekującą mnie próbą. Dyskretnie odwracałem głowę, starając się zobaczyć, co się z nią stanie, służący jednak zniknął w hotelowym gąszczu i nie pozostało mi nic innego, jak tylko poleciwszy walizkę opiece boskiej, podążać za Mike'm.

Weszliśmy w sferę rozlicznych świateł, lampionów i reflektorów przemyślnie ukrytych w krzewach, między panie i panów stojących naprzeciw siebie z kieliszkami w rękach, pełno tu było śmiechu, gwaru i ożywienia.

Mike powiedział, że Moniza zaraz się ukaze, żebym czuł się, jak u siebie w domu. Skinąłem głową na znak, że jest to samopoczucie dla mnie tak oczywiste, że nie warto nawet wzmianki. Potem on odszedł, zostawiając mnie samego. Od razu wybrałem sobie kącik za palmą, mający tę zaletę, że pozwalał mi znaleźć się na uboczu, a jednocześnie obok stolika, na którym zgromadzono napoje. Bo postanowiłem pokrzepić się od razu, niepewny, czy napięcie, mimo że znaczne, odpowiednio do sytuacji, zagwarantuje mi lekkość i swobodę ruchów i wypowiedzi. Usiadłem wygodnie na krześle ogrodowym, a służba

rzuciła się, żeby zażegnać grozę niewiedzy o moich życzeniach.

Prawdopodobnie, kierowany obawą, że nie dość szybko wprowadzę się w odpowiedni nastrój i nie będę należycie przygotowany, kiedy przyjdzie mi wystąpić publicznie, zabrałem się już do pierwszej szklanki zbyt pośpiesznie. Jakież to jednak mogło mieć znaczenie, jeśli już po chwili poczułem się odprężony, a nade wszystko zwolniony z wątpliwości, jakie wrażenie sprawiam na służbie. Wszyscy garnęli się do towarzystwa, rozmawiali, pozdrawiali się między sobą, słowem zachowywali się tak, jak to zalecał mi Mike: czuli się jak u siebie w domu. Ja jeden siedziałem na uboczu. Wnet jednak doszedłem do wniosku, że skoro zostałem zaproszony na tak ekskluzywne przyjęcie, to niewątpliwie przedstawiam się oczom służby jak ktoś równie ważny, co tamci, a co więcej, jeżeli tak siedzę sobie, to widocznie mam jakieś sprawy do przemyślenia, których tamci nie mają, jakąś nową rolę w filmie, albo nawet reżyserię. Starłem się więc siedzieć jeszcze bardziej poważnie, w oderwaniu od płaskiej wesołości, zamyślając się.

Wnet jednak spostrzegłem, że po drugiej stronie palmy formuje się ośrodek towarzyski całego przyjęcia. Nie bez wzruszenia poznawałem twarze znane mi z okładek czasopism filmowych i magazynów ilustrowanych. Przybywało ich coraz więcej, coraz piękniejsze były tam kobiety, coraz głośniej i weselej rozmawiano, śmiechy rozbrzmiewały, swawolenia. Sprawiali wrażenie starych znajomych, pewnych siebie, na nic poza sobą nie zwracali uwagi, czym boleśnie mi uświadomiali, że ja, pomimo całego mojego natężenia wciąż przebywam na zewnątrz, podczas kiedy oni są w samym środku świata.

Ta ich pewność siebie, ta ich niezależność, zaczynały mnie drażnić. To ja tutaj siedzę zamyślony, głęboki, kto wie, jakie mam problemy, na co wskazuje choćby częste sięganie po szklankę, a oni tam się śmieją, płytcy i powierzchowni. I co? I mają być ważniejsi? Na nich kieruje



się uwaga wszystkich zaproszonych, ku nim błyskają co chwila flesze, jak błyskawice burzy, która nie zniszczenie przynosi, ale deszcz pieniędzy i tęczę sławy, podczas kiedy ja siedzę, wzniosły i pogardliwy, nie dbający o uwagę ludzi, i ludzie rzeczywiście nie zwracają na mnie uwagi. Choć powinno to być logiczne, wcale nie wydało mi się sprawiedliwe. Gorycz we mnie wezbrała i poczucie krzywdy. Więc głębia, myśl, oryginalność, wszystko to się nie liczy w tym skorumpowanym, goniącym za pozorami świecie? „Blichtr, blichtr” powtarzałem ze wzgardą. „Blichtr i błyskotki”.

W tym momencie zacząłem myśleć społecznie, jak to zwykle bywa, kiedy jednostka sama nie jest w stanie uzyskać dla siebie satysfakcji. Ukazałem się sobie nie jako jednostka, ale jako przedstawiciel obrażonej społeczności. Jako syn narodu północnego, surowego, doświadczonego przez historię, z odrębnością swoją, z mądrością swoistą, drogo zapłaconą, niedostępną innym, jak kabanos. „Ha” — pomyślałem sobie — „Śmiejcie się, śmiejcie, jestem jak pomnik, u stóp którego bawią się dzieci”. I znowu palnąłem sobie szklaneczkę na ich rachunek.

Jak gdyby posłuchali mojego wezwania, bo śmiali się rzeczywiście coraz głośniej. I pomimo, że sam ich do tego wezwałem, i dlatego nie powinienem z tego powodu odczuwać jeszcze większego rozdrażnienia, odczuwałem je jednak. Było to bowiem wezwanie ironiczne, czyli takie, które według wzywającego powinno być przyjęte przez wezwanego na opak, więc powiększa rozdrażnianie wzywającego niesłuchanie, jeżeli wzywany przyjmie je dosłownie. Nic tak nie złościło mojego ojca, jak kiedy zawołał do mnie ironicznie na widok mizernego świadectwa szkolnego: „Tylko tak dalej, tylko tak dalej”, znajdował później, że moje następne świadectwo było równie mizerne.

Na domiar złego Moniza nie nadchodziła. Po południu, kiedy błąkałem się po Wenecji, nie mogłem wyjść ze zdziwienia, dlaczego moje spotkanie z nią w alei przy-

brało dla mnie obrót tak pochlebny, ale właśnie przez to tak nieoczekiwany. Czy to miał być jakiś podstęp? Nie mogłem wprost zrozumieć, dlaczego w ogóle zwróciła na mnie uwagę, nie mówiąc już o uczuciu, którego tak wyraźne, choć zamaskowane dowody dawała mi podczas naszej rozmowy i tymczasowego pożegnania. Bo chociaż pycha, do dziś nie wiem skąd zrodzona, kazała mi sądzić, że należą mi się wszystkie skarby świata i Szatan kuszący na górze nie miałby ze mną żadnych trudności — to jednak pycha ta unosiła się nad moją duszą tylko jako niepewna, a ponura zorza, nie miała ani ciała ani nóg i kiedy zmieniało się coś w prawach mojej wewnętrznej optyki i znikająca ta grzeszna poświata wtrącałem się w najczarniejszą rozpacz i pewność, że jestem najnędniejszym stworzeniem na ziemi. Teraz zaś samo tylko, przypadkowe, przedłużenie się jej nieobecności uważałem za niegodziwość, więcej, niemal za zdradę, jakby łączyły nas od dawna śluby i przysięgi. A wszystko dlatego, że była mi ona potrzebna, przy jej pomocy mógłbym uzyskać nawet przewagę nad tamtymi, może nawet olśnić ich, bo ukazanie się z nią, ukazanie jej do mnie uczuć, na pewno było niezwykłym awantazem, dla niewielu dostępnym.

Ona jednak nie zjawiała się. Na próżno, żeby polepszyć samopoczucie, przywoływałem w pamięci jej uśmiechy, wyraz jej oczu, kiedy zwracała się do mnie, a nawet doszukiwałem się w tym wszystkim znaczeń i obietnic jeszcze wyrazistszych, niż miałem do tego prawo. Tym większe miałem do niej pretensje, że wciąż nie nadchodziła. Popadłem wreszcie w rodzaj nienawiści do niej i zacząłem się wyszukiwaniem kar, jakimi ją potraktuję za jej nieobecność, za zdradę, kiedy wreszcie nadejdzie. Ale nie nadchodziła. Widziałem już siebie, jak zimny i obojętny, odrzucam wszelkie jej błagania o pojednanie. Przy okazji wpędziłem się jednak w rozpacz, że ją tracę, i tak — podniecony znaczną już ilością wypitego alkoholu — znalazłem się w stanie, w którym byłem zdolny do czynu desperackiego. A nawet takiego czynu pożądałem.

Ktoś opowiedział jakąś anegdotę. Nie znałem ani osób, których dotyczyła, ani okoliczności, ale to właśnie mnie rozjuszyło na dobre. Tymczasem wszyscy pokładali się ze śmiechu. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że znajduję się na nogach, krzesło zostało za mną. Zateśniłem za nim, jak za przytulną chatką tęskni wędrowiec podczas zamieci, ale opanowanie kroku pochłonęło moją uwagę jako najważniejszy problem, a poczucie nieodwołalności, świadomość mostów spalonych za sobą dało mi nieznaną przedtem moc i pewność działania. Wkroczyłem w środek rozbawionego towarzystwa.

— O tu! — krzyknąłem, szeroko otwierając jamę ustną i wskazując palcem na zęby trzonowe. — O tu, wybili panie, za wolność wybili!

Nastąpiło zamieszanie. Ucichli, patrzyli się na mnie, nie mogąc zrozumieć o co mi chodzi. A przecież chciałem tylko uprzytomnić im w sposób jasny i przystępny, niejako poglądowy, cierpienia mojego narodu. To, że najwidoczniej nie doceniali martyrologii, bardzo mnie rozgniewało.

— Popatrz pan — powiedziałem podchodząc do jednego grubego i szerzej otwierając usta. — Tu, aao...

Gruby chrząknął i odwrócił wzrok. „Przepraszam”, powiedział i odszedł.

Rzuciłem się więc do następnego z kolei, tak samo demonstrując.

— Tu, o! Brakuje, wybili panie, za wolność! O, o, o!

Ale i ten odsunął się ode mnie. Zobaczyłem, że towarzystwo się rozprasza. Przyszło mi do głowy, że może nie widzą dobrze co im pokazuję w tym niedostatecznym oświetleniu. Więc puściłem się za nimi umykającymi coraz pośpieszniej. Oni jednak znikali mi z oczu, ukrywali się w płataninie ścieżek, za parawanami śródziemnomorskiej roślinności. Miotąłem się w sieci światła i zieleni. Po tym rajskim ogrodzie niosło się długo moje wołanie, ni to skarga, ni to żądanie:

— Wybili panie, za wolność wybili...

Obudziłem się ze strasznym bólem głowy, w półmroku, w jakimś pokoju o bardzo wysokim suficie. Przez zaciągnięte firanki przenikało łagodne światło. Na sobie miałem piżamę jedwabną, z kolorowym emblematem wyszywanym na piersi, z literami, które z trudem złożyłem w słowa, bo musiałem je czytać do góry nogami i męciło mi się w głowie: YALE BOYS.

Leżałem na łóżku szerokim i wygodnym. W głębi pokoju znajdowały się jakieś osoby. Zaniepokoiłem się o moją walizkę. Gdzie ona jest, co się z nią stało?

— Śpi? — usłyszałem.

— Cicho... — powiedziała druga osoba. — Jeszcze śpi, nie budźmy go.

Zamknąłem oczy. Ktoś ostrożnie podszedł do łóżka i pochylił się nade mną. Poczulem zapach perfum. Poprawiono mi delikatnie poduszkę. Otworzyłem nieco jedno oko i zobaczyłem nad sobą zielone wzgórza urodzajnego kraju, Monizę Clavier w szmaragdowej sukni. Zamknąłem oko czym prędzej.

— *Good boy* — powiedział głos męski ze sportowym uznaniem.

Teraz otworzyłem drugie oko, bo pierwsze było już zbolełe od światła, które, choć przesączone przez firankę, kłuło mnie w źrenicę. Zdziwiłem się, rozpoznając szpakowatego gentlemiana z przystrzyżonym wąsem. Dotąd nie był mi on przychylny.

Kiedy wyszli, odczekałem jeszcze chwilę, żeby się upewnić, czy rzeczywiście zostawili mnie samego. Ostrożnie zabrałem się do wstawania. Wreszcie przebyłem pokój, obszar bezmierny, dotarłem aż do okna i mrużąc oczy wstawiłem głowę między ścianę a firankę. Kiedy minął pierwszy ból w oczodołach, rozpoznałem gazon i placyk przed hotelem, na którym wczoraj jeszcze stałem w tłumie widzów, ściskając w ręku walizkę.

Pogoda była nieznośnie błękitna. Cały ten widok nie

składał mi się jakoś, kaleczył mnie, jak szkło rozbite.

Teraz też tłumek stał przed hotelem, ale jakiś szczególny. Byli to prawie sami mężczyźni, każdy niósł aparat fotograficzny, albo filmowy, a niektórzy nawet po dwa. Wyglądali jak oddział żołnierzy bez mundurów. Palili papierosy, przechadzali się, albo stali w miejscu i patrzyli w niebo, jak mi się wydawało. Poprawiali na sobie rzemienne pasy, ładunki, skrzynki i statywy.

Ubrałem się i wyrząłem ukradkiem na korytarz. Pusto. Tylko gdzieś tam paliły się jakieś tajemnicze światełka, sygnalizacja dla służby. Walizkę postanowiłem zostawić na łaskę losu, później to jakoś załatwić, ewentualnie korespondencyjnie, a teraz uciekać.

Zszedłem po schodach. Przede mną hall się otworzył, z czujnym okiem recepcji. Naprzód! Gdy jednak znalazłem się na zewnątrz, musiałem przystanąć i zamknąć oczy, taka uderzyła mnie fala gorącego powietrza i światła. Usłyszałem trzaskanie migawek, owadzi świergot kamer filmowych w ruchu. Jakbym wyszedł na łąkę pełną świerszczy. Otworzyłem oczy. Zobaczyłem ich klęczących, stojących, skupionych nad celownikami. Bezręse oczy obiektywów utkwione we mnie. Zawróciłem, ale już za późno. Zmitraliezowany kamerami, wielokrotnie trafiony przez pojedynczych snajperów. I wpadłem prosto w ręce człowieka, który przedstawił się jako sekretarz wielkiego K.M.B.

Przedstawił mi swoją sprawę. K.M.B. przysyłał mi wyrazy szacunku i nadziei, że przyjmę zaproszenie na przyjęcie wydane z okazji mojego pobytu w Wenecji. Zaszczyt to będzie dla niego i przyjemność.

K.M.B. — właśnie w tej chwili, kiedy chciałem uciec. Szyderstwo, szansa, czy niebezpieczeństwo? Patrzyłem nieufnie na młodego sekretarza. Wiedziałem, że nie odmówię. Odmówić jest o wiele trudniej, niż przyjąć, choćby się potem żałowało. Czy K.M.B. potrzebował mnie tylko dla okrutnej zabawy? Może już słyszał o mojej wczorajszej kompromitacji. Ale chciałem, żeby mnie

teraz wszyscy zostawili w spokoju, nie miałem siły, żeby odmawiać. Przyjąłem.

Wyczerpany nieudaną próbą ucieczki wróciłem na górę. Byle tylko położyć się z powrotem, nic więcej. Przedtem wyjrzałem na zajazd. Fotoreporterzy czyhali wciąż. Nie było odwrotu.

Pokój zastałem już sprzątnięty i stos świeżych gazet na stoliku. Nie zwróciłem na nie uwagi, gdyby nie wielka fotografia na pierwszych stronach. Wziąłem gazetę do ręki, ale przez jakiś czas nie mogłem porażonego alkoholem wzroku nastawić na odpowiednią ostrość. Kiedy mi się to udało, zobaczyłem na fotografii kogoś, kto w jednej ręce niesie szklankę, a drugą wskazuje sobie w szeroką otwartą jamę ustną. Z jednej strony trzyma go pod ramię Mike, z drugiej Moniza Clavier. Tym kimś byłem ja.

Nie przypominałem sobie, kiedy, w jakim momencie zostało wykonane to zdjęcie.

Nad zdjęciem wielkimi czcionkami, jak wiadomość o wybuchu wojny:

ROMANS MONIZY CLAVIER Z MŁODYM ROSJANINEM.

## 7.

Oczywiście nie jestem Rosjaninem. Jednak ustawienie mnie w takiej roli zmieniało cały obraz sytuacji i otwierało nowe perspektywy. Przede wszystkim być Rosjaninem, to już znaczyło być kimś. Do tej pory mogłem wprawdzie uważać się za kogoś, może nawet za kogoś nieskończenie więcej, niż za Rosjanina, ale nie miałem żadnej możliwości, żeby o tym przekonać, nie tylko drugich, ale i siebie. Podany jako Rosjanin, o niczym już nikogo nie musiałem przekonywać, Rosjanin wystarczał. Być młodym Rosjaninem — jeszcze lepiej. Wszyscy wiedzieli mniej więcej, jaki jest stary Rosjanin, ale młodego

nikt nie znał, młody Rosjanin pomnażał siłę atrakcyjną Rosjanina jako takiego. Przyszłość świata w niemałym stopniu zależała od tego, jaki jest ten młody. Chodziły o nim rozmaite słuchy, ale nikt nie wiedział nic pewnego.

Ja sam nie podszywałem się przecież pod Rosjanina. No, może trochę, tym moim napomykaniem o stepach, tym nieokreślonym nastrojem orientalnym, który starałem się stworzyć wokół siebie. Stepy... tak, tak, było w tym trochę blagi. Jakie tam stepy. Wspominałem owe smętne poletka mojej małej ojczyzny, z wierzbą i sosenką, częściowo nizinne, do pewnego stopnia wyżynne, nadcivilizowane i mimo wszystko, choć niezupełnie, kulturalne. Gdzie im tam do stepów. Ale bezpośrednio, wprost, nigdy nic takiego nie powiedziałem i przyparty do muru na pewno nie wydobyłbym z siebie jawnego fałszerstwa. Gazeta jednak musi podawać wiadomości, mogące liczyć na uwagę czytelnika. Jakże więc mieli napisać? Może: „Romans Monizy Clavier z młodym obywatelem jednego z małych krajów Europy wschodniej”? Byłem ze wschodu, a poniżej Rosjanina nie można być ze wschodu naprawdę, sprawa wymagała więc jakiegoś dopełnienia. Zrobili to za mnie, wystarczyło nie prostować pomyłki.

Zostanie Rosjaninem dawało mi formę, której mi tak brakowało. Koniec przebąkiwania o sobie, napomykania o sobie, dawania czegoś do zrozumienia, ale nie wiadomo czego. Koniec min i grymasów dwuznacznych. Witaj Rosjaninie.

To, co do tej pory było tylko błazeństwem, teraz stało się ekstrawagancją.

To, co było histerią, zamieniało się czarodziejsko w poryw wspaniałej, nieobliczalnej fantazji prawdziwego człowieka wschodu. Słabość zamieniała się w siłę, głupawy nietakt w dumny policzek wymierzony szeroką, silną dłonią. Niezdarność zabiedzonego studenta korepetytora przy rodzinie pańskiej stawała się gestem barbarzyńskiego wojownika, przed którym bledną damy i królowie chyłą głowy.

Ostatecznie, czy nie mam do tego prawa? — pytałem się siebie, szukając rozgrzeszenia. Czyż Rosjanin nie jest z tej samej rodziny, moim szwagrem na przykład? A przez to, że szwagra wszyscy się boją, czyli go szanują, czy i mnie nie przysługuje część tego szacunku? Co z tego, że u nas, w domu, szwagier trzyma mnie pod stołem, a czasem i w ucho zagniewany trzepnie. Zawszeć to szwagier, rodzina, więc jeżeli w domu prowadzimy wspólną kuchnię, to tym bardziej wobec sąsiadów powinno być wszystko jedno, ja, czy on.

I tak się pokrzepiając, przystawałem przed lustrem, sprawdzając niespokojnie, czy mam choć odrobinę skośne oko. Na noc przyklepałem sobie powieki na ukos plastrem, ale rano powieka z powrotem opadała mi horyzontalnie.

Mieszkałem nadal w Excelsiorze, dokąd mnie zanie-siono owej pierwszej nocy, po przyjęciu, na rozkaz Monizy i gdzie spałem w piżamie szpakowatego gentlemiana, jej towarzysza. Moniza bardzo była zajęta w tych dniach. Obowiązki zawodowe i towarzyskie, jak i czujne i nieustające towarzystwo szpakowatego Jerry'ego, który mieszkał w apartamencie połączonym z apartamentem Monizy — utrudniały nam wymianę myśli i krępowały rozwój stosunków między nami. Przed hotelem stale tkwili reporterzy, a podejrzewam, że roіło się od nich także wewnątrz hotelu.

Już pierwszego dnia odrzuciłem kilka próśb o wywiad. Moje nieugięte w tym względzie stanowisko dawało mi podwójną korzyść: powiększało moją tajemniczość i zabezpieczało przed zdemaskowaniem. Zdemaskowanie? O, nie! Prowadziłem chytrą grę. Wprawdzie nie zaprzeczyłem doniesieniom gazet, ale nigdzie też nie przyznałem się wprost do przypisanej mi narodowości. A co się tyczy paszportu, który mógłby mnie zdradzić, to kazałem sobie przynieść do numeru ostrą sałatkę jarzynową, sól, pieprz, ocet i oliwę. Zjadłem go z przyprawą, choć nie bez mozołu.



Załatwiwszy jako tako problem mojej tożsamości, zwróciłem się w stronę Monizy. Miałem teraz trochę spokoju, więc moje życie uczuciowe nabrało intensywności. Już bez takiego pomieszania, jak przedtem, myślałem o decydującym spotkaniu z Monizą, życzyłem go sobie, planowałem i tęskniłem. Temu zagadnieniu mogłem poświęcić się z głową o tyle spokojniejszą, że odzyskałem moją walizkę, którą przyniesiono mi po prostu na górę.

Sprawa, jak już wspomniałem, nie była łatwa. Należało strzec się nie tylko reporterów, ale i Jerry'ego. Istniała jednak inna trudność, subtelniejszej natury. Do tej pory inicjatywa należała do Monizy, dlatego czułem się mniej więcej bezpieczny. Przyjmowałem jej względy, ale gdyby coś się popsuło, wyszedłbym z tego z godnością. Nie ja się angażowałem, nie ja ponosiłem ryzyko. Wtedy wcale by nie było wiadomo, jak dalece jej względów pożądałem, a nawet mógłbym udać, że były mi obojętne, że przyjmowałem je tylko z grzeczności. Nie wypada przecież odrzucać względów kobiet.

Musiałem jednak przyznać się na swój własny użytek, że na względach Monizy zależało mi bardzo, że ich pożądałem i chętnie przyspieszyłbym rozwój wypadków, gdybym wiedział, jak to zrobić. I gdybym się nie bał. Bo jej względy wydawały mi się takim nieprawdopodobieństwem, tak nie czułem się ich godny, że chociaż robiłem minę, jakbym przyjmował tylko hołd naturalnie mi się należący, to po cichu podejrzewałem, że los szydzi ze mnie, że tu szykuje się podstęp.

Jednakże i teraz przyszedł mi z pomocą Rosjanin. Chociaż poznaliśmy się, kiedy Rosjaninem jeszcze nie byłem, to odkąd nim zostałem poczułem w sobie nieporównanie większą zdolność fascynowania. W związku z tym jej uczucie wydało mi się znacznie bardziej uzasadnione. Nabrałem więc pewności siebie na tyle, żeby zdobyć się na pierwsze kroki własne, na aktywną wzajemność.

Ledwie jednak zdecydowałem się na aktywność, a już

od razu, zanim jeszcze zachowałem się jakkolwiek, zanim zrobiłem cokolwiek, wpadłem w popłoch i wątpliwość, pomyślałem, że pewnie zabiorę się do tego niezręcznie, że Moniza rozczaruje się moją nieudolnością, krótko mówiąc, że stanę się śmieszny. Na razie więc ograniczałem się do wstępnych posunięć, próbnych. Na przykład mówiłem jej „dzień dobry” z naciskiem, niezbyt określonym, ale w każdym razie z naciskiem. „Dobra noc” za to starałem się mówić ironicznie, nadając temu banalnemu życzeniu znaczenie ironiczne w sensie, że noc spędzona z dala ode mnie nie mogła być dobrą nocą. Patrzyłem przy tym pilnie w jej oczy, starając się odgadnąć efekt. Zawsze jednak znajdowałem w nich tylko jeden wyraz: łagodnego osłupienia, ponieważ Moniza była we mnie zakochana i gdybym nawet chodził na czworakach, czy zachowywał się w jakiś inny, najdziwaczniejszy sposób, wszystko by ode mnie przyjęła, jako zachowanie zachwycające i jedyne. Mijaliśmy się więc, ponieważ ja przebierałem w środkach, obliczałem i kalkulowałem, pragnąc wypaść jak najlepiej, a ona była ogarnięta owym rozmarzonym osłupieniem, własną nieobecnością dla siebie. Trochę mnie to nawet zbijało z tropu, bo kiedy ja szukałem w jej twarzy namiętych zadrzeń i znaków, ona wydawała mi się wciąż osłupiona, z dalekim i nieprzytomnym uśmiechem człowieka, którego nie ma. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, wydawało mi się, że powinna raczej drzeć przy mnie i blednąć, a potem szybko wciągać mnie do ciemnego kąta. Tylko tak wyobrażałem sobie męskie i chwalebne oddziaływanie na kobietę.

Na szczęście zauważyłem, że znajduje się ona w takim stanie obezważnowolnienia, że nawet niezbyt zręczne, czy wręcz brutalne zabiegi z mojej strony przyjmie z tym samym łagodnym i osłupiałym uśmiechem z zaświatów. Z wysokości wniebowzięcia niczego nawet nie zauważy. To mnie rozzuchwalało, bo spodziewałem się, że mnie nie osądzi i nie potępi, cokolwiek bym wyprawiał. Poczułem, że będąc z nią, byłbym sam, tak bardzo dzieli nas gatunek

naszych uczuć. Ona, przebywająca nie wiem gdzie, ja, z moimi konkretnymi zamysłami.

Z drugiej strony okoliczność, że Moniza sama nie dążyła konsekwentnie i pośpiesznie do rozstrzygających sytuacji, peszyła mnie trochę. Tylko takie dążenie uznałbym za dowód sprawdzalny, że Moniza kocha mnie naprawdę. Więc kiedy z jednej strony widziałem niewątpliwe jej oczarowanie mną, a z drugiej brak owych dowodów, wtedy nie wiedziałem, co o tym mam sądzić. Ponieważ ja w swoich własnych oczach nie przedstawiałem żadnej wartości — z wyjątkiem ponurych i histerycznych uniesień pychy — więc jej uwielbienie bez faktów na tyle z gruba ciosanych, żebym ja uznał je za fakty, budziło moją nieufność. Podejrzewałem ją więc ciągle o jakiś podstęp, o farsę, o chęć ośmieszenia mnie przede wszystkim. I ta różnica naszych poziomów sprawiała, że Moniza była mi obca, nawet wroga, a w każdym razie nieskończenie odległa, bardziej niż jakakolwiek inna kobieta.

Ponaglała mnie także próżność. Mężczyźni na wszystkich kontynentach zazdrościli mi nie tylko samej znajomości z Monizą Clavier, wszechświatową gwiazdą, a co dopiero mówić o bliższych z nią stosunkach. To by mi załatwiło moje porachunki z wszystkimi mężczyznami świata. Tym bardziej więc byłem niecierpliwy, skołatany wątpliwościami i natarczywy w moich myślach.

Moniza nalegała, żebym brał udział we wszystkich przyjęciach, na które ją zapraszano. Pragnęła, żebym zawsze był koło niej i wszystkie inne względy były jej obojętne. Jerry, odkąd przedstawiałem mu się jako młody Rosjanin, nie pozbył się, rzecz jasna, zazdrości, ale odetchnął z ulgą, ponieważ teraz łatwiej mógł zrozumieć zainteresowanie Monizy dla mnie, przedtem dla niego absolutnie niewytłumaczalne. Teraz, uznając moje atuty, poczuł się lepiej, cała sprawa nabrała w jego mniemaniu jakichś cech *fair play*'u. Słowem, działał już zbawienny Rosjanin, jak się tego spodziewałem i moje miejsce w tym środowisku zostało przyzwoicie określone. Mogłem więc

korzystać z zaproszeń, nie męcząc się już tak, jak za pierwszym razem. Ja jednak byłem po prostu wyczerpany i potrzebowałem odpoczynku. Z trudem znoszę wypadki, nie tylko nadzwyczajne, ale nawet całkiem proste i kiedy tylko mogę, uciekam. Teraz też więc uciekłem do swojego pokoju, oświadczając, że muszę się wyleczyć z wyczerpania nerwowego. Nie potrzebowałem się śpieszyć. Czekały mnie, tak sądziłem, nieskończone tygodnie przy boku Monizy Clavier. Powiedziałem sobie, że jak tylko wypocznę, wejdę znowu w ten cudowny świat, który już do mnie należał.

O nią byłem spokojny. Wiedziałem, że Jerry czuwa nad nią i nie dopuści do niej nikogo. Po każdym bankiecie odprowadzał ją niezawodnie do hotelu, w moje sąsiedztwo. Leżałem sobie na przestronnym łóżku, układając plany rozmaitych batalii. Potrzebowałem czasu, żeby się przyzwyczaić do nowej roli.

## 8.

Pewnego wieczoru znowu zostałem sam. Stałem przy oknie. Po dniach pięknej pogody zanosło się na deszcz. Jakby ta zmiana miała coś z tym wspólnego, przed hotelem nie zauważyłem dyżurnego fotoreportera. Może ukrył się, ale ja znałem już ich kryjówki.

Zapragnąłem przejść się po mieście, skonfrontować miasto z sobą w mojej nowej sytuacji, sycić się poczuciem przewagi, a w każdym razie jakiejś takiej równowagi, którą między mną a miastem, wyobrażałem sobie, udało mi się osiągnąć w ostatnim czasie. Zamierzałem odwiedzić niektóre miejsca, uliczki, które przedtem dały mi się szczególnie we znaki. Zająrzeć im, że tak powiem, w oczy, na sposób dorobkiewiczowski. Szaleństwo, bo nie ma tryumfu nad miejscami silniejszymi od nas, choć nie od razu dochodzimy do tego przekonania i robimy próby, pozornie zadawalające.

Wymknąłem się z hotelu, udałem się do przystani i wsiadłem na statek, żeby dostać się do właściwej Wenecji. Poruszanie się po Wenecji, czy to wodą, czy pieszo, polega na ustawicznym gubieniu stron świata, co jest może jeszcze jedną przyczyną, dla której życie tam wydaje się nierealne, a przez tę sztuczność nieodparcie prawdziwe. Łąd i morze przenikają się stale i nie wiadomo co z tego powstaje. Wieczorem do tego kołowania i przenikania dochodzą jeszcze światła, przeważnie podwójne, bo odbite w wodzie. Ruch światła łączy się z nieporządnym na oko, dziejącym się na wielkiej przestrzeni i według nieskończonej różnorodności ruchem falowania wód. Dzwony i głosy statków, dużych i małych, także należy o tym wspomnieć.

Było już dosyć późno. Po wylądowaniu wnet straciłem orientację i szedłem już bez wyboru. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Dokądkolwiek się zwróciłem, wszędzie były te miejsca, których szukałem, a które chciałem zmusić do uszanowania mnie, tak je zadziwić, żeby zapomniały o mnie poprzednim, biedniejszym. Inne teraz robiłem do nich miny, już nie wrogie, ale szukające pojednania, proponujące koleżeństwo na równych prawach. Niestety, zdawało się, że mnie nie dostrzegają. Nie odrzucały mnie, ale czy przedtem mnie odrzucały? Zacząłem podejrzewać, że byłem im tak samo obojętny jak i przedtem. To ja wtedy przypisywałem im aktywną niechęć do mnie, jak pijak pełen kompleksów, który z uporem wmawia rozmówcy: „wiem, pan mną gardzi, proszę nie zaprzeczać, ja wiem dobrze”. W ten sposób chce za wszelką cenę przypisać swojemu rozmówcy jakiś stosunek aktywny do siebie, jakikolwiek, choćby to była pogarda. Woli to, niż prawdę: że jest partnerowi najzupełniej obojętny, że partner jest tylko nim znudzony.

O ile można odmierzać sobie stopień uwagi udzielanej nam przez ludzi: kochają, lubią, szanują, o tyle z miejscami sprawa ciężka. Prawdopodobnie w ogóle nas nie dostrzegają, ale kto ich tam wie. I może właśnie ta niepew-

ność zmusza nas do wysiłku, do popisywania się przed tymi miejscami, może dlatego tym bardziej łakniemy z nimi pobratania. Można założyć, że uda się nam uzyskać najwyższe napięcie i najbardziej pochlebny gatunek uwagi ku nam ze strony wszystkich ludzi na świecie. Zostawszy królem świata nie mamy już nic do roboty, jak tylko spakować dostatnie walizki i pojechać do jakiegoś miejsca, na którym nam szczególnie zależy, żeby nas uznało, do miejsca, któremu niegdyś przysięgliśmy rewanż. Niekoniecznie muszą to być piramidy, albo kolosalne wodospady. Może to być jakiś niczym nie wyróżniający się, ale jednak osobliwy, prowincjonalny park, zapamiętany dla jakichś przyczyn jeszcze z dzieciństwa, albo z lat późniejszych. Jakaś ulica, albo pagórek, za którym trochę inaczej niż zwykle zachodziło słońce. Tam dopiero zaczynają się podboje. Stańmy, usiądźmy, ustawmy się bokiem, tak, owak, lewa noga naprzód, a to prawa — i nic, albo ściślej mówiąc, nic nie wiadomo. Trzeba by coś uchwycić, nad czymś się zastanowić, a tu nie wiadomo nawet dokładnie nad czym. Nie ma już dookoła ludzi, nawet my sami wydajemy się sobie kłopotliwi. Jak tu mówić o miłosnym zawojowaniu, o sprzymierzeniu się, kiedy nagle my sami zaczynamy sobie zawadzać, my sami dla siebie zaczynamy być tym małym kuzynem panny, który siedzi z nami i z nią razem w tym samym pokoju i chciałoby się dać mu parę groszy na kino. A jeżeli się usuniemy, to nas nie będzie. Trudna sprawa.

Może są ludzie, którzy nie zapędzają się aż tak daleko. Jednak jest to różnica tylko w dalekowzroczności pożądań, nie w samych pożądaniach. Takim chyba jest lepiej. Nie widzę, że nawet gdyby udało im się załatwić sąsiadów, to i tak czeka ich następnie kłopotliwa przeprawa z kamieniem, albo z jakąś mizerną kupą patyków.

W każdym razie ja tak wtedy chodziłem po Wenecji na swoje zmartwienie, bo była to zuchwała przechadzka, wątpiło mnie i nijakościowało coraz bardziej, aż postanowiłem trochę odpocząć. Wyłoniłem się właśnie z jakiegoś

zaułka, na łukowaty mostek, przerzucony nad czarnym kanałem, oświetlony latarnią. Miejsce ściśnięte między ścianami martwych pałaców, które, jak kosztowne ubrania, ale wywrócone na lewą stronę, podszewką na wierzch, na znak pogardy dla współczesnego świata, odwracały się do mnie tyłem.

Wtedy, zupełnie zwyczajnie, zobaczyłem Monizę, wstępującą na mostek z drugiej strony, naprzeciwko mnie.

Było to za proste, za zwyczajne, aż się przestraszyłem. Przecież marzyłem o spotkaniu z nią sam na sam, ale na litość boską nie bez przygotowań, usiłowań, zabiegów. To spotkanie było brutalne. Między pierwszym a tym spotkaniem z Monizą była taka różnica, jak między ujrzeniem lwa w cyrku, z bezpiecznej widowni, a spotkaniem lwa który wychodzi nagle z krzaków prosto na nas podczas naszej niedzielnej przechadzki za miasto.

To drugie zrzęcenie losu kierującego mnie znowu w stronę Monizy sprawiło, że podejrzałem go o jakiś zamysł uparty i poczułem się źle, jak każdy, kto znajduje się w rękach siły wyższej.

Muszę przyznać, że Moniza także zmieszała się okropnie, widocznie także doznała jakiegoś przerażenia, ale starała się je ukryć i zawołała z wysiłkiem, choć na pozór spokojnie:

— Hello!

— Hello! — odparłem, równie beztrąsko na pozór. Byliśmy sami o tej późnej godzinie, z wodą po lewej i z wodą po prawej stronie, na mostku. Dokąd uciekać?

— Co nowego? — zapytałem.

— Uciekłam z przyjęcia — ona na to. I dodała: — Pokłóciłam się z Jerry'm.

Los nie pozwolił się zbić z tropu. Daremnie próbowałem go zaskoczyć pytaniem zadany w tonie lekkiej i wesołkowej towarzyskości. Oznajmienie, że Moniza pokłóciła się z Jerry'm, moim rywalem, przywracało naszej sytuacji nieodwołalną jednoznaczność.

— Dlaczego? — zapytałem samobójczo, ponieważ nic innego mi nie pozostało.

Nie odpowiedziała, tylko zbliżyła się do mnie i nagle, zniecka, podniosła ku mnie oczy.

No tak. Teraz już niczego nie można było zażegnać, powstrzymać, opóźnić... Ani też powiedzieć. Moja własna niekonsekwencja, tak odmienna od konsekwencji losu, wtrąciła mnie w przygnębienie i smutek. Degradowała mnie wobec mnie. Zły byłem, że nie jestem upojony, ani szczęśliwy. Ten mostek szydził ze mnie.

Spostrzegłem wtedy na pobliskiej ścianie kolorowy plakat wielkich rozmiarów. Był to powiększony wizerunek Monizy Clavier, gwiazdy filmowej, przedstawiający ją ze złotymi włosami rozsypnymi na murze, z uśmiechem zmysłowym, jakiego nigdy u niej nie widziałem. Usta rozchylone, nadnaturalnej wielkości, podobnie jak i jej oczy ujrane nagle przez powiększające szkło, każde z osobna. Plakat był wykonany ową sugestywną techniką, fotograficzno-naturalistyczną niby, ale która dzięki precyzji każdej linii, perfidnej celowości układu, zdumiewającej wyrazistości i jednoznaczności rysów, dzięki temu, że różowe jest tam do końca i absolutnie różowe, a niebieskie — niebieskie, sprawia, że osoba przedstawiana nabiera cech niepokojących i wprowadza zamęt w nasze pojęcia o rzeczywistości. Plakat przedstawiał Monizę łącznie, a może przede wszystkim, z biustem na pół obnażonym, a fakt, że wszystko było tam tak samo przedstawione, zarówno twarz jak i biust, nadawał przedstawianej Monizie uderzającą równorzędność poszczególnych jej części.

Zobaczywszy plakat przedstawiający Monizę Clavier, i mając przed sobą Monizę Clavier żywą — zmieszałem się. Pierwsza miała policzki gładkie jak lodowiska o zachodzie słońca i oczy, o których można było powiedzieć „oczy”, druga — widziałem to dobrze z tak bliskiej odległości — miała oczy o których już nic nie można było powiedzieć. Oczy poza słowami, oczy fizjologiczne, istniejące fizjologią, prawdziwością źrenic, migotaniem tęczów-



ki, drganiem powieki. Makijaż oczu widziany z tej odległości tracił wszelki sens. Sklejenie rzęs, namalowany cień, nie miały tu już nic do roboty, ta niepotrzebność przynębiała. Wydało mi się, że prawdziwa Moniza jest tam, na plakacie, a przede mną stoi tylko stworzenie bez nazwy, nie mające żadnych szans wobec tamtej rywalki, biedniejsze. Stworzenie o policzkach, na których dałoby się przecież znaleźć jakieś miejsce z nieco grubszym ziarnem skóry, jakąś zmarszczkę na pograniczu policzka i szyi, bardzo subtelną, ale przecież istniejącą, nieuniknioną, bo stworzoną przez życie, przez to, że poruszała się, żyła, obracała głową, mówiła i uśmiechała się.

Tamta miała usta bezwzględne, ostateczne, nienaruszone. Co najwyżej, można je było zniszczyć razem z plakatem, ale im samym nic zrobić nie było można. Tutaj usta miękkie, zawsze przecież niedokreślone do końca, zmienne. Szminka, choćby starannie nałożona, sprawiała wrażenie krępujące wobec tamtej, z plakatu, ponieważ była świadectwem dążenia żywej tkanki do tamtego ideału, dążenia skazanego nieodwołalnie na klęskę. Taka bezradność zawstydzona, a potem powoduje niechęć i złość jako obronę przed zawstydzeniem, nawet szyderstwo. W pierwszym odruchu poczułem tę złość i niechęć, ponieważ wydało mi się, że jestem oszukany, że złośliwy los nie tę Monizę mi dawał, której chciałem, ale falsyfikat. A także podły wstyd, jak ktoś starający się o rękę wielkiej damy, zastany przez nią *in flagranti* na romansie z kucharką, w dodatku brzydką. Taka scena, wulgarna i przypadkowa, nie tylko nie może obudzić zazdrości, ale jest po prostu kompromitująca. Dama była tam, na plakacie, statycznie uśmiechnięta, straszliwa przez swoją niezmiennność, której tylko ja sam mogłem nadawać kolejne znaczenia, zależnie od tego, co sobie o niej wyobraziłem.

Na szczęście ta właśnie niższość, gorszość prawdziwej Monizy od jej wyobrażenia uratowała częściowo mnie i ją. Bo jednocześnie z owym plugawym zawstydzeniem i złością

cią powstał we mnie bunt przeciwko tyranii tamtej, z włosami rozsypanymi na murze, ze śnieżnym uśmiechem i czerwonymi wargami. Potrzeba odnalezienia się wobec jej przemocy, jej przyciągania równie silnego, jak jej nieosiągalność. Kto wie, czy nie odezwała się we mnie solidarność żywej istoty, równie skazanej, bo tak samo żywej, jak ta, co stała przede mną. Może właśnie jej bezbronność wobec tamtej rywalki idealnej mnie wzruszyła — i to, że tylko ja sam wiedziałem o tej bezbronności. Poczułem się więc zobowiązany, jak człowiek który, zaskoczony w górach przez burzę, uświadomił sobie, że jest najsilniejszy spośród swoich towarzyszy i chcąc nie chcąc musi wyprowadzić siebie i drugich z nieszczęścia. W tej sytuacji we troje nie było nikogo poza mną, kto by musiał wziąć na siebie odpowiedzialność. Moniza żywa o niczym nie wiedziała, Moniza z plakatu była poza światem żywych i uśmiechała się tylko. Pozostawałem ja sam.

Ta sama zmarszczka wydała mi się teraz droga, brońbym jej przed tamtą, bezlitosną gładkością, mechaniczną. Jednocześnie współczucie i tklivość pozbawiły mnie na razie owych byczych intencji, które przedtem wobec Monizy żywiłem. Gdyby nie te uczucia, rzuciłbym się na Monizę jak pijany marynarz, po części ze szczerego impulsu, po części z obowiązku wobec swoich zaborczych postanowień. A nie będąc przy tym dostatecznie pewnym siebie, kto wie, czy bym wszystkiego nie zepsuł prostacką natarczywością.

Na razie taki obrót sprawy był jednak niemożliwy. Już zagrzewałem się własną szlachetnością i delikatnością uczuć, smakowałem je i nie dałbym ich sobie odebrać, pomijając, że wdzięczny im byłem za oddalenie ostateczności, przed którą, jak przed każdą ostatecznością, odczuwałem lęk i lenistwo.

Bardzo delikatnie objąłem Monizę i pocałowałem ją w czoło, a pozycja władczego opiekuna, to poczucie odpowiedzialności, dawało mi wiele satysfakcji, innych co prawda niż te, których przedtem pożądałem. Co wcale

nie przeszkadzało, że już w godzinę później przeklinałem moją słabość.

Szliśmy potem, klasycznym marszem zakochanych, nie mówiąc nic, do czego uprawniała mnie na szczęście wenecka sceneria z zamglonym księżycem, pozwalające na umowę bez słów, że jest tak pięknie, aż żadne słowa tego nie wyrażą. Inaczej byłbym w dużym kłopotcie.

Wygodnie więc mogłem poświęcić się chytrym przewidywaniom, co dalej nastąpi, kiedy znajdziemy się w hotelu. Ale przed hotelem czekał Jerry. Nic nie mówił, siedział na krześle i palił papierosa. Udawał nawet, że nas nie widzi.

## 9.

Jak gdyby mało mi było wszystkich moich rozterek, usiłowań i klęsk, z Wenecją, zagranicą, z walizką, z Rosjaninem, ze wszystkim.

Teraz, kiedy myślę o tym spokojnie, dochodzę do przekonania, że Monizy Clavier w ogóle nie było. Nie było jej takiej, jaka objawiła mi się wtedy na mostku, żywa, z niedostatecznym makijażem. Istniała tylko ta z plakatu, nieśmiertelna i złota. Ona była Wenecją, laguną, sławą i zagranicą. Prawdopodobnie, gdyby ta sama — i tylko ta sama fizyczność objawiła mi się w moim kraju, nie konno, ale w przedziale wagonu kolejowego drugiej klasy, nie w towarzystwie Jerry'ego, Mike'a z Hollywoodu, ale swojego wuja jedzącego kanapki z jajkiem na twardo, w ogóle nie zwróciłbym na nią uwagi i do niczego by nie doszło. Ale na początku, mimo wszystko, aż do tego spotkania na mostku, wcale się w niej nie kochałem. Za bardzo ona była tryumfująca, bez skazy. Przyciągała mnie ale i gniewała jednocześnie, budziła zjadłą chęć dorównania, przewyższenia i zapanowania. A kiedy to nie było możliwe — sztuczną pogardę, jedyny sposób na wyższość dostępną słabszemu wobec silniej-

szego. Trzeba było dopiero jej oczu podmalowanych, ma-  
leńkiej zmarszczki na szyi, żebym w tej gładkości nieprze-  
niknionej jak złota kula zobaczył słabość. Tylko na to  
czekałem, tylko tego mi brakowało.

Teraz czułem się wystarczająco bezpieczny. Tę zmar-  
szczkę mogłem sobie przypomnieć w każdej chwili, ile  
razy groziła mi klęska zupełna, podporządkowanie i bez-  
silność. Z tego wynika że chciałem i nie chciałem być  
podporządkowany. Za niewolą tęskniłem tak samo jak  
za panowaniem. Podlegać, ale zachować sobie wolność  
na każde żądanie. Domagałem się równych praw i możli-  
wości ucieczki w każdej chwili. Gdybym chciał wolności  
tylko, skorzystałbym z szansy, żeby wyszycić w sobie  
Monizę, odstręczyć ją sobie jej słabością, którą nareszcie  
udało mi się wykryć. Ale nie chciałem. Teraz wydało mi  
się, że mogę nareszcie zakochać się bezpiecznie.

Jako Rosjanin *a priori* starannie przygotowywałem  
się do przyjęcia u K.M.B. Miałem nadzieję, że wśród gości  
nie znajdzie się nikt, kto mógłby mnie zdemaskować.  
Ale niewątpliwie żądano ode mnie szczególnego kostiu-  
mu. Postawiłem na dwa różne atuty: szerokość słowiań-  
skiej duszy i światopoglądową pryncypialność. Takie za-  
łożenie ubezpieczało mnie wszechstronnie. Jeśli jedna z sa-  
mozwańczych cech mnie zawiedzieć druga ją usprawie-  
dliwi.

Już się nie trwożyłem, że znowu mam publicznie wys-  
tąpić, jak przed owym nieszczęsnym wieczorem w Excel-  
siorze. Tym razem byłem już kimś. Jak trudno, czy w ogóle  
możliwe? — wejść dokądkolwiek nie będąc kimś. Nie  
jestem pewien, czy być sobą w ogóle coś oznacza.

Przyjechano więc po mnie i wieziono mnie jako Rosja-  
nina do pałacu w prowincji weneckiej. Co prawda, Ros-  
janin, to wartość wymienna, tylu ich jest! Na szczęście  
byłem jedynym Rosjaninem wiezionym wśród tutejszych  
winnic.

Sekretarz K.M.B. bawił, opowiadał o okolicy. Ponie-  
waż stale jestem zajęty sobą, sytuacje, kiedy należy uda-

wać zainteresowanie okolicą zawsze były dla mnie uciążliwe. Udawanie, że cokolwiek mnie poza mną samym obchodzi przychodzi mi z męką i bez zadawalających wyników. Ale teraz mogłem już tkwić w tym samochodzie jak kłoda, obciążony wyłącznie własnymi wnętrznościami, a moja ociężałość szła na karb Rosjanina. To raczej mój towarzysz musiał się teraz zwijać i kłopotać, nie ja. Ja miałem już swój środek ciężkości. Choć niestety, sztuczny.

Pałac się ukazał na łańcuchu wzgórz, płowy, z mnogością okien. Górował nad nizina, która ku zachodowi prowadziła aż do morza. Na północy wznosiły się Alpy. Wjechaliśmy na zwirowany podjazd. K. M. B. czekał.

Poznałem go po włosach białych i oczach czarnych, jak na jego znanych autoportretach. Ale na głowie miał papachę kozacką, a na nogach buty z cholewami, nowe, żółte.

— *Zdrawstwujcie* — powiedział, zdejmując papachę. Więc klepnąłem go w plecy i zawołałem:

— *Niczewo!*

Ucieszył się najwidoczniej, choć zachwiał się i z trudem zachował równowagę. Klepnął mnie z kolei, a ja mu poprawiłem, aż mu zadźwięczało w klatce piersiowej od tej rubaszności. Bądź co bądź niemłody był już człowiek.

Wziął mnie pod ramię.

— Pozwólcie — powiada — do mojej daczy.

Charty obwęchały mnie leniwie. Przed pałacem, na strzyżonej murawie, oczekiwali goście. W komnatach, przez na oścież otwarte drzwio-okna majaczyły globusy i sekstanse starożytne, meble połyskiwały dawne i wionęło zapachem starych bibliotek.

K. M. B. przedstawiał mi kolejno gości, jak okazy swojego inwentarza, niedbale, ale akuratnie. Między nimi znajdowała się kobieta w przekwicie wieku, w sukni czerwonej, koloru pierwszy maj.

— A, księżna... — domyśliłem się i pogroziłem jej palcem.

— Wiecznie to samo — westchnęła z przesadną nieco rezygnacją. — A miałam nadzieję, że przynajmniej wy nie przywiążecie uwagi do takich drobiazgów.

Zmieszałem się, bo przyszło mi do głowy, że posądza mnie o snobizm. Czyżby mnie przejrzała?

— Bardzo dobrze, wszyscy ludzie są równi — pochwaliłem.

K. M. B. już wznosił toast:

— *Za pomysłność, za zdrowost'!*

— O, nie! — zawołałem, a kiedy wszyscy spojrzeli na mnie zdziwieni, powiedziałem z powagą:

— Najpierw za historię.

— Za historię, za kulturę! — huknęli z ulgą zebrani.

Ja zaś, żeby nadać czynności odpowiedni patos, wypiąwszy, cisnąłem kieliszkiem o ziemię, według starego, oficerskiego zwyczaju. Zapomniałem niestety, że stoimy na miękkiej murawie strzyżonej z angielska i kieliszek, zamiast rozprysnąć się w kawałki, odbił się tylko, podskoczył i nawet nie zadzwęczał. Przestraszyłem się, że nie zrozumieli, o co mi chodziło. Schyliłem się szybko, żeby podnieść kieliszek, i czołem zderzyłem się z czaszką lokaja, który mnie ubiegł. Rozległ się głuchy stuk. Goście otoczyli mnie ze słowami współczucia.

— Boli? — zapytał z niepokojem K. M. B. — Każę przynieść kompres.

— Nie trzeba! — zawołałem. — U nas, nad Donem, my to nawet lubimy. Często chłopcy w głowuszki-udariuszki się zabawiają, dla żartu i nauki. Ot, taka prosta rozrywka. Proszę bardzo!

I oderwawszy rękę od czoła wymierzyłem lokajowi, który niczego się nie spodziewał, potężnego byka w nos, aż pociemniało mi w oczach z bólu. Lokaj padł.

— Wybacz bracie — zdążyłem mu jeszcze szepnąć. — Ja w imieniu międzynarodowego ruchu.

— Co za temperament! — zawołała olśniona księżna.

— Mogę także w mur! — krzyknąłem niebacznie, podbechtany jej zachwytem. — Wszystko mogę!

Na szczęście powstrzymali mnie w porę. Posadzili na ogrodowym krzeselku. Nie czułem się pewnie na nogach. Głowa bolała mnie strasznie, ale byłem szczęśliwy, że kosztem głowy udało mi się ocalić twarz. K. M. B. wydał dyspozycje, aby wyniesiono proletariusza.

— Pan ma gorączkę — zatroszczyła się księżna, kładąc mi rękę na czole.

— U nas cyrkulacja taka ożywiona — wyjaśniłem z nieustępliwą pryncypialnością.

Otaczali mnie kołem i wirowali mi przed oczami. Głowy szlachetne, dekolty, przeguby cienkie. Tuż za nimi dal nieprawdopodobna, mgliste gościńce i rzeki, kumulusy. Widać od wstrząsu nabrałem zdolności wizjonerskich, bo wydało mi się, że oni wychylają się ku mnie z tych kumulusów i wyciągają ręce miłośniczo, świecko. A wszyscy podobni do Monizy Clavier, ta sama u nich chciwa bierność zachłanna, zwrócona ku mnie. „Pójdź” — wydawali się mówić. — „Jesteś piękny, silny, wspaniały, jesteś nasz”. „A jeżeli jestem brzydki, słaby, nędzny?” — zapytuję resztką przytomności. — „Wykluczone”. „Dlaczego?”. „Bo my cię chcemy podziwiać. Poddaj się tylko i bądź sobie jakim chcesz, bo i tak nic ci nie pomoże, będziesz zawsze piękny, silny i wspaniały, bo my cię podziwiamy”. „Więc to tak? Ale to znaczy, że stwarzając mnie według waszej miłości unicestwiacie mnie takiego, jakim jestem naprawdę”. „Tak, to jedyny warunek. Nawet nasz Bóg musi go przyjąć. Cokolwiek by zesłał wiernym, zarazę, czy nieurodzaj, nic mu nie pomoże, wierni przyjmą wszystko i roztopią go w swojej miłości”.

Nie darmo widziałem wśród nich przede wszystkim kobiety. Mężczyźni starali się ściszyć, przytłumić swoją męskość, feministycznie ku mnie przychylni, zażenowani i skrępowani swoją męskością, pokornie świadomi, że ona im przeszkadza w uwielbieniu mnie, nie pozwala dorównać w kokieterii kobietom, przez naturę lepiej wyposażonym do zalotności. Kiedy przedstawiali mi swoje naz-

wiska, które oznaczały majątek, sławę, dobre urodzenie, starali się, żeby powściągliwość i lekceważenie, z którymi sami odnosili się do tych wartości, połączyła się z moim lekceważeniem, tym które mnie przypisywali. Zdawali się wyrażać: „Popatrz tylko, jak my sami mamy za nic to wszystko, co posiadamy”. Tą drogą chcieli moje domniemane lekceważenie ich uprzedzić, odebrać mu inicjatywę i roztopić je w swoim własnym, już naszym wspólnym. Pokumać się ze mną i stowarzyszyć, razem ze mną stworzyć nową, wszechświatową arystokrację. „My przeszłości, wy przyszłości elitą. Bądźmy przyjaciółmi”.

Potem siedzieliśmy wszyscy przy stole, w komnacie otwartej na taras i na tę dal rozległą, tyle bieli i srebra, tyle kwiatów widziałem tylko na ołtarzach, w dzieciństwie, podczas nabożeństw majowych. Tylko garbus jeden, który siedział po mojej lewej ręce, nic nie mówił, jadł i garb sobie masował.

A była to uczta zakochanych. Ja zakochany w Europie, Europa w Rosjaninie, a Rosjanin — nie wiadomo, bo go nie było. Ale co tam, broniony jego wszechodporną formą nie bałem się niczego. Jakbym odkrył potężne zaklęcie. Nazwanie stworzyło rzeczywistość. O dzięki ci, święta Rusi! Za twoim przedmurzem wahałem ten kwiat Europy dowoli.

— Opowiem anegdotę — powiedziałem rozzuchwalony do towarzyszącej mi po prawej ręce księżny-flagi. — Z dawnych czasów. U nas, we dworze, piękna dziewczeczka mieszkała. W parku siadywała, w altanie cienistej i czytała wiersze po francusku, cała w perfumach, delikatna. Przejeżdżał za płotem Wasylko woziwoda, chłop ogorzały, z bicepsami jak banie.

— Prosty człowiek? — upewniła się księżna.

— Prościutki. Płot tam był wysoki, jak przystoi. Na drugi dzień przejeżdża Wasylko, patrzy, a płot jakby o stopę niższy. Zdziwił się, ale nic. Dopiero znowu kiedy mu droga tamtędy wypadła i płot był już ledwo na dwie



piędzi od ziemi, zasumował się, ale krzyżem się przeżegnał prawosławnym i przejechał zdrów.

Ale nazajutrz patrzy, a tu płotu już wcale nie ma, tylko dziedziczka na hamaku się huśta. „Co ty wiesz Wasylko”, pyta. „Ano, wodę, proszę jaśnie panienki”. „Daj no mi trochę, pić mi się chce”. Przestraszył on się, ale beczkę odszpuntował, a dziedziczka jak się nie napije! Pije, pije, pół beczki mu wypięła. Tak samo na drugi dzień, i na trzeci, nie bacząc, że prostego człowieka z jego wartości dodatkowej ograbia.

Zafrasował się Wasylko, bo już wody ludziom nie mógł nastarczyć i źle mu się wiodło. Aż zdesperowany, nalał do beczki spirytusu i jak zwykle wedle parku przejeżdża. Pani tak się już przyzwyczaiła, że nie pytając, łyk pociągnęła. A potem włosy rozpuściła, na beczce usiadła i powiada: „Dlaczego ty, Wasylko, tak mnie prześladujesz. Najpierw płot rozebrałeś, potem wodą mnie poisz, wychłostać by cię trzeba”.

Rozplakał się Wasylko z żalu nad jej dolą i za pokutę zaraz dwór podpalił, żeby się skazać na wieczne potępienie, ją zaś by zbawić od ziemskich cierpień, na tamten świat wyprawił. I to właśnie było jego największym nieszczęściem, bo tak lud roboczy wtedy przez możnych oszukany i uciskany był.

— Dlaczego? — chórem zapytali biesiadnicy.

— Bo jeszcze wtedy nie wiedział, że Boga nie ma i życia pozagrobowego nie ma i że na marne poszły jego usiłowania. Ani siebie na potępienie wieczne nie skazał, ani jej do lepszego życia nie wyprawił. Tak to Wasylko przez ustrój niesprawiedliwy oszukany został.

— Biedny... — współczuła księżna.

— Inne czasy — przytaknąłem. Teraz i Wasylko wiedzący i wodociągi u nas wynaleźli.

— Smutna historia — westchnął K. M. B. — Ale piękna. Nic dziwnego, że u was takie talenty.

— Dupa — odezwał się niespodziewanie garbus.

Opowieść o uciśnionym Wasylku widać ich poruszyła, poczuli się współwinni.

— Ja noszę same używane rzeczy — stwierdził K. M. B. — Chce pan zobaczyć? — Tu podniósł nogę. — O, zelówka całkiem wytarta, jak u prostych ludzi. Zedrze się, to wkładam inne buty i znowu używam.

— Uwielbiam Pantelejewa — wtrąciła księżna. — Ale co panu, pan zbladł!

Istotnie, straszne mdłości dopadły mnie nagle i zburzyły cały mój błogostan.

Paszport, mój własny paszport zjedzony kiedyś przeze mnie... Czy to sztywna, tekturowa okładka okazała się tak niestrawna, czy farba drukarska...

Przypomniałem sobie, kim jestem. Osłabiony fizycznie, zlany zniecka zimnym potem, nie mogłem już dłużej udźwignąć Rosjanina. Nie mogłem już ani opowiadać anegdot, ani udawać zucha znad Donu. Za chwilę okaże się, kim jestem. Nie może to być, żeby się nie domyślili. Rosjanin zje wszystko i nic mu nie zaszkodzi. Wszystko wytrzyma. Wśród przejdzie w zimie przez lodową rzekę i jeszcze potem zaśpiewa wesoło, kiedy ja... Garbus patrzył na mnie uważnie, widząc już we mnie zapewne współnika w ułomności i kalectwie. Krzywda, krzywda, znowu mi zrobili krzywdę. Poczułem złość za moją krzywdę, co ja zrobiłem takiego, że zaledwie stałem się kimś, a już złośliwy los mi wszystko odbiera. Moja złość zwróciła się przeciw współbiesiadnikom. Nie mając już dość sił, żeby utożsamiać się dłużej z tym, kogo udawałem, ujrzałem w nich tylko dekadentów ubiegających się uniesienie o względy barbarzyńcy. Jeszcze Rosjanin siedział przed nimi, ale był to już tylko manekin, ja, jego dusza, wyszedłem z niego i spojrzałem jako trzecia osoba. Powróciła narodowa drażliwość, choć niestety, w nieoczekiwanej, fizjologicznej postaci. Jak żywa stanęła mi przed oczami scena w ogrodach Excelsioru, kiedy daremnie przedstawiałem im dowody mojej własnej, narodowej martyrologii. A ja przecież teraz znowu cierpiałem. „Cier-

pienie, szlachetna ofiara, nic ich nie obchodzi. Ale wystarczy, żeby znaleźli się przed silnym, a uklekną, otworzą ramiona i przymilać się będą. A jeżeli tak, to ja im pokażę”.

I przekonany, że i tak wszystko stracone, sam nie wiedząc co czynię w żalu za utraconym szczęściem, czy w żalu za wieczne klęski mojego narodu, miotany czy to czkawką, czy to kompleksem niewynagrodzonej cnoty, chwyciłem ze stołu srebrną cukierniczkę i rzuciłem nią w duży wazon, co stał pod ścianą.

Zaledwie rzuciłem. Przeraziłem się. Wazon rozleciał się w kawałki. Patrzyłem zmartwiałym po ich zdumionych twarzach, starając się wywnioskować z ich wyrazu, czy mój Rosjanin to wytrzyma. Tylko on mógł mnie teraz uratować. Liczyłem w moim przerażeniu, że to pójdzie na rachunek jego szerokiej duszy. Teraz Rosjanin był znowu moją jedyną ucieczką i obroną.

— No tak... — powiedział K. M. B. po chwili. — To był niezwykle brzydki wazon. Ci Chińczycy wprawdzie wynaleźli porcelanę, ale nie mieli pojęcia, co zrobić z wynalazkiem. Dziękuję panu. Niestety, mam sporo bezwartościowych rzeczy w tym domu.

Odetchnąłem. A już duszyczka moja chciała w rączki pana domu buchnąć i przeproszać. Jakie szczęście, że ze strachu ruszyć się nie mogłem, bo bym się skompromitował. Ale zaraz, co to on powiedział? Że nie wszystko jest tutaj na poziomie? Ogarnęła mnie niepewność, czy też przypadkiem tego lekceważenia samego siebie, które oni uprawiali, nie powinienem był wziąć za dobrą monetę, żeby się znaleźć na wysokości dobrego, arystokratycznego wychowania. Bo taka jest moja narodowa dusza, że przede wszystkim tęskni ona za arystokracją jakiegokolwiek bądź rodzaju, za wykwinem, bontonem i dobrymi manierami, i żyje w wiecznym strachu, że nie zachowa się odpowiednio, że przez to się ośmieszy w towarzystwie. Więc jeżeli takie lekceważenie jest w dobrym tonie, to nużę mu dorównać, wziąć udział w tej grze wyższych

sfer. Jeżeli rzeczywiście w tym domu znajdują się dzieła sztuki o niewielkiej wartości pomiędzy dziełami wartościowymi, to co będzie, jeżeli się na tym nie poznam i będę tolerował jakieś falsyfikaty? Wydało mi się, że wszyscy już czekają, żebym okazał się znawcą sztuki. Za wszelką cenę należy teraz na zachowanie się gospodarza równie elegancko zareagować. „Rochefoucauld, Rochefoucauld” — latało mi bezmyślnie po głowie. — „Jak na moim miejscu zachowałby się Rochefoucauld? Albo kardynał Richelieu?” O Rosjaninie, dlaczego nie trzymałem się ciebie, dlaczego pozwoliłem, żeby zawładnęła mną moja własna, narodowa dusza, ta snobka, która zaślepiona obawą, że nie znajdzie się w towarzystwie jak należy, brnie właśnie w najstraszniejszą śmieszność i brednię.

Rozglądnąłem się starannie, żeby moje oko wydało się okiem znawcy. Było nie było, zdecydowałem się na jakiś obraz, dostatecznie ciemny, żeby wydał się wartościowy, lub nie, ale i dostatecznie przez to niewyraźny, żebym nie wiedział, co niszczy. Uniosłem się z krzesła i ułożyłem w nim porcję sosu.

— Brawo — powiedział gospodarz ochryple. — Holenderskie sosy odpowiednie jak nic dla Van Dycka. A mówią, że Rosjanie nie mają poczucia kompozycji w malarstwie. Proszę się nie krępować. Drażnił mnie ten obraz od dawna.

— Tak? — zawołałem z udaną wesołością, głosem pełnym *esprit* i w ogóle, jak mi się wydawało, francuskim. — No to zobaczymy, co pan tam jeszcze ma!

Zbladł, ale wstał od stołu.

— Proszę za mną — powiedział.

Za nim ochoczy wstali goście. Pałac i dzieła sztuki nie do nich należały. Ruszyliśmy w głąb domostwa. Przedem lokaje niosący wysoko lichtarze. Potem ja z K. M. B. Za nami goście. Po drodze zaopatrzyłem się w kij golfowy.

Już od razu, w pierwszej sali, do której weszliśmy, wybór był ogromny. Dzieł sztuki wielka różnorodność. Zaraz od proga palnąłem w zegar empiryczny, co stał na komódce,

a pan domu jakby nigdy nic, pochwalił tylko. Zapragnąłem mu zaimponować wybrednością nie tylko w dziedzinie szkła, porcelany i malarstwa, ale również mebli, tkanin, obić. Cóż, kiedy kijem golfowym niewiele dokazać mogłem, zwyczajny scyzoryk byłby tutaj sposobniejszy. Zastanawiałem się, czy nie poprosić go o siekierkę, ale zrezygnowałem. Nie chciałem go stawiać w dwuznacznym położeniu, gdyby akurat nie miał w domu siekierki.

Na szczęście młodości mi nieco przeszły, widocznie pod wpływem ruchu. Stawałem przed coraz to innym serwisem, czy obrazem mrużąc oczy z udanym znawstwem, a w głębi ducha rozważałem niepewnie: „Palnąć, czy nie palnąć...” Właściciel jednak, kiedy dookoła leciały skorupy, albo z głuchym odgłosem pękało płótno, wciąż akceptował wytwornie i to dodawało mi otuchy i zapału.

Wkrótce bardzo się rozochociłem. Taka okazja nieczęsto się zdarza, niezależnie od jej antykwarycznego aspektu. „Za mój naród, za wasz dobrobyt, za kulturę” — myślałem sobie z posępną satysfakcją, waląc w kolejny antyk — „Za Rosjanina, za Excelsior”. I sypały się drzazgi, strzępy, skorupy. Nasz pochód szedł przez amfiladę. Niewzruszeni lokaje wysoko wznosili świece, coraz to nowe gabinety, sypialnie i salony otwierały się przed nami, a ja już nawet przestałem udawać, że wybieram cokolwiek. Spociłem się i biłem w co popadło. Więc nic dziwnego, że wkrótce zabrakło mi tchu i z trudem dźwigałem kij golfowy.

— Może odpoczniemy? — zapytał K. M. B. kiedy doszliśmy do przestronnego salonu. Powiedział to zbyt niedbale, wydawało mi się. Usiedliśmy wszyscy na spłowiałych drogocенnościach. Dyszałem ciężko, ale nie chciałem dać za wygraną.

— A jak by tak ognisko? — zawołałem. — Po naszymu, po prostu. Zagrzejemy się przy ogniu, pośpiwamy...

— Prawdziwe ognisko? — zapytał K. M. B. błędąc.

— Tak, prawdziwe, kawaleryjskie, nasze. Nie, nie

żadne tam kominki — dodałem, zdążając za jego spoj-  
rzeniem, które padło na posępny, zimny od wieków ko-  
minek. — To nie to samo. Te krzeselka suchutkie są,  
zapłoną jak burzany, jak brzoźki nasze. Jak będzie trzeba,  
to i kanapki dorzucimy, i arrasy...

— Ten pałac płonął już kilka razy — powiedział  
K. M. B. — Czy to nie dosyć? Ostatni raz podczas prze-  
marszu Francuzów.

— Francuz to zgniłek — oświadczyłem twardo. —  
Je żaby i słabo się rozmnaża. No jak, palimy, czy nie?

— Nie chciałbym być źle zrozumiany — na to  
K. M. B.

— Więc o co się pan martwi. U nas, na wschodzie,  
ciągle się wszystko paliło, taki cug. A my nic, gdzie goło,  
tam wesoło. Dawaj pan zapałki.

W tej samej chwili wszedł do salonu Mike. Już z da-  
leka dawał mi znaki.

— Przepraszam, że przerywam miłą pogawędkę —  
rzekł do pana domu. — Mam pilną depezę dla pańskiego  
gościa. — I podał mi biały bilecik.

— Od Monizy — dodał cicho.

Zupełnie zapomniałem o Monizie. Odszedłem na bok  
i zacząłem czytać. Zebrani pośpiesznie opuszczali salę.

„*Darling*” — czytałem niewyraźne, nakreślone w po-  
śpiechu pismo Monizy. — „Jerry zabiera mnie do Holly-  
wood. Wie wszystko. Odlatujemy jutro o dwunastej.  
Zaklinam cię, przyjeżdżaj natychmiast. O dziesiątej wym-  
knę się na plac świętego Marka. Będę czekała przed  
Bazyliką. *I love you*”.

— Muszę natychmiast wracać do Wenecji — powie-  
działem do Mike’a. — Ma pan samochód?

— Vladyslav czeka przed bramą — odpowiedział  
niechętnie. Jestem przekonany, że kochał się skrycie  
w Monizie. Misji podjął się tylko z nieprzyjaźni do Jer-  
ry’ego.

Pobiegłem do wyjścia, przebywając z powrotem pus-  
te teraz korytarze. Rozstawieni przy drzwiach lokaje nie-

ruchomo wznosili lichtarze, wskazując drogę. W sali jadalnej było pusto. Ani gości, ani służby. Tylko księżna w sukni koloru pierwszy maj kontemplowała rozbity wazon. Przez otwarte drzwi wlatywał świeży powiew nocy. Moniza wyjeżdża, wszystko skończone.

— Rozbierać się! — huknąłem do księżnej. — Za mną trzysta dywizji!

Byliśmy sami. Czy się rozbierze? Gdyby się opierała, nie mógłbym wystawić przeciw niej ani jednego batalionu. Ale ona bez oporu pozbyła się sukni. Złapałem tę suknię i wyskoczyłem na taras. W rozległej nocy paliły się światełka miasteczek i przesuwały się reflektory samochodów w dolinie. Znalazłem maszt, na który przy uroczystych okazjach wciągano odpowiednie flagi. Przyczepiłem suknię do linki i wciągnąłem ją na górę, salutując. Potem porwałem ze stołu parę butelek piwa i schowałem je pod marynarkę. Przyda się. A poza tym... oni mają takie ładne butelki!

Vladyslav istotnie czekał już przed bramą.

— Szoferuj pan, panie Władku! — krzyknąłem zapadając w poduszki samochodu. — Było nie było, bęc babcię w ryło. Co upadło, to przepadło.

Ale Vladyslav zapomniał już widocznie na obczyźnie mowy swojej ojczystej, bo nic nie rzekł, tylko nałożywszy czapkę, którą przedtem był zdjął na znak szacunku, usiadł na swoim miejscu, zatrzasnął drzwi i ruszył w milczeniu. Za nami, na zamku, powiewał czerwony brokat.

## 11.

Moniza... ona była moją ostatnią szansą.

Pędziliśmy, aż drzewa przydrożne leciały bez opamiętania jedno za dwudziestym. Plecy Vladyslava i głowa w okrągłej, dętej czapce, sterczały przede mną na tle tej oświetlonej kawalkady, jak na ekranie.

Wyjedziemy stąd — myślałem — do Hollywood.

Jerry'ego trzeba będzie załatwić raz na zawsze. Sęk w tym, że on pewnie zna judo. Tacy panowie od dziecka uczą się walki japońskiej i dobrych manier. Chociaż możliwe, że jako Amerykanin chował się gdzie bądź, a dopiero potem doszedł do wszystkiego własnym wysiłkiem. W Ameryce często tak się zdarza, zwłaszcza w sferach filmowych. Ale w takim razie na pewno zna boks.

Wszystko jedno, jakoś to będzie. Moniza pomyślała chyba o wszystkim. Na razie to my go zaskoczmy, a zaskoczenie zawsze daje przewagę. Najważniejsze, żeby obmyśleć jakiś sposób ucieczki. Kiedy już będziemy w Hollywood, wszystko się ułoży. Moniza ma tam na pewno jakąś willę z solidnym ogrodzeniem i prywatną strażą. A Jerry... może da za wygraną i sam usunie się w cień. Bywały już takie wypadki. Ostatecznie nieraz widywało się w kinie silnych, odważnych mężczyzn, którzy rezygnowali za swoich praw, byle tylko dać szczęście ukochanej kobiecie. Albo rozpije się z rozpacz, zdegeneruje, przede wszystkim fizycznie. Z pijakami łatwiej dać sobie radę, nawet gdyby co do czego doszło. Mięśnie osłabione, oddech krótki, wzrok mętny, takiemu wystarczy nogę podstawić. Zresztą, wtedy może i bić się chciał nie będzie, tylko do baru go będzie ciągnęło. Na wszystko zobowiązanie.

Ułożymy sobie spokojne, ciche życie. Rano, po śniadaniu, ona do wytwórni, ja w jedwabnym szlafroku posiedzę sobie jeszcze trochę przy czekoladzie, potem na taras wyjdę, popatrzę. Ładnie tam musi być, w tej Kalifornii. Pływalnia też pewnie jest w ogrodzie. Poczytam, przejdę się, potem golenie, kąpiel. Moniza dzwoni z wytwórni, tylko jedno słóweczko, chce umówić się na wieczór. Cocktail w Metro Goldwyn, albo gdzie indziej. Ale nie codziennie, zależnie od samopoczucia.

Awantur żadnych na przyjęciach urządzać już nie będę. Po co, i tak nie zrozumieją. Nigdy nie zrozumieją naszych doświadczeń, nie będą wiedzieli, przez co myśmy przeszli, jak ciężko potraktowała nas historia. Tym lepiej,



będę nad nimi górował bogactwem horyzontów, wrażliwością, będę miał zmysł historyczny.

Tylko czasem, w wesołym gronie, zamyślę się na chwilę, wśród plotek i żartów, umilknę, odejdę gdzieś na bok, w cień, ze szklanką w ręce stanę nad taflą wody, wodne zwierciadło odbije mój biały tors z czarną muszką, zamyślę się gorzko. Kto wie, może wejść w ubraniu do wody, oni w Ameryce czasem to robią. A nawet jeżeli by się zdziwili, to przecież wszystkim wiadomo, że jestem z daleka, obcy, że nie należę do nich. Może też zaprzyjaźnię się z jakimś biednym statystą ze studia, także obcoplemiennym. Razem będziemy siadywali w jego ubogim pokoiku, sączyli napój wprawdzie nie rodzimy, ale który także daje ukojenie, wspominali. On gitarę zdejmie ze ściany i zanuci piosenkę, jak i my obcą na kontynencie, piosenkę starego kraju. I wszyscy dziwić się będą, co łączy mnie z biedakiem bezimiennym, z legionu zapoznanych, którym się nie udało. Jaki sekret, jaka tajemnica. Nikt nie będzie wiedział, jak prosty to jest sekret: nostalgia.

— Szybciej panie Władeczk — powiadam niecierpliwie. — Szybciej.

Nie zapomnę o kraju. Nie, nie będę się mieszał do żadnej akcji politycznej. Ale mogę na przykład zakupić wielką partię skuterów, dziesięć, piętnaście, trzydzieści tysięcy sztuk i wszystkie pošlę, nowiutkie, jako dar dla naszej młodzieży. Cło także zapłacę, proszę bardzo. Niech mają, za ciężkie dzieciństwo, za obowiązkowy udział w manifestacjach, za to, że musieli patrzeć, jak ich ojcowie moczyli nogi, całe w bąblach, po powrocie z ucieczek z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód. Grających szaf też im nakupię i będę dbał o to, żeby zawsze mieli świeży repertuar, oni tak lubią jazz. Ostatecznie wychowałem się po tamtej stronie i należę do nowego pokolenia. Jakby jaka zbiórka na jakiś pomnik w kraju, też dołożę. Znajomi będą chcieli założyć sobie kafelki w łazience, albo kranik nowoczesny, owszem, chętnie kupię i im po-

śle. Oni tak tęsknią za nowoczesnością, kto wie, jacy by byli nowocześni, gdyby tylko mieli odpowiednie warunki. Nie neguję osiągnięć, analfabetyzm jest wyteplony.

Może kiedyś pojedę tam z wizytą. Odbywają się różne festiwale filmowe, Monizę mogą zaprosić. Zamieszkać w hotelu dla cudzoziemców, zaobserwuję zmiany, jakie zaszły podczas mojej nieobecności, służba do mnie zagada po angielsku, a ja wtedy do nich mową ojczystą: „Proszę mi podać to, albo tamto”. Dopiero będzie zdziwienie i radość. Jak się zna język, to można lepiej zwiedzić kraj. Samochód możemy jakiś wziąć ze sobą, albo dwa, na przykład seledynowego Buicka, z reflektorami jak gwiazdy betlejemskie. Gawiedź zbierze się wokół niego na parkingu, a ja, kiedy będę wyjeżdżał, zostawię go na ulicy. Zdyszany dyrektor hotelu biegnie za mną, woła: „Mister, mister, pański samochód!”. A ja na to: „Zostawiam go”. On nie rozumie: „Jak to, zostawia pan samochód, taki samochód?”. „Tak, znudził mi się”. „Jakże, nie zabiera go pan ze sobą z powrotem?”. „Nie, jestem zmęczony. Po prostu go zostawiam, niech pan z nim zrobi, co pan zechce”. Taki będę miał styl.

Odwiędzę także to miasto, w którym kiedyś żyłem. Wejdę do lokalu, gdzie jadałem codziennie obiady. Poznają mnie, oczywiście, chociaż skronie będę miał przyprószone siwizną i ubiór niezwykły. Płaszcz lekki, ale ciepły, firmy „Elite”, buciki w szpic, tam zawsze takie są modne. Jak gdyby nigdy nic zamówię pierogi, jak zawsze, jak przed laty, jak swój człowiek, jak gdyby nigdy nic się nie stało, nie zmieniło. Toż to dopiero nastąpi poruszenie. Tłoczyć się będą w drzwiach do sali jadalnej, patrzeć, zazdrościć, nie ukryją zawiści zmieszanej z zachwytem. A ja nic, zwyczajnie, skromnie będę jadł sobie pierożki, dobroduszny, przystępny, towarzyski. Zażartuję, pozwolę, kiedy nieśmiało zapytają, czy wolno płaszcz pomacać, nawet przymierzyć. Owszem, proszę bardzo, przecież taki płaszcz to dla mnie drobnostka.

Albo też może się zdarzyć, że spotkam siostrę kolegi

i jej koleżankę. Akurat będą w rozkwicie kobiecości. Umówię się z nimi w kawiarni. Od sąsiednich stolików dolatywać będą szept, głowy pochylone ku sobie, ukradkowe spojrzenia, nazwisko Monizy Clavier wypowiedane półgłosem. Zamówię ciastka. „Ile?” — zapyta kelnerka. — „Każdą ilość. Acha... kwiatów tu nie macie?”. „Nie, nie trzymamy”. „Dziwne, w Nowym Jorku można dostać kwiaty w hallu. W takim razie proszę posłać po kwiaty dla tych pań. Cena nie gra roli”.

Kobiety będą nieśmiałe, drżące... Opowiem im od niechcienia o nudzie życia towarzyskiego w Hollywood. „U was inaczej, jakoś tak bardziej po prostu, bezpośrednio, po ludzku. Łatwiej tutaj o bezpośredni kontakt między ludźmi. Skromnie, to prawda, ale za to bardziej humanistycznie”. One nieśmiało, okrężną drogą, zagadną mnie o Monizę Clavier. „Moniza? Owszem, lubię ją, to poczciwa dziewczyna. Ale wie pani, aktorka... czasami tęsknię za normalną, inteligentną kobietą, z tej, a nie z tamtej strony ekranu”. Ona: „Czy spotkamy się jeszcze?”. Ja: „Niestety, dzisiaj wieczorem wyjeżdżam. Mam samolot do ZÜRICHU o jedenastej dwadzieścia”.

— Szybciej panie Władeczk, szybciej!

Do Wenecji jeszcze spory kawał. Świt ledwie się zaczyna. Vladyslav robi co może. Trochę mi mdło, szczególnie na zakrętach. Moniza, tylko ona jedna, Moniza... Już niedługo ją zobaczę. Gdy tylko uwolnimy się od Jerry'ego ukryjemy się w jakimś małym hotelu. Koniec udręczeń, tylko jedno nam teraz pozostało: spotkać się nareszcie bez przeszkód. Niech znikną minuty i kilometry, które nas jeszcze dzielą, do Monizy, do Monizy!

I widzę ją już z daleka, jak stoi na Placu Świętego Marka, przed Bazyliką, lekka i wdzięczna. Dookoła tłum wesoły, niebo błękitne, jak podczas naszego pierwszego

spotkania. Idę przez tłum fotografujący się wzajemnie, między Niemcami w krótkich spodniach, Amerykankami w kwiatkach na głowach, Japończykami uśmiechającymi się grzecznie. Co chwila rozlega się furkot i gołębie ulatują w powietrze. Trzeba brnąć przez ławice gołębi. Sięgają do kostek, do kolan, do ramion, unoszą się nad głową. Wszyscy się odbijają w niebieskawych obiektywach, foto, i kino, w oczach bezrzesnych i mechanicznych, przeważnie umieszczonych na piersiach, jak u jednookich cyklopów, które według średniowiecznych rycin zamieszkują skraj świata. Poniosą mnie potem, przypadkowego, albo moje ucho, czy nogę, utrwalone w kolorach, czy też czarno-białe, nieruchomego w zastygłym marszu, albo poruszającego się w krótkim, spazmatycznym dążeniu na taśmie filmowej i jakaś rodzina daleko stąd i kiedy indziej pochyli się nade mną, jako nad pamiątką z wakacji. Dzień dopiero się zaczął, wszyscy są wypoczęci, pełni entuzjazmu i najlepszej woli wypełnienia go pożytecznymi przyjemnościami. Omijam co gęściejsze grupy, czasem utknę na chwilę przed pozującym do zdjęcia oddziałem, często przepraszam kogoś z uśmiechem protezowym, jak mechaniczne „Klik” albo „Klak” wydawane przez okoliczne aparaty. Czasami zaślaniają mi Monizę Bawarczycy w papierowych, tureckich fezach, zadowolonych, że im się tak udało, albo plażowe parasolki, kobiety w szortach, lipcowa stonoga. Zaślaniają mi Monizę wyciągane i wskazujące ręce, albo rąb kapelusza słomkowego Mexicano, ale widzę ją, widzę ją znowu, kiedy przyklęknie siwy człowiek przed Bazyliką, przyklęknie, aby ją sfotografować. Idę do niej, jestem coraz bliżej, jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze dziesięć. Zauważyła mnie wreszcie, uśmiecha się, ja uśmiecham się do niej, dajemy sobie znaki rękami, jeszcze odrobinę za daleko, żeby mówić do siebie.

Wtedy jakiś człowiek z walizką w ręce wchodzi w dzielącą nas przestrzeń. Musiałem zwrócić na niego uwagę, bo wydało mi się, że to moja walizka. Moja, czy nie moja? Ten sam rozmiar, tak samo niby ze skóry, ale

mnie nie oszuka! Ja znam te wytarte kanty, ukazujące bezwstydną szarość rozmiękczonej tektury. Patrząc na te krzywe zamki i widzę, jak odskakują, jeden po drugim. „Uwaga!” — krzyczę odruchowo w swoim języku, ale jest już za późno. Walizka się otwiera i wypada z niej kupa bielizny, wyłysiała szczoteczka do zębów skacze po płycie San Marco, suche bułki i zapasowe spodnie.

— Rodak! — woła właściciel walizki i otwiera ramiona. — Jak słowo daję, rodak!

Nie myślałem wiele. Chodziło mi tylko o to, żeby jak najprędzej usunąć rozrzucone, żałosne, wstydlive przedmioty, ukryć je, wepchnąć je z powrotem do walizki, zawrócić do stanu niebyłego. Zdawało mi się, że kiedy to się stanie, wszystko wróci do normy, będzie znowu jak przedtem. Schyliłem się i zacząłem je zbierać latającymi rękami. Więc i on ze swej strony się schylił, zbierał i mówił przy tym bez przerwy:

— Zamki puściły, często puszczają, cieszę się, że widzę rodaka, kolega już długo, kolego na długo?

Obaj łazimy na czworakach i widzę ponad jego głowę, jak Moniza daje mi jakieś rozpaczliwe znaki. Zrywam się na równe nogi. Nie będę już więcej zbierał — i tak wszystko widziała. Ale jest już za późno. Spoza kamiennego lwa świętego Marka wyskakuje Jerry, chwytając Monizę za rękę i ciągnie ją na bok. Moniza opiera się, ale bezskutecznie, wyglądają jak para tancerzy przebiegająca salę w skocznej galopadzie. Moniza jeszcze odwraca się do mnie, widzę jej twarz, coś do mnie woła, nie słyszę. I już jej nie ma. Nie ma nikogo.

Jednocześnie osobnik wziął mnie pod ramię. Musiał ich także widzieć, bo nachylił się i powiedział porozumiewawczo:

— Kolega ich zna? Może by się dało pożyczyć od nich parę groszy. Widziałem tutaj buciki, bardzo tanie...

Nawet nie próbowałem się uwolnić. Ogarnęło mnie wielkie znużenie, jak po zbyt długim przedstawieniu, kie-

dy trzeba wstać z krzesła i zeszywniałe kolana odmawiają posłuszeństwa.

— Gotowe — powiada on, upychając w walizce ostatnie kalesony. Uprzejmie dziękuję koledze za pomoc. Idziemy, warto by coś przekąsić. Dokąd kolega proponuje?

Pomóc! On myślał, że ja chciałem mu pomóc! Pomóc, to nie jest takie jednoznaczne. Pozwoliłem się prowadzić. Przepychaliśmy się przez tłum w odwrotnym kierunku. On wciąż coś mówił. Dopiero kiedy znaleźliśmy się w bocznej uliczce, po raz pierwszy palnąłem go w ucho.

Oddał mi natychmiast. Próbowaliśmy go kopnąć, ale ukazali się dwaj policjanci z szablami i ani ja, ani on nie chcieliśmy ryzykować. Przez chwilę szliśmy ramię w ramię, głośno rozmawiając. Temat nam przyszedł sam przez się: o powrocie do kraju. Policjanci przyglądali się nam podejrzliwie, zapewne znowu z powodu tej walizki. Wreszcie zniknęli za rogiem i wtedy mnie pierwszemu udało się kopnąć go boleśnie w kostkę. Skakał na jednej nodze, przeklinając. Ale nie opłaciło mi się to, bo odtąd musiałem nieść walizkę. On utykał i wspierał się na moim ramieniu. A przy tym musiałem się mieć na baczności, bo kilkakrotnie usiłował mnie ugryźć w palec.

### 13.

Co więcej mogę powiedzieć? Zamieszkaliśmy razem w brudnym hotelu koło dworca kolejowego, w pokoju bez okna, długo targując się o cenę. Kiedy już zamknęły się za nami drzwi, stanęliśmy naprzeciwko siebie, oko w oko, a potem już spokojnie, bez obawy przed skandalem i policją, tłukliśmy się długo, w milczeniu, sapiąc tylko i od czasu do czasu wydając zawzięte, głuche okrzyki: „Puść, puść!”, albo „Ja ci!” — „Co? Ty mnie? Ty mnie?”. Pokój był na samym końcu korytarza, pod schodami, sprzęty koślawe i prymitywne nie przedstawiały

większej wartości, nikt do nas nie zaglądał i prawdopodobnie nie słychać było nawet dolatujących stamtąd łomotów i rumorów, trwających przez całe popołudnie. Pory dnia przechodziły nam niespostrzeżenie, bo tylko naga żarówka, zwisająca z sufitu jak sonda z dna innego, płynącego nad nami światła, przyświecała nam jednostajnie, blado i obojętnie. Na zewnątrz była już chyba noc, kiedy osłabieni, zaczajeni w dwóch przeciwległych kątach parzyliśmy na siebie, poprawiając odzież i dysząc ciężko. On się przyczesał, ja także chciałem, ale on nie chciał pożyczyć mi grzebienia. Potem zjedliśmy trochę kabanosa z jego zapasów. Po kolacji walczyliśmy jeszcze, ale już nam nie szło, tarposiliśmy się tylko bezsilnie. Więc zasnęliśmy na jedynym, wspólnym łóżku. W nocy on ściągnął ze mnie koc.

Powoli ustalił się porządek naszego współżycia. Walczyliśmy jeszcze, ale na mocy niewyznanego porozumienia, przerywaliśmy o pewnych godzinach, żeby odetchnąć, zjeść coś, zrobić przepierkę, a nawet wyjść do miasta. Przed wyjściem starałem się nasypać mu żwiru do tenisówek, których używał jako obuwia na co dzień.

Przyszedł także czas na rozmowy. Siedząc na łóżku, w gaciach, z podbitym okiem, palił papierosa, także z krajowych zapasów, napełniając pomieszczenie kwaśnym dymem, który wgryzał się w tkaniny, przenikał we włosy, w płuca i trwał długo, jako nieustępliwy odór. Ja w umywalce prałem coś, starając się o to, żeby zatkały zlew chociaż od czasu do czasu przepchać szczoteczką do zębów. Rozmawialiśmy wtedy o różnych sposobach przyrządzania śledzików, o tym, jak u nas jednak jest inaczej, o zimie, która niedługo miała nadejść, chociaż jeszcze nie zaraz. Potem on gasił papierosa i rzucał we mnie czym popadło, a ja kończyłem przepierkę i biliśmy się jeszcze z godzinę albo dwie.

Raz nawet udało mi się osiągnąć zupełną nad nim przewagę. Zrobiłem to podstępem. W naszym pokoju, który służył także jako skład niepotrzebnych przedmio-

tów, znajdował się duży kosz na bieliznę, z wiekiem zamkniętym na kłódkę. Pewnego razu, szukając czegoś do zjedzenia, otworzył ten kosz, choć mało było szans, żeby tam coś znaleźć. Skorzystałem z okazji. Skoczyłem mu na głowę, wtłoczyłem do środka, a potem wepchnąłem go całego. Zamknąłem wieko i usiadłem na nim. Przez szparę w pleciance dolatywały mnie głuche przewiska, ale nie mógł się stamtąd wydostać.

Przez głowę przelatywały mi rozmaite myśli. Mógłbym teraz nocą wrzucić go do kanału. To było najprostsze. Nadanie go na bagaż w jakimkolwiek kierunku nie wchodziło w rachubę, jako przedsięwzięcie nazbyt kosztowne. Mógłbym także, nie ryzykując ewentualnego śledztwa i kary za morderstwo, po prostu zostawić go tak i wyprowadzić się chyłkiem. Uciec, odzepić się od niego, o to mi przecież chodziło. Pójść znowu, wolny, dokądkolwiek, kto wie, może znowu odnaleźć Monizę, może wszystko zaczęłoby się od początku?

Pogrążony w marzeniach siedziałem na nim, a czas mijał. Zwolna on także ucichł, bo zachryplł od wymysłów i znużył się przekleństwami. Było więc cicho i spokojnie. Snułem obrazy coraz śmielsze, plany coraz dalsze. Zmęczyłem się nareszcie. Najpiękniejsze nawet marzenia po pewnym czasie tracą świeżość, zdolność natychmiastowego urzekania. Trzeba dopiero z wysiłkiem przypominać sobie: „Zaraz, zaraz, o czym to ja marzyłem, że było mi z tym tak dobrze... Acha, już wiem. Wyobraźmy więc sobie, że...”. Ale tu już zaczynała się praca, zwyczajny wysiłek umysłowy, który nie przynosi oczekiwanej radości.

Znudziło mi się więc po pewnym czasie, a siedzenie na tym koszu także nie było najwygodniejsze. Widocznie za długo delektowałem się szansą, aż wyczerpałem się wyobrażaniem sobie możliwości, jaki mi się oferowały. Zaczęło mi ciążyć to milczenie.

— Jesteś? — zapytałem półgłosem.



Nie odpowiedział. Zrobiło mi się nieswojo.

— Jesteś tam? — zapytałem głośniej.

Milczenie.

— Czemu nic nie mówisz? — wrzasnąłem zirytowany.

— Jestem, a bo co? — odpowiedział niechętnie.

— Nic. Myślałem, że cię tam nie ma — stwierdziłem zgodnie z prawdą moich marzeń. I wypuściłem go.

Potem raz tylko wydawało mi się, że wszystko się zacznie od początku. Było to w tej samej alei, gdzie po raz pierwszy spotkałem Monizę. Nawet niepokoiłem się, co ja zrobię z moim towarzyszem, jak przedstawię go wytwornej trójce, która za chwilę ukaże się konno. Toteż odetchnąłem z ulgą, kiedy po chwili nadśłuchiwania stwierdziłem, że żaden tętent się nie rozlega. Ani głosy mew, ani syreny statków, ani dzwony kościołów, ani szum morza. Nie rozlega się w ogóle nic.

1963

Bywa, że niebezpieczeństwo chodzi nie tylko po lasach.  
Dla przykładu opowiem jedną historię o strzelaniu.

Mój przyjaciel podróżnik, znający w niewyobrażalnych  
okolicznościach, napisał mi w kwaterze swoją strzelbę.  
Pikantissima. —

### O N A

Co dziwniejsze, zwinęły się nawet się spóźniła.

Zabrałem ją na pierwsze polowanie i od razu widzę  
czuć ciekawą każdą bestię po prostu się do nas garnie.  
Czy to będzie wilk, dzik, czy jeleń, łaniemu palerz, żeby  
podejść pod lufę. Co raz któryś wypada z lasu zachwycany  
i staje w kolejkę. A niektórzy nawet się przepychają. Pow-  
stał z tego śmiech i zamieszanie. Zawsze miałem zamiar na  
tych płachach i nie wiem, co niewyobrażalnym wam się przy-  
stąpi, ani przypadek do siebie nie dają. Ale widzę, jak  
strzelba widziła strachem i bogactwem obywateli.

Widzę, że spleść się nie ma co, stało więc pod  
debetem, zapalałem papierosa i czekałem, aż się ustawię  
według jakiegoś porządku. Wreszcie pogodzą się między  
sobą. Ustaliły, że jeden ochylnie pierwszy będzie miał  
przywilej. Owszem, może u któregoś jak u innego, oko  
mało i zła i odwrotne na największą. Dają nam prawie znak,  
że się zgodzą. Odwożą kurki i błoty go na cel. Obydwo  
na światli ogień zadają z zachęty i szorstko. Nieodmowa  
spół. Ale zamiast wystrzelić dymem, jak strzelba woli.

— P. P. P. —

Nie owadza temu się nad tym naruszenia, bo ledwo



Bywa, że nieszczęścia chodzą nie tylko po ludziach. Dla przykładu opowiem jedną historię o strzelbie.

Mój przyjaciel podróżnik, zmarły w niewyjaśnionych okolicznościach, zapisał mi w testamencie swoją strzelbę. Piękna sztuka.

Co dziwniejsze, zwierzynie równie się spodobała.

Zabrałem ją na pierwsze polowanie i od razu widzę rzecz ciekawą: każda bestia po prostu się do nas garnie. Czy to będzie wilk, dzik, czy jeleń, każdemu zależy, żeby podejść pod lufę. Co raz któryś wypada z lasu zadyszany i staje w kolejce. A niektóre nawet się przepychają. Powstał z tego ścisk i zamieszanie. Zewsząd wali zwierz na ogół płochliwy i nieużyty, co zazwyczaj ani sam nie przystąpi, ani przystąpić do siebie nie daje. Ale widać piękna strzelba każdego przekona i łagodzi obyczaje.

Widzę, że śpieszyć się nie ma co, staję więc pod dębem, zapalam papierosa i czekam, aż się ustawią według jakiegoś porządku. Wreszcie pogodziły się między sobą. Ustaliły, że jeden odyniec pierwszy będzie miał przyjemność. Owszem, szable u niego jak u huzara, oko małe i złe i ochotę ma największą. Daję mu przeto znak, że się zgadzam. Odwodzę kurki i biorę go na cel. Odyniec aż świński ogon zadarł z radości i szarżuje. Naciskam spust. Ale zamiast wystrzału słyszę, jak strzelba robi:

— P... P... P...

Nie miałem czasu się nad tym zastanowić, bo ledwo

zdążyłem uskoczyć za drzewo. Dzik przeleciał obok mnie i zniknął w lesie, łamiąc gałęzie. A ona wciąż tylko:

— P... P... P...

Dzik miał taki rozpęd, że chociaż hamował, nie mógł się zatrzymać, aż dopiero pod wieczór, przed wsią. Mówili mi potem chłopci, co widzieli.

A ona potwarza:

— P... P... P...

Jasne, że coś tu było nie w porządku.

Zwierzyna powstała, powstała i rozeszła się, utyskując, a niektóre podśmiechiwały się nawet.

A ona nic, tylko:

— P... P... P...

Usiadłem w dąbrowie. To gładziłem ją, w nadziei, że się uspokoi, to biłem pięścią, z żalu i ze złości. Wreszcie położyłem ją na mchu i sam wyciągnąłem się obok niej, czapkę nacisnąłem na oczy. I już ani nie biję, ani nie uspakajam. Rozmyślałem tylko. Leży jak długa i aż nią trzęsie od tego jej:

— P... P... P...

A niech ją trzęsie.

I dopiero jak nie wypali:

— P... P... P... Pif-Paf!

Zerwałem się na nogi. Tymczasem musiałem się zdrzemnąć, bo słońce już zachodziło. To znaczy przez całe popołudnie tak się męczyła.

I dopiero zrozumiałem: mam strzelbę jakałkę.

Słyszałem o różnych strzelbach. Podobno była taka, której nie można było używać przy dzieciach, bo strzelała sprośnie. Inna znowu — sztucer, zdaje się — smaliła z cudzoziemska. Zawsze jednak były to bronie, które robiły, co do nich należy. Ale jakała? To się zdarzyło po raz pierwszy i to akurat mnie. Wstyd i kłopot.

Bo co z nią miałem zrobić? Pozbywać się jej nie wypadało. Zawsze to przecież dar mego przyjaciela. Zostać ją w spokoju, nie używać... Tak, mogłem jej nie uży-

wać. Ale żal mi się zrobiło kaleki. Czy to jej wina, że upośledzona?

Ale to wszystko wykręty. Co tu ukrywać — przywiązałem się jakoś do niej.

Zaniosłem ją do rusznikarza. Obejrzał ją dokładnie. Długo ją badał. Wreszcie powiedział:

— Panie, tak pięknej strzelby nie widziałem dawno. Nic jej nie jest.

Odpowiedziałem o jakananiu.

— Możliwe, że jest za nerwowa. Tego rodzaju strzelby są delikatne, właśnie dlatego, że najwyższej jakości. Skąd ją pan ma?

Odpowiedziałem, skąd ją mam.

— To znaczy, przywieziona z egzotycznych krajów. Kto wie, co ją tam spotkało. Możliwe, że w przeszłości doznała jakiegoś wstrząsu podczas polowania. Są rzeczy, które zostawiają ślad.

— Czy to jest uleczalne?

— Na razie spokój i oględne traktowanie. Polowanie wykluczone, dopóki nie przyjdzie do siebie. Potem można zacząć ostrożnie od zwierzyny domowej i zależnie od wyników przejść stopniowo do drobnej zwierzyny polnej: muszki, wołki zbożowe... Zabierać ją czasem do lasu i obserwować reakcje. Przy dobrym samopoczuciu spróbować palnąć do jakiego grzybka. Ale już z muchomorami uważać, ponieważ jest to grzyb złośliwy. Przy pierwszych objawach zaburzenia przerwać stanowczo. Właściwą zwierzynę odradzam na długo. Przyjść znowu do mnie po pewnym czasie.

I pogładził moją strzelbę pieścotliwie, a nawet — wydało mi się — zbyt pieścotliwie. Nie spodobał mi się ten gest.

— ... A gdyby pan nie mógł sobie dać z nią rady...

— To co? — zapytałem szorstko.

— ... To ewentualnie ja mógłbym ją wziąć — powiedział obojętnie patrząc w sufit, nazbyt, jak na mój gust, obojętnie.

Podziękowałem mu chłodno i obiecałem stosować się do jego zaleceń.

Żeby zapewnić strzelbie maksymalny spokój, umieściłem ją w oranżerii. Nie dolatują tam żadne hałasy, nikt tam nie przychodzi oprócz ogrodnika. Ale ten, rozmówiany w roślinach, bronią palną się nie interesuje. Ciepłarnia, położona w głębi ogrodu przytulna jest i zaciszna. Strzelba odpoczywała na stoliku, w futerale, wśród kwiatów i cytrusów. Dobrze jej tam było. Żadne zwierzęta, wyłącznie rośliny. Mogła przyjść do siebie.

Odwiedzałem ją często. Otwierałem futerał i siadałem naprzeciw. W równomiernie rozproszonym, łagodnym świetle oranżerii pięknie i mocno występowały jej oksydowane lufy, tonem głębokim i ciemnym, lecz czystym, jak górskie jezioro. Wkrótce zabroniłem nawet ogrodnikowi wstępu do ciepłarni i sam zająłem się doglądaniem kwiatów. Nie chciałem, żeby ją niepokoił ktoś obcy. Sądzę, że zrodziło się we mnie ciepłe uczucie, jakie się żywi wobec istoty bezbronnej i zdanej wyłącznie na naszą opiekę.

Pewnego razu odwiedził mnie rusznikarz. Długo kręcił, zanim zapytał, jak się czuje strzelba. Odpowiedziałem uprzejmie, że poprawia się z dnia na dzień, ale do oranżerii go nie wpuściłem. Zmienił temat, ale dobrze widziałem po lataniu oczu i drzeniu rąk, że nic innego go nie zajmuje.

U strzelby przesiadywałem przeważnie w dzień, ale zaszła pewna okoliczność, która mi kazała zwiększyć czujność. Mianowicie ogrodnik powiadomił mnie, że nocą ktoś niszczy jego grządki. Obejrzałem ślady. Tak, najwidoczniej ktoś chodził koło oranżerii. Podejrzywałem rusznikarza.

Ustawiłem w oranżerii łóżko polowe i zostawałem tam na noc. Niezapomniane wieczory. Przy pełni księżyca lśniła jeszcze delikatniej niż za dnia, w poświęcie przesianej przez szklany dach, w odurzającym zapachu

orchidei. Zanim kładłem się spać, spędzałem przed nią godziny aż do świtu.

Sen mnie zmorzył. Tam było duszno. Obudził mnie trzask i brzęk tafli szklanych i powiew rześkiego powietrza. Kierował mną tylko odruch, mną, wyrwanym ze snu. Chwyciłem, zmierzyłem, wypaliłem.

Tak, wypaliłem. Bo czy to wyzdrowiała już, czy też zrobiła to dla mnie, ten ostatni, morderczy wysiłek? Rozległ się wystrzał przejmująco piękny, najpiękniejszy jaki słyszałem w życiu. Przede mną leżał znajomy odyniec trafiony w serce. Z utrwalonym w oczach na zawsze wyrazem zachwyty.

Ale to kosztowało ją zbyt wiele. Nigdy już potem nie przyszła do siebie. Przestała się nawet jąkać, zamilkła. Zamilkła na zawsze. Cóż dałbym za to, żeby usłyszeć choćby to jej: „P... P... P...”.

I po dziś dzień żyję w rozpacz, że ten jej jeden jedy-ny, ostatni wystrzał, niepowtarzalną okazję, zgodę, łaskawość, odstąpiłem głupiemu zwierzowi.

1966





Byłam zamknięta u młynarza, co nigdy dawał mi wody. Właściciel młyna oddał się kacerstwu wojskowej i politycznej, przebywał daleko i niewiele się interesował. Mówiono, że dostał do więzień samotywny

## WE MŁYNIE, WE MŁYNIE MÓJ DOBRY PANIE...

„Dobry panie” — Dłuska, kiedy nastąpiła do niej mała wieść o jej młodości. Z latami się ubywało, a powstawała młodość. To ją to widać, że lata leci i chyba się postarzała. W każdym razie dziewczę, mówiąc o sobie jako o młodym, dzisiaj już nie. Wspominam o wieku, aby zmniejszyć, że czasem już w życiu wiele ludzi. A także do królestwa. Nie wypada nie wspomnieć o tym, o czym ludzie myślą, kiedy patnią na siebie. Mógłby powiedzieć, że ja myślę o sobie, nie zaś o sobie. Sprytnie na przykład mówią, boję się węża. „Lysiec?” — pyta. — „Lysiec” — odpowiadałam. I śmiejęmy się obaj, i śmiejęmy się z tego, że się śmiejęmy. I z tego, że... i tak dalej. Ale co jest pod tym naturalnym śmiechem, na samym spodzie? Głęboko mówię się do tego, że myślę, że nie o tym nieśmiały mówię. Lysiec jest tylko lysiec, oczywiście nie ciekawego...

Młyn stał na skoczni, nad strugą. Dłuska, jej struga... Struga zarosła krzewami, drzewami, też czasem, bo w wielkim cień. Zwykle było zielone, jasne, wystawione na słońce. Zimą struga i zarosła białą, lśniącą nie z niebieskim błękitem. Tylko młyn pozostał czarny, jeszcze czarniejszy. Noga najciemniejsza była niebieska — jaski



Byłem parobkiem u młynarza, co młyn dzierżawił wodny. Właściciel młyna oddał się karierze wojskowej i politycznej, przebywał daleko i młynem się nie interesował. Mówiono, że doszedł do wielkich zaszczytów i godności.

Nie byłem już młody, jak mogłoby się wydawać wedle słowa „parobek”. Owszem, kiedy nastąpiłem do młyna miałem wiele sił i młodość. Z latami sił ubyło, a pewnie i młodości. To jedno wiem, że lata lecą i chyba się postarzałem. W każdym razie dawniej mówiono o mnie jako o młodym, dzisiaj już nie. Wspominam o wieku, aby zaznaczyć, że znałem już w życiu wielu ludzi. A także dla konwenansu. Nie wypada nie wspominać o tym, o czym ludzie myślą, kiedy patrzą na mnie. Mogliby pomyśleć, że ja myślę o sobie inaczej, niż oni o mnie. Spotykam na przykład rówieśnika, kolegę z wojska. „Łysiesz?” — pyta. — „Łysięję” — odpowiadam. I śmiejemy się obaj. I śmiejemy się z tego, że się śmiejemy. I z tego także, że... i tak dalej. Ale co jest pod tym ostatnim śmiechem, na samym spodzie? Grzecznie stosuję się do tego zwyczaju, ale czuję, że nie o tym należałoby mówić. Łysina jest tylko łysiną, ostatecznie nic ciekawego...

Młyn stał na zboczu, nad strugą. Drewniany, już czarny... Struga zarosła krzewami, drzewami, też czarna, bo w wiecznym cieniu. Zbocze było zielone, jasne, wystawione na słońce. Zimą struga i zarosła białą, łączyły się z białym zboczem. Tylko młyn pozostawał czarny, jeszcze czarniejszy. Nocą najciemniejsze było niebo — jeżeli

w zimie — i młyn. Latem zaś w nocy czarne były struga i młyn, a niebo jasne. Kiedy przymknę oczy i pomyślę o minionych latach, przedstawiają mi się tylko te przemieszczenia jasności i cieni, bez wyraźnej przerwy. Przymuszam, że dziecko, które jeszcze nie umie określać konturów, zaprowadzone do kina doznaje podobnych wrażeń. Tak mi to jakoś migało.

Wiatr pamiętam tylko latem. Może dlatego, że zimą, kiedy nie ma liści, wiatr przechodził obojętnie przez sieć gałązek, nie zostawał z nami. Latem, szczególnie w dni słoneczne, trwał w liściach, zwłaszcza tych, które brzuski mają jaśniejsze od grzbietów, tak centkowane drzewa i krzewy migocą nieustannie, jak woda w słońcu. Starych drzew to nie dotyczyło, ale pomniejsze i gęsty gaj dawały się kłaść całkiem miękko, tonęły w wietrze, aż dziwne, że potem znów ukazywały się na powierzchni ziemi, wyprostowane, pod wieczór, kiedy nastawała cisza. Pod niskim słońcem zбочe trzepotało, wzdymało się długimi, wędrującymi falami rozmaitej zieloności, jak prześcieradła rozwieszane po praniu w ogrodzie, te znowu błyskały raz ciemniejszą, raz jaśniejszą bielą.

Kiedy wspominam takie dni, a czasem całe tygodnie, nie rozumiem, dlaczego w tym całym ruchu i różnorości nie zapłynęliśmy gdzieś daleko, nie zostaliśmy wyrzuceni na jakiś brzeg, rozbitkowie, czy ocaleni, ale w każdym razie gdzie indziej.

Młynarz spał. Ale kiedy widzieliśmy go nie śpiącego, na przykład przy posiłkach, zapatrywał się przed siebie, nie patrzył ani na talerz, ani na twarze nasze, ani nawet na ściany, nie wiadomo więc było, czy bardziej był śpiący, kiedy nie spał, czy też mniej obudzony podczas snu. A sypiał w miejscach nieoczekiwanych, nie miał ulubionego legowiska. Wychodząc do ogrodu można się było natknąć na jego ciało zwalone w wilgotnej trawie, tak samo, jak wyczuć raczej, niż zobaczyć oddychający jego wolumen w przetrawionej czasem konsystencji ni to już siana ni słomy, ni to kurzu na mrocznym strychu. I nie

wiadomo, czy sypiał, gdzie popadło, czy też zmiennością jego zlegowisk, przenoszeniem się jego ciała po firmamencie młyna, obejścia i okolicy rządziło jakieś prawo. Czasami sypiał prawidłowo, to znaczy w cieniu, gdy dzień był upalny, w cieple, gdy chłodny, ale zdarzało się też na odwrót, cień już dawno przesunął się na wschód, wydłużył się rozpaczliwie, próbując coś tam dosięgnąć i objąć — tęsknota cienia popołudniu, rosnąca ku wieczorowi, zniweczenia cienia wieczorem — a on leżał twarzą ku zachodowi, choć słońce musiało go palić przez powieki.

Młynem nie zajmował się zbyttnio. Nawet dawniej, kiedy jeszcze stał w kantorku i przyjmował zboże od chłopów i zdawał się mieć jakieś projekty i chęci. Ale raczej były to chęci projektów i zamiary chcenia, ta mąka, która wysypywała się spod jego żaren nie była całkiem rzeczywista, chociaż wypiekano z niej chleb, którym ludzie jakoś przecież żyli. Ta mączność nie mączność nie dała się długo ukryć i ludzie, którzy wietrzą nierzeczywistość jak konie wilka, gdzie indziej zaczęli mleć swoje ziarno. Nam to nie szkodziło. Pólko przy naszym młynie choć niewielkie wystarczało na nasze potrzeby. A że właściciel nie upominał się o czynsz, wszystko wróciło do jak najlepszej harmonii. Oni gdzie indziej męłli, a mój młynarz i tak pozostał sobie młynarzem.

Tamte młyny, to były młyny prawdziwe. Nawet nocą dygotały od rzetelnej młyńskości. Kojący widok, taki młyn. Krąg światła w okolicy ciemnej, której nawet psie naszczekiwania nie były w stanie zszyć w jakąś rozsądną całość, ujawniały tylko jej rozpadanie się w coraz to dalszą zaprzestrenność i zaprzyszłość (w niej gdzieś cicho zegłował sobie nasz młyn). Krąg ruchu pięknie poskładanego w obiegu kół, transmisji, trybów, walców i wielokrążków. Całkiem inaczej, niż ten ruch nieobjęty, kiedy zrywa się wiatr. (Przy naszym młynie).

W zimne noce październikowe chłopci ściągali do takiego młyna, jak do prawdy. Ich wozy skrzypiały wokół takiego młyna promieniście, a kiedy na zatłoczonym dzie-

dzińcu pili wódkę w kompanii, czekając na przemiał, w wesołym gwarze, ich podniecenie wywołane ciepłem wspólnoty, alkoholem i wyjątkowością nocnego spotkania oparte było ufnie o ujarzmiony ruch wewnątrz młyna, rozpedzonego a przecież trwałego, o ruch bezpieczny i nieruchomy jak skała.

Młynarzowa — to inna historia. Byłem jedynym mężczyzną w tym ustroniu, oczywiście poza jej mężem. Choćbyśmy nie chcieli, a chyba nie chcieliśmy, nie, daję słowo, żeśmy nie chcieli, ja byłem mężczyzną, a ona kobietą. Czasami, przyznam się, budziło to mój sprzeciw, ponieważ wydawało mi się, że ogranicza to moją wolność. Nie, żeby coś było między nami, tak prosto, jak to sobie wyobraża kolega z wojska. A jednak sam nie wiem, co jest gorsze (czy lepsze), to co kolega opowie koledze w sobotę przy kieliszku, czy to, czego kolega koledze w żaden sposób opowiedzieć nie może. Co było, czy też było - nie było, bo tak się sprawialiśmy, tak umawiali nie umawiając, jakby nie było.

Mianowicie, nie pamiętam już, kiedy to się stało po raz pierwszy, czasami, a nigdy nie mogłem przewidzieć, kiedy... Oto jedno z takich zdarzeń, a raczej jedna z chwil takiego jednego zdarzenia, które, powiedziałbym: ciągnęło się latami, gdyby nie to, że lata nie mają tu żadnego znaczenia i to zdarzenie istniało samo, poza czasem, a więc nawet nie mogę powiedzieć: „jedna z chwil”, bo chwil także nie było.

Ona i ja stoimy przy otwartym oknie, schodzimy się tam przypadkowo. Okno wychodzi na zamkniętą śluzę i koło, nieruchome, koślawe, ale wciąż wielkie, koliste koło młyńskie. Struga szemrze za oknem, w dole, w głębokim cieniu. Chłód nadciąga z parowu, całkiem nieparzysty. Wtedy przez chwilę trzymamy się za ręce. Nawet nie patrzymy na siebie, nawet nie wiem, czy ona wie, że ja stoję obok niej. Rękę ma zresztą chropawą, ciężką, przeważnie zimną. Ponieważ nie patrzę, ani teraz, ani przedtem, ani później, więc nawet nie wiem, jak wy-

gląda ta ręka. Wiem, że to jest ręka, bo jak inaczej wiedzieć coś o ręce. Ale wtedy wiem, że wiem tylko tyle i zapadam się w to, co jest poza tą wiedzą, poza jej granicą, a ta wiedza służy mi tylko do tego, żeby była skończona i żebym mógł znaleźć się poza tą granicą. Nie powiem, żeby mi to sprawiało przyjemność, ale tu nie o przyjemność chodzi, nie powiem, żebym tego szukał. Przez chwilę, jeżeli znowu można mówić o chwili, znajduję się w nieswoim stanie, ponieważ nie znajduję się w stanie. I także „znajdować się” jest nieodpowiednim słowem. Więc co? Zgubić się? Także nie. Mogę coś o czymś powiedzieć dopiero od momentu, wtedy już od momentu, kiedy odnajduję, wtedy już odnajduję, moją rękę osobno. Właściwie, co za ulga. Oglądam moją rękę ukradkiem, z tkliwością i sympatią. A ona, młynarzowa, już odchodzi, już jej nie ma. Spotkaliśmy się przecież koło okna przypadkiem, tym lepiej, a może to i obojętne. Bo nie muszę nawet unikać jej oczu ani też badać ich w niepokoju. Kiedy potem napotykam jej oczy, są puste — czy moje także? To znaczy, owszem, jest w nich wszystko, ale nic takiego, co mogłoby się łączyć z tamtym. Moje oczy widocznie także są puste, bo nic z moich oczu w jej oczach się nie odbija. Nie tylko młynarz, także ona i ja możemy spać spokojnie. To, co się stało, jeżeli coś się stało, stało się gdzie indziej i ponadto ta kobieta nie żyje.

No to, kolego z wojska, napijmy się jeszcze po jednym, jutro niedziela, możemy spać do późna. Ciepły smród stoi w tej knajpie nieruchomo, całkiem jak żona Lota, osłupiała od wódki, nie ze zdziwienia. Ale z tego smrodu nie wyszlibyśmy za nic, nigdy, tak przynajmniej nam się teraz wydaje. Otworzę ci swoje serce. Opowiem ci, jak ja ją na drabinie, to znaczy ona akurat na drabinę chciała wejść — myślałby kto, wiesz bracie, jak jest — w szopie młyńskiej. Jak żonę Lota można by zejść od tyłu, bo się w ogień zapatrzyła. Bo ona się potem nie zamieniła w sól, udawała tylko, bo wiesz bracie, ja wiem i my wiemy. W życie, na strychu, w piwnicy...



Młynarzowa była niemłoda, sterana pracą i dziećmi. Bo dzieci tam było wiele.

O ile młynarz zaskakiwał swoim spaniem, zlewał to tu, to tam — to jednak leżał nieruchomo i zawsze to ja musiałem się natknąć na niego, on na mnie nigdy. Ponadto kiedy leżał to leżał i raz wykrywszy jego położenie wiedziało się, gdzie jest. Młynarzowa miała szlak wyznaczony ściśle niezmiennym porządkiem jej obowiązków. Kuchnia, oporządzenie inwentarza, praca w ogrodzie. Poruszała się z precyzją planety dawno opisaną przez astronomów. Z dziećmi było całkiem przeciwnie. Znajdywały się w miejscach nieoczekiwanych, wyskakiwały z zakątków, gdzie przed chwilą ich jeszcze nie było i znikły z miejsc, gdzie powinny być. Miały swoje kryjówki, jak i miejsca otwarte, gdzie egzystowały wprost, były jawnie bezwstydne, albo bezwstydnie jawne, nawet kiedy ni stąd ni zowąd zupełnie przyzwoite. To komplikowało się jeszcze, kiedy znikły, każdy kąt podszyty był ich obecnością, o której nic już wtedy nie dało się powiedzieć. To ukazywały się wspólnie, jak szpaki obsiadające nagle jedno drzewo z niewiadomych przyczyn, to nagle zapadały się, jedno czy drugie raziło równie niezrozumiałą, dziecięcą samotnością ze szczytu wzgórza, albo siedzące okraciem na krokwi, albo przykucnięte nad jakimś patykiem, na środku podwórza. Czasem krzyczały opętane, przebiegając dom i obejście, to zapadały w ciszę, nawet jeśli nie znikaly z oczu. Do dziś nie wiem, ile ich było naprawdę, chociaż według arytmetyki łatwo mógłbym wyliczyć. Podejrzewałem je o jakieś niejasne świństwa, jak wszystkie wiejskie dzieci żyjące na swobodzie, to znowu wstyd mi było, że mam takie podejrzania, bo kto wie, czy nie rodziły się one z mojej własnej, dorosłej plugawości. Z plugawości, która podgląda dzieci zawistnie i podejrzliwie nawet wtedy, kiedy siedzą z nami przy stole, podejrzewa je o wolność, czyli — co za męka — podejrzewa je o niewinność.

Oczy miały przeważnie czarne, jakby szpiczaste.

Pewnego razu siedziałem nad strugą, patrząc na obracające się koło. Młyn szedł, rzeźił, zgrzytał, ale mełł nasze domowe ziarno na mąkę, której potrzebowaliśmy. Koło obracało się, zmuszone do tego przez wodę, spadającą ze śluzy z łoskotem. Nagle woda jakby zwiędła, zeszcupiała, przestała obracać koło, nie mając już ani rozpędu, ani ciężaru. Poszedłem do śluzy. Woda piętrzyła się tam, wirując mętnie. Coś, przyniesione jej nurtem, zatkało upust. Zanurzyłem ręce, natrafiając na to, spore, miękkie, palcami wyczułem metalowy przedmiot, pociągnąłem. Urwało się i nad wodą ukazała się złota gwiazda, połyskując w ukośnym słońcu za strugą, poszedł od niej „zajaczek”, czyli plama odbitego światła, jaką zabawiają się dzieci, manewrując lusterkiem pod słońce. „Zajaczek” poleciał na drugą stronę rzeki, odruchowo spojrzałem za nim i zobaczyłem szczura piźmowca, przyglądającego mi się uważnie. Pogroziłem mu pięścią na wszelki wypadek i zabrałem się do wyciągania tego, co zatykało śluzę. Szło łatwo, dopóki szło do góry jeszcze pławiąc się w wodzie. Potem pod powierzchnią ukazała się twarz starszego, przystojnego mężczyzny z wąsami. Odzież, ciemniejsza, nie odbierała światła i dlatego wydawało się, że tylko sama twarz wychylnęła z głębin. Piźmowiec uciekł.

Wyciągnąwszy topielca, oparłem go plecami o ścianę. Głowa mu zwisała, ręce leżały bezwładnie po bokach, ale nie zdawał się być nawet zmartwiony, jakby do wody wszedł był tylko po to, żeby się umyć. Owszem, uśmiechał się nawet, uśmiechem człowieka, który wie lepiej, czyli do siebie. Z wąsów spadały mu krople wody. Tylko ja zwracałem na to uwagę, on nie. Przez pierś wstęga miał, po zerwanej gwieździe.

Ta twarz była mi znana, ale jeżeli ją znałem, to z tamtej strony wody. Chcę przez to powiedzieć — znałem ją, kiedy zbliżała się do zwierciadła wody od zewnątrz, z powietrza, jeszcze zanim to zwierciadło przeniknęła. Więc teraz, kiedy wychyliła się z głębi i przeniknęła płaszczyznę od zewnątrz, płaszczyznę o nieuchwytną ni to grubość,

ni to cienkości, która oddziela, bo musi przecież jakoś oddzielać, wodę od powietrza — był to wprawdzie znajomy, ale który przyszedł z drugiej strony.

Był to właściciel młyna. Kto by go nie znał, naszego włodarza. A więc to prawda, co o nim mówiono, że stał się dostojną osobą, marszałkiem, czy nawet kimś więcej. Bo i ta gwiazda złota i ten uśmiech najwyższy, ojcowski... Gwiazdę można sobie przyczepić, ale ten uśmiech sam przybywa, z głębin wtajemniczenia i władzy. Dawniej mógł zrobić co chciał ze mną, najemnikiem, teraz z kolei ja robiłem z nim co chciałem. Oparłem go plecami o ścianę, ale dlaczego na przykład nie rozciągnąłem go płasko na ziemi? Albo nie powiesiłem za nogę? Kiedy on robił ze mną co chciał, mogłem być jego zdania, albo mu się opierać. Teraz on nie miał żadnego zdania o tym, co ja z nim zrobię i nie opierał mi się.

Tymczasem młyn ruszył, woda znów spadała na koło z odetkanej śluzy. W oknie ukazał się młynarz, poziewując, patrząc na drugą stronę rzeki. Przywołałem go, przekrzykując szum wody i łoskot młyna. Nie wiem co odpowiedział, bo szum i łoskot zagłuszyły jego słowa... czy też jedno słowo? Zniknął z okna, czekałem na niego przy topielcu, pewny, że za chwilę przyjdzie i coś poradzi.

Czekałem długo i młynarz nie przychodził. Zły byłem na niego, przecież to on dzierżawił młyn i do niego należało postanowienie, co zrobić z trupem właściciela. Od tego mogła zależeć cała nasza przyszłość. Położyłem topielca na słońcu, żeby przesechł, przyczesałem mu wąsy i sam poszedłem szukać młynarza. Nie było go w młynie ani w obejściu koło młyna, pewnie więc schował się w krzakach nad rzeką. Wszedłem w zarośla. Rozgarniałem listowie, żeby zobaczyć, w którą stronę poszedł, ale listowie zasłaniało listowie, podobnie jak woda w wodzie zasłania sobą wodę. Raczej niż patrzeć należało nadłuchiwać. Przychyliłem się, żeby rozróżnić w zwyczajnym szumie strumienia i lekkich szelestach zagajnika inne szelesty, znaczące, poszycia deptanego stopami i roztrącanych

gałęzi. Ale widocznie przyczał się i on, bo nic takiego nie było słyhać. Wiedziałem, że w czekaniu go nie przeżyję, on mógł zasnąć i spać tak przez całą dobę nie ruszając się z miejsca. Więc ruszyłem ja, na oślep i na głucho, aż natknąłem się na niego. Nie uciekał już, ani nawet nie leżał swoim zwyczajem, ale stał naprzeciw mnie, ściskając gruby kij i patrząc na mnie z twarzą tak wykrzywioną, że zawróciłem i odszedłem. Zrozumiałem, że nie tylko nie dostanę od niego żadnej odpowiedzi, ale nawet nie postawię mu żadnego pytania.

Musiałem więc postawić je sobie: co zrobić z trupem? Zawiadomić policję? Można. Ale wtedy nastąpi stwierdzenie zgonu, przesłuchanie, protokoły... Może pojawią się spadkobiercy i nie tylko zaczną żądać czynszu dzierżawnego, ale też spłaty wszystkich zaległości, za tyle lat. Jeśli nie zapłacimy, odbiorą nam młyn, wygonią. A nawet jeśli zapłacimy — a czym? — to i tak mogą nas wygonić, za karę, albo żeby młyn puścić w dzierżawę komu innemu. I dokąd ja pójdę? Dobrze mi się tu siedziało, cicho, spokojnie. Wiele jeszcze lat upłynie, zanim prawnie uzna się włodarza za zaginionego, pod warunkiem, że nie znajdą ciała. A więc pochować go cichaczem, w ukryciu, tak, to było najlepsze wyjście.

Pochować... Technicznie to jest proste. Bierze się łopatę, kopie się dół. A jednak coś mnie od tego wstrzymywało. Nie sumienie wobec sądów i spadkobierców. Sądy i tak zawsze będą miały co sądzić, a spadkobiercy poradzą sobie, nie zaraz, to w przyszłym pokoleniu. Więc co? Może chodziło o to, że oddając sprawę sądom wyjaśniłoby się jakoś, skąd przyplłynął, dlaczego, co się tam stało w górze rzeki. Doszłoby się do prawdy. Owszem, ale ja bym stracił posadę, ciepły kąć i bezpieczne schronienie. I ta prawda, czy ona komu potrzebna? (Gdzie zresztą gwarancja, że do niej by się doszło? — tak się przekonywałem). Im wystarczy, że zaginał, mnie, że nie żyje. Trzeci stopień prawdy nie jest konieczny. Spójrzcie na niego samego, tu na brzegu. Nawet on ciąży łagodnie,

ale nieustępliwie w dół, sam wskazuje kierunek właściwy wszysktemu, kiedy już upłynie pewien czas.

A jednak byłem rozczarowany własną decyzją. Może sprawa inaczej powinna się potoczyć, nie tak oczywiście, nie tak prosto, nawet nie przez wzgląd na prawdę, ale na coś innego, czy też jeszcze większego, niż prawda... Ale przecież nawet nie wiedziałem dokładnie o co mi chodzi.

Poczekaliśmy aż słońce zaszło w dół — także w dół — i wziąłem sobie włodarza na plecy. Ciężki był. Dziwne to było, tak go nieść osobiście. Teraz ludzie jak okiem sięgnąć siadali do stołu, zwoływali dzieci z podwórek, odpinali guziki u kamizelek, a ja go nosłem pod górę, sam jeden, przez ciemniejącą łąkę, z której wstawała już wieczorna mgła.

A co niespodziewane i niestosowne było, łaskotał mnie wąsami w szyję, aż się zaśmiałem, co też było niespodziewane i niestosowne.

Pochowałem go tej samej nocy, ukradkiem, na szczycie wzgórza. Miałem tam latarenkę maleńką i wstawiłem ją do dołu, żeby lepiej widzieć podczas kopania. Czego to człowiek się nie dokopie, kopiąc tak po nocy, kiedy krąg światła obejmuje tylko łopatę i to, w co się ona zagłębia. A więc kamyczków i grudek rozmaitych, korzeni, które trzeba przecinać, jeśli się dobrze skoncentrować, i zapomnieć o reszcie, to można tam zobaczyć rozmaite pejzaże i pomyślałem sobie, że zawód grabarza może być równie zajmujący, co podróżowanie, byle uważać.

I to był mój pierwszy trup.

Została mi po nim tylko ta gwiazda złota. Za późno stwierdziłem, że wciąż ją mam w kieszeni. Musiała być ze szlachetnego kruszcu, jeśli woda jej nie nadgryzła, jeśli nie zardzewiała... Nie wiedziałem, co z nią zrobić. Nosiłem ją przy sobie przez jakiś czas, potem próbowałem ją oddać do kościoła na votum za spokój duszy. „Czyjej?” — zapytał proboszcz, obracając ją w palcach nieufnie. Nie śmiałem mu powiedzieć, więc proboszcz odmówił.

Kiedy wracałem przez pola zerwała się burza. Przypomniałem sobie, że pioruny biją najchętniej w przedmioty metalowe, więc odrzuciłem ją jak najdalej od siebie i czekałem, żeby piorun w nią strzelił. Ale piorun także odmówił. Burza przeszła, podniosłem gwiazdę i wróciłem do domu. Używam jej teraz przy goleniu, jako lusterka. Przyglądam się w niej codziennie i ta pospolita czynność znacznie osłabiła jej godność i znaczenie. Jeżeli czegoś nie można załatwić, to najlepiej się do tego przyzwyczaić.

Następny przypłynął o samym zmierzchu, tak, że trudno go było od razu rozpoznać. Przeczynałem, że na coś takiego się zanoszą, bo pizmowiec uwijał się na drugim brzegu już od południa, choć przepędzałem go, rzucając kamieniami. Uciekał, ale znowu wracał, wystawiając tylko wąsy i bystre oczka. Słońce zaszło i już myślałem, że moje przeczucia były niewczesne, kiedy gaworzenie wodospadu zmieniło tonację, z grzmiącej kaskady przeszło w cienką, jęklivą strużkę. Wiedziałem już, co o tym sądzić i pośpieszyłem do śluzy.

Wyciągnąłem kogo trzeba i położyłem w tym samym miejscu, gdzie przedtem włodarza. Natrętna skłonność do powtarzania własnych czynności, może należało go położyć gdzie indziej. Był to mój kolega z wojska. Więc nawet nie miałem już o co pytać młynarza, był to mój trup ściśle prywatny. Nikogo to już nie dotyczyło, mój kolega nie miał ani młyna, ani spadkobierców. Pozostawało zagadnienie prawdy. Prawda... Pewnie, że warto by ją poznać. Ale gdybyśmy doszli, co właściwie się stało z moim przyjacielem, tam, w górze rzeki, mogłoby wyjść na jaw i to, co się stało z marszałkiem, czy nie to samo gubiło ich tam, w górze rzeki?

Znowu pochować? Monotonia. A poza tym to był mój przyjaciel. Powiniennem dla niego zrobić coś więcej, niż dla marszałka. Wprawdzie to samo, ale i więcej. Już nie nagi pochówek, ale pogrzeb z ceremonią, nie nocą i nie do dołu, ale za dnia i do grobu. Może w ten sposób zadośćuczynię temu obowiązkowi, którego natury nie

umiałem określić, ale który mi narzucano. Jeżeli do czegoś nie dojdę, to przynajmniej przed czymś ucieknę.

Zrobiłem co mogłem. Wykopałem grób. Nie dół, grób, powtarzam. Nie miałem desek na trumnę, ale posadziłem kolegę na taczkach, ładnie przystrojonych girlandą. A że ja miałem ciągnąć te taczki, więc żeby siebie upodobnić do karawaniarskiego konia, a przez to taczki do karawanu — wziętem w zęby czarną różę z bibuły. Rodzina wyległa przed dom, nieufnie przyglądając się moim poczynaniom. Kolega dobrze wyglądał, ręce założyłem mu na brzuchu, wplatając w nie łądygę wodnej lilii (coś wpleść trzeba było). Pięty sterczały mu w niebo, a głowa zwieszała się do tyłu. Patrzył więc prosto w niebo i wydawało się, że tam zaraz wskoczy. Czyli do dołu (grobu), ale jednak do góry. O to mi przecież chodziło.

Wiozłem go też pod górę. Dzień był wietrzny, jeden z tych, które opisałem. Papierowa róża furkotała mi w zębach, ścisnąłem ją mocno, podnosiłem wysoko kolana, jak prawdziwy karawaniarski koń. A kiedy już byłem w połowie wzgórza, młyn został w dole i ciekawie patrząca za mną gromadka — przede mną trawa kołysała się na szczycie w wydętych za wzgórzem obłokach, a wokół mnie przy zmiennych porywach kładła się długimi pasmami — zarząłem donośnie raz i drugi, choć nie tak udatnie jakbym chciał i mógł — bo róża.

Kolego! Nie jedną butelkę wypiliśmy razem i opowiadałem ci kiedyś różne historie. Na przykład tę o młynarzowej. Ale czy opowiedziałem? Kto to dziś wie. Ja mogę mówić, że tak, ty możesz mi zaprzeczyć, albo potwierdzić, ale to opowiadanie, które już wtedy dotyczyło przeszłości, teraz już samo jest przeszłością dotyczącą zaprzeszłości, a wszystko razem zapada się jeszcze głębiej, głębiej niż ty i ja, choć jedziemy pod górę, choć nogi wyciągasz do nieba i tak cię właśnie pochowam, aby mi się wydawało, że zapadając się unosisz się jednak w powietrze. Wyżej, niż sama młynarzowa i jej dzieci, które stoją tam, w dole, choć i o nich będę musiał kiedyś

pomyśleć. A jak jest naprawdę, daję słowo, daję słowo, daję słowo...

Oprócz słowa dałem mu także pomniczek maleńki i tak zaczął się mój cmentarzyk. Bo za drugim przyplłynął i trzeci i czwarty... Gdzieś tam, w górze strumienia — czyżby umierali? Czy sami wpadali do wody, czy ich wrzucano, czy taki rok, czy taka pora — woda przynosiła ich ciągle. I choć byli rozmaici, ci moi znajomi, z żadnym nie umiałem zrobić nic innego, nic ponadto, co w najlepszym wypadku zrobiłem z kolegą z wojska. Zresztą powoli traciłem wyrzuty sumienia. Jeszcze przy trzecim męczyło mnie ono i ta potrzeba, żeby to jakoś inaczej, lepiej rozwiązać. Ale czego chciałem? Żeby dostawały skrzydeł i latały wysoko? Bo jeśli nie w dół, to gdzie, w górę? Obok? Czasem napadało mnie przykre, co tam, straszne przypuszczenie, że trupy należałoby po prostu zjadać, żeby mieć je w środku.

Więc chowałem ich bez przekonania, ale potem przyszła rutyna i wyjąłowiła moje skrupuły. Wszystko sprzyjało znieczuleniu. I powtarzalność i coś, co można by nazwać mechanizmem społecznym, jeśli naszą grupkę uznać za społeczność. Wyławianie, kopanie, grzebanie, tak częste i regularne, nie mogło się odbywać bez wiedzy domowników. A potem bez ich współudziału. Na początku wystraszeni i nieufni oswoili się z czasem, ośmielili i pogrzeby stały się rozrywką w naszym nudnym bytowaniu. Każdy wciągnął się na swój sposób i według swoich możliwości. Dzieci pomagały w przygotowaniach, funkcjonowały jako orszak, młynarzowa celowała w okazywaniu żałości. Zawsze podziwiałem jej zdolność do płaczu i wyrażania głębokiego bólu nad zwłokami osób, których przecież nie znała. Mimo to nie byłem w stanie posądzić ją o cynizm czy sztuczność. Chociaż przed i po ceremonii jej żal znikał bez śladu, podczas ceremonii był prawdopodobnie szczery. Widocznie — jak niektóre osoby — umiała się przejąć losem ludzkim w ogóle, tak matka żałuje wszystkich ginących na froncie, chociaż za-



den z nich nie jest jej synem. Nie jest też wykluczone, że pogrzeby dawały jej okazję do uczuć, których niedostatek musiała odczuwać w naszej nudnej egzystencji. Zaw sze ładniej wyglądała po każdym pogrzebie, jakby odświeżona i wypoczęta. Widocznie bez uczuć się marnieje.

Młynarz brał udział, ale — jeśli tak można powiedzieć — półgębkiem. Brał nie całkiem biorąc, za pogrzebami chodził bokiem, niby przypadkowo, „idę, ale cicho-sza”. Jak zwykle poruszał się wzdłuż granicy, z której w każdej chwili mógł zboczyć w jedną, albo drugą stronę, chodził po liniach, które oddzielają jeden określony obszar od drugiego, działanie od działania. Niemniej i on uczestniczył, nowa krawędź pojawiła się w wieloboku jego możliwości, po której łąził jak mrówka.

Zazwyczaj odbywało się to tak: dzieci, nie mogąc się doczekać nowej atrakcji, szły w górę strumienia, żeby wy-patrywać zawczasu, czy kogoś nie niesie. Nie musiałem już czuwać przy śluzie, ani orientować się według wodospadu. Z daleka ostrzegał mnie ich wrzask: „płyń, płyń, płyń, płyń!”. Ukazywały się, biegnąc wzdłuż strumienia, skacząc, wrzucając do wody kamienie i patyki. Zakasywa-łem rękawy i wchodziłem do wody. Dzieci otaczały mnie kołem, przepychając się, korzystając przy tym z zamieszania, żeby nadepnąć braciszкови na nogę, albo pociągnąć z tyłu za włosy siostrzyczkę. Odganiałem je, ale był to daremny trud. Odpędzone, przysiadały na brzegu, przyglądając mi się uważnie. Następował moment pełen ciszy i skupienia. A kiedy prostowałem się, trzymając kogoś w ramionach, wybuchały wrzaskiem, ni to szyderstwa ni to tryumfu, zrywały się i pędziły do domu, żeby zanieść rodzicom dobrą nowinę.

Zostałem na chwilę sam, ale nie samotny. Z wykro-tu wyłaniał się ostrożnie pyszczek piźmowca. Odkąd wszyscy brali w tym udział, trzymał się na uboczu, z dys-krecją, a nawet elegancją. Nie lubiłem go teraz za to, bo choć nie był już nachalny, wydawało mi się, że swoim zachowaniem pełnym rezerwy robi mi jakieś wyrzuty.

Jeżeli działo się to w drugiej połowie tygodnia, przechowywaliśmy przybysza aż do niedzieli. W niedzielę pogrzeby udawały się nam najlepiej, choć i w dzień poprzedni wyszło nam parę takich, o których długo jeszcze potem wspominaliśmy. Można nas porównać do orkiestry, która ma gorsze i lepsze dni, zdarzały się nam gorsze i lepsze wykonania, to zależało nie tylko od nas, ale od różnych czynników, od nastroju, instrumentów, pogody... Będąc szefem orkiestry z czasem rozbudowałem obrzęd, wprowadziłem różne wariacje do partytury, co dawniej było we mnie jeszcze z żalości i niepokoju, przerodziło się w inwencję, w poszukiwanie technicznych udoskonaleń. Ale one zużywały się szybko i nigdy właściwie, nawet kiedy udało mi się podzielić dzieci na grupę żałobniczków i chór śpiewający (fałszywie) Requiem, kiedy młynarzowa dokonywała cudów rozpaczy, kiedy wygłaszałem nad otwartym grobem skomplikowane przemówienia, pomniczki były coraz bardziej wyszukane, a nawet młynarz miał łzy w oczach — nie udało mi się osiągnąć tego stanu wewnętrznego, ani tej szczerości — jakiej doznałem niegdyś tylko przy użyciu prostej, papierowej róży w zębach.

Z tego to stanu, który zna każdy artysta, kiedy uwiedziony sztuką zapomni o sobie, wytrąciło mnie jedno zdarzenie. Rzeka przyniosła mi kobietę, której może bym nie poznał, bo jej włosy były mi znane z pozostałych dwóch żywiołów, ale nie z wody. Właściwie, żeby je osuszyć, powinienem podpalić młyn, na co się oczywiście nie zdobyłem. Dzięki szczególnemu zachodowi słońca — tego wieczoru zachodziło w czerwieni — udało mi się nie odmówić wspomnieniu, żeby mnie wytrąciło z równowagi. „Będzie pogrzeb, pogrzeb, pogrzeb!” — wrzeszczały dzieci. Nie bójcie się ptaszyny, czy ja mówię, że nie? Będzie taki, na którym może i ja sam zapłacę, mistrz ceremonii. Ale tym razem, jak nigdy przedtem, a może jak nigdy przedtem w takim stopniu, wyłonił się paradoks. Wiedziałem, że ją pochowam, ale też chciałem, żeby wy-

glądała jak żywa. Logicznie biorąc, osoby grzebane powinno się krajać w kawałeczki, żeby jak najmniej przypominały żywych, żeby fizycznie przystosować je, przykroić, do natury przedsięwzięcia. Czy nie łatwiej sypać ziemię na coś, niż na kogoś — i to jeszcze na kogoś, kto wygląda jak żywy? A jeszcze przystrajać go i szminkować, żeby do złudzenia przypominał tego, z kim przed chwilą rozmawialiśmy przy stole? Gdyby jeszcze moje pogrzeby były chrześcijańskie, albo bodaj pogańskie. Wtedy mógłbym sobie takiej chęci pofolgować z jakim takim usprawiedliwieniem. Ale nie, ja moich zmarłych chowałem nie na żadną przyszłość, nie na żadne życie ani wieczne ani przedłużone, ale wyłącznie z przeszłości na przeszłość. Były więc bardziej okrutne, prawdziwsze, niż wszystko, co ludzie w tym zakresie wymyślili. I stąd ceremonie, które odprawiałem — tak rozpaczliwie puste, puste, mimo ich wymyślności, bo niczemu w gruncie rzeczy nie służyły.

Zanim oddałem ją społeczności, starałem się przywrócić jej dawny strój i wygląd. Może było w tym trochę próżności: „Patrzcie, jak piękną kobietę znałem”. Ale pewnie więcej niezrozumiałej potrzeby, aby mnie bolało: wiedziałem, że ją zapomnę, ale tym bardziej chciałem, żeby utracone było najcenniejsze, najbliższe rzeczywistości. Więc robiłem wszystko, żeby przypomnieć sobie najdokładniej jej twarz, odtworzyć we wszystkich szczegółach jej — dla mnie — urodę. Był w tym właśnie paradoks, którego nie umiem rozwiązać. Przecież zapominając utracę i tak, czy te usiłowania miały na celu takie wzmożenie poczucia utraty, żeby ta utrata sama zamieniła się w coś, co zostaje, w samo czyste poczucie niedoli, tak, niedoli wprawdzie, ale poczucie tak silne, żeby, kiedy zginie jego treść, zostało przynajmniej ono? Żeby to jedno przynajmniej zostało, żeby zostało cokolwiek? Żeby zostało choćby tylko samo wspomnienie wspomnienia.

Upiąłem jej włosy i wygładziłem suknię, a nawet wypolerowałem paznokcie. A że mi się udało, świadczył o tym obleśny wzrok młynarza, kiedy zaglądnął do izby,

w imieniu niecierplivej gromadki, oczekującej na rozpoczęcie uroczystości. Byłem dumny z niej i z siebie, chociaż z punktu widzenia etyki, zwłaszcza pogrzebowej, otarliśmy się mocno o nieprzyzwoitość, ja nawet więcej niż młynarz.

Nastąpiło wyprowadzenie zwłok. Młynarzowa przyjrzała jej się uważnie, a potem uderzyła w taki płacz, lament, tak pięknie wykonała *desperatio maxima*, że i w jej koncercie było coś wątpliwego, jak w mszy na organach, solennej wprawdzie i podczas autentycznego nabożeństwa w katedrze, ale wykonanej przez organistę na takich wyżynach kunsztu, przez twórcę tak porwanego własnym natchnieniem, że aż nie wiadomo, czy więcej jest w tym tryumfu i świeckich ideałów, czy służby wyższemu celom.

Tam, na górze, pośród innych nagrobków, niektórych już zarosłych trawą, niektórych jeszcze świeżych, po raz pierwszy pomyślałem sobie, że jeśli kiedykolwiek utracę pamięć na zawsze, to jeszcze będę pamiętał, że ją (pamięć) utraciłem.

Potem wszystko wróciło do normy. I oni wspominali to wciąż jako jeden z najpiękniejszych pogrzebów.

Zauważyłem też, że jeszcze tego samego dnia młynarzowa zmieniła uczesanie. Czesła się teraz tak samo, jak tamta. Tylko że ja tamtą czesałem z pamięci, więc fryzura była niemodna i nie ręczę, że udało mi się ją wiernie odtworzyć.

Potem spadły deszcze, rzeka spiętrzyła się i przez jakiś czas nie przynosiła nikogo. Już zaczynało się nam przykrzyć. Czas bez pogrzebów włókł się nijako. Nie mając nic do roboty, chodziłem na wzgórze, na cmentarz. Poprawiałem groby, rozmyte deszczem, dorzucałem jeden i drugi kamień, przysiadałem na murku, usiłując odnowić wspomnienia. Nie szło, było mi zimno i wilgotno, woda szumiała i pluskała jednostajnie, jakby rzeka powstała, zatarła się granica między wodą i powietrzem, rzeka przyszła i tutaj, żeby rozmyć nawet to, co starałem się oznaczyć wyraźnie przy pomocy nagrobków. Łapałem się

na tym, że bardziej niż w nagrobki wpatruję się w swoje gumowe buty, powalane żółtą gliną, mokre, ociekające i mdlące. Więc już wolałem leżeć na łóżku w mojej izdebce wpatrując się w sufit. Było szaro, sufit szarzał i szarzała izdebka, okno wychodziło na parów zatopiony liśćmi. We młynie cicho, młynarz spał pewnie, gdzieś pod dachem, młynarzowa cerowała skarpetki, dzieci zapadły się po kątach. Nie pozostawało nic innego, jak oczekiwać, tym razem już nie wiadomo na co. Od dawna już nie byłem ciekawy, kogo rzeka przyniesie, przyniosła już wszystkich, których mogłem sobie przypomnieć, a zresztą jaka to rozrywka, może jeszcze na początku było w tym jeszcze trochę niecierpliwości i prawdziwego czekania, czyli czekania na coś czy na kogoś, nawet jeżeli ten ktoś był już tylko czymś. Ale z czasem i to się zatarło i wszystko, jakby zatoczywszy koło, wróciło do miejsca, w którym znajdowało się przedtem, na początku. Na początku czego. Czy był jakiś początek? Czy początek był tam, w górze rzeki, czy tu, przy śluzie, z której ich wyławiałem, czy może tam, na wzgórzu? I jaka to była rzeka — czy rzeka mojej pamięci? — która topiła ich ale i przynosiła jednocześnie, nie można więc nawet powiedzieć z całą ścisłością, że ich gubiła, pogrążała, bo dzięki niej ich odnajdywałem. Czy musieli utonąć, żebym ich odnalazł? Ale jakież to było odnajdywanie, jeżeli nawet nagrobki rozpływały się teraz i nawet powoli przestawałem pamiętać jak ich odnajdywałem, myliła mi się kolejność i okoliczności i znowu leżałem sam, wpatrując się w sufit i całe to lato, w którym niby coś zaczęło się dziać, w którym to wyławianie i pogrzeby zdawały się zapowiadać jakąś odmienność, sensację, tę choćby, że czekając na nich na brzegu sam zdawałem się płynąć pod prąd, jakby brzeg i ziemia i wzgórze i lasy i młyn płynęły w górę nieruchomej rzeki — teraz odchodziło jeszcze gdzie indziej, już nawet nie w dół rzeki, ani w górę, rozpadało się we wszystkich kierunkach, rozrzedzając się, zostawiając mnie w coraz to bardziej puściejącej pustce, w oku nierucho-

mości, w której nie było już kierunku, ani góry ani dołu, ani prawej ręki, ani lewej.

Nie spałem, a jednak wydało mi się, że obudziły mnie stłumione śmiechy za drzwiami, naszeptywania, chichoty, powściągane słowa, utajone szyderstwo. Wstałem — wyraźny tupot spłoszonego stadka, oddalającego się korytarem. Otworzyłem drzwi — nikogo, a jednak niewątpliwie ktoś tu był przed chwilą.

Podjeżdżałem, że były to dzieci. Przy kolacji nie hałasowały jak zwykle, mimo to zachowywały się nieznośnie. Dawały sobie jakieś znaki, trącały się pod stołem, a kiedy patrzyłem na nie karcąco, wybuchały szybko tłumionym śmiechem i spuszczały oczy na talerze, poważniejąc sztucznie arogancko. Z ulgą wstałem od stołu.

Wyszedłem na podwórze. Deszcz ustał, ale świat był już tak nasycony wilgocią, że wcale mnie to nie pocieszało, nie zapowiadało odmiany, wszystko leżało ciężkie, przemokłe, bezwładne raz na zawsze. Poszedłem w górę strumienia, tak sobie, byle odejść od nich na chwilę, zostać trochę samemu. Piżmowiec kręcił się na brzegu, szukał czegoś. Nie myśląc wiele, odruchowo schyliłem się po kamień, tym razem nie widział mnie, znajdował się po tej, nie po tamtej stronie, zwrócony pyszczkiem ku wodzie, rzuciłem bez wielkiej nadziei, że go trafię i jak to się zdarza, kiedy dawno z czegoś zrezygnowawszy, ni stąd ni zowąd rzecz osiągamy, trafiłem. Aż sam przeraziłem się, bo był to już gest odruchowy, gest dla gestu, bez przewidywania następstw i właściwie wcale już nie chciałem go dosięgnąć. Teraz, kiedy mi się udało, zdałem sobie sprawę, że stało się coś, na czym mi wcale nie zależało. I cóż takiego udało mi się mianowicie? Gorzej jeszcze, stało się coś, co naruszyło równowagę, do tej pory ja rzucałem, on uciekał, tak to było, ale teraz już tak nie będzie. Coś stało się niepowrotnie. Co będzie? W dodatku on zapiszczał, raz tylko, krótko, boleśnie i z przetrąconym grzbietem wczołgał się w zarośla, chyba po to, żeby tam umrzeć. I po co ja to właściwie zrobiłem?

Rozstrojony tym zdarzeniem poszedłem dalej, ale nie uszedłem daleko, kiedy natknąłem się na kogoś, kto leżał w pół w wodzie, w pół na brzegu, wynurzał się górną połową ciała z mętnej, żółtej rzeki, z rękami wzdłuż korpusu, twarzą do ziemi. „Ach, mój Boże” — pomyślałem sobie. — „Jeszcze jeden, któremu się wydaje, że ja mogę coś dla niego zrobić”.

Nie przypuszczałem nawet, jak słuszna tym razem miała okazać się ta uwaga. Wydał mi się znajomy, bardziej znajomy niż inni. Odwróciłem go na wznak. Oczywiście, znałem go dobrze, choć zawsze nas coś dzieliło, nie mogłem się z nim rozstać nigdy. Moje z nim porachunki były najbardziej zawiłe, ale tym bardziej nie cierpiące zwłoki, im trudniejsze do uregulowania.

Odwróciłem go czym prędzej z powrotem, twarzą do gliny i rozejrzałem się w panice, czy ktoś nie był świadkiem tej konfrontacji. Nikt chyba, choć nie byłbym przyjął, że w krzakach nie rozległ się ten sam złośliwy śmiech i ucieczka stóp, które słyszałem poprzednio za drzwiami. Nie wykluczone, że mnie śledzono.

Uchwyciwszy za nogi, powlokłem go głębiej w wiklinę, całkiem jak przedtem pizmowiec, żeby zataić zwłoki. Nakryłem twarz chrustem i przysiadłem, żeby sprawę przemyśleć.

Uświadomiłem sobie doniosłość faktu i rozległość jego komplikacji. Bo to ja siebie samego wyłowilem z rzeki. Logicznie więc biorąc był to mój trup. I to ja go w ramionach trzymałem, więc czyich: jego czy moich? To zresztą pytanie drugorzędne wobec faktu, że on leżał, a ja przy nim o nim myślałem. Ja, więc mimo wszystko do mnie należało teraz coś postanowić.

Przekłeta odpowiedzialność: sam już nie wiedziałem teraz, czy mu zazdrościć odpoczynku w wiklinie... komu, jemu? Więc sobie, zazdrość tu nie miała sensu, a jednak zachowałem poczucie, że niesprawiedliwie jestem obarczony. Więc może naprawdę byłem tam, obok, a ja tutaj byłem tylko niepotrzebnym przedłużeniem mojej tam

obecności, zbędną ciągłością, przesadą, pretensjonalną nieobecnością która udaje obecność, a ściślej — pretensjonalnością mojej tam właściwej obecności, która tutaj udaje obecność, tu, gdzie jej nie ma, gdzie jej być nie powinno.

Niemniej tu myślałem, więc tu byłem, niezależnie od tego, że on tam jest naprawdę. I wiedziałem, że nie uniknę siebie ani przez to, że jestem tam, ani przez to, że jestem tutaj.

Sobowtór? Niestety, nie ma się co łudzić. Wprawdzie udawało mi się, niezmiernie rzadko, zaskoczyć siebie w lusterku tak, jakby to był ktoś zupełnie inny, ale to zdarzało się niechęcący i trwało nieskończenie krótką chwilę, która zresztą zaraz przepadała doszczętne, na amen, nie można jej było w ogóle odtworzyć we wspomnieniu, a to, co zostawało, to było już tylko zawsze trwałe i niezmiennie wspomnienie siebie-siebie, zawsze gotowe i usłużnie obecne, ba, nawet natrętnie, nieproszenie obecne. I wiedziałem, że choć bym przesiedział całą noc w w klinice, świecąc sobie w twarz latarką, nie wywołam w sobie ani na sekundę przekonania, czy wiary, że to nie jestem ja. Zostawmy więc na boku pobożne życzenia i zajmijmy się tym, co nieuniknione.

Czy się go bałem, tego mojego trupa? Ach, żebym chociaż mógł się go bać, to już by dawało jakąś nadzieję, że mnie z nim nic nie łączy. Bałem się raczej tych rzadkich chwil, o których właśnie wspomniałem, kiedy zaskakiwałem siebie w lusterku, jako obcego. Jego się nie bałem, ale gorzej, on mi zepsuł moją dotychczasową wiarę w moją niewinność. Kto wie, czy nie byłem winien.

Zaraz wyjaśnię. Wobec tamtych znajomych, których do tej pory przynosiła rzeka, nie miałem dotąd poczucia winy, najwyżej odczuwałem coś w rodzaju obowiązku, żeby z nimi coś potem zrobić, obowiązku, którego zresztą, jak o tym świadczy poprzednia relacja, nigdy nie udało mi się ani wystarczająco określić, na czym on polega, ani tym bardziej zadawałajęco go wypełnić. Ale co do ich



początku, jeśli za początek przyjmiemy to, skąd się brali tam, w górze rzeki, nie miałem z tym nic wspólnego. To rzeka topiła ich, przynosiła, ja tylko czekałem na nich przy śluzie i to wszystko, pod tym względem przynajmniej miałem czyste sumienie. Ale teraz okazało się, że ja też tam kiedyś byłem, tam, w górze rzeki, jaką więc miałem gwarancję, że nie brałem udziału w tym, co się tam działo, a na skutek czego oni ku mnie płynęli, martwi? Co ja tam robiłem, jak się zachowywałem? Jeżeli nawet nie byłem współnikiem tego spławiania, a skąd to wiadomo, to czy broniłem ich, próbowałem ratować? Jaka tam była moja rola, czy całkiem czysta, niewinna? Na to pytanie mógłby odpowiedzieć tylko ten ja, który leżał obok, ale on właśnie nigdy już nic więcej nie powie. Więc moja niewinność nie była już całkiem pewna, nie mogłem już być tak pewien mojej niewinności, tam, w górze rzeki, bo nie wiedziałem.

Nie, nie bałem się niestety mojego trupa, ale bałem się teraz czego innego — tego właśnie, co działo się w górze rzeki. I nie tylko ze względu na moją niewinność. Bałem się całkiem po prostu tego, co sprawiło, że zatopiony, spławiony, zostałem także i ja. To naturalne: dopóki chodziło o innych... A musiało to być coś ode mnie — i od nich — niezależnego — bo przecież nie do pomyslenia było, że to ja sam, na umyślnie, wrzuciłem siebie do wody, tam, w górze, a potem pobiegłem szybko w dół, szybciej niż prąd, żeby na siebie oczekiwać i siebie wyłowić. Coś mnie wrzuciło, więc coś, co nie było mną, więc czego musiałem się bać przez odwrotność tej samej zasady, na której nie bałem się swojego swojskiego trupa.

Mój trup był okrętem, na którym przyplłynął strach i poczucie winy. Smętni pasażerowie.

Jeszcze co do winy, łatwiejsza sprawa. Przyszło mi do głowy, że mogę ją odkupić strachem. (Ale czym odkupić strach?). Bałem się nie tylko tego, co mnie już spotkało, ale i tego co mnie teraz czeka, strachu więc miałem aż nadto. Rozumowałem tak: jeżeli nawet, przypuścmy, za-

winiłem kiedyś przedtem wobec tych wszystkich, których potem wyłowilem z rzeki, to obecnie znajdowałem się — mało, że w tej samej sytuacji co oni — ale znacznie, znacznie trudniejszej do rozwiązania. Bo z nimi, obcymi, wprawdzie też nie wiedziałem co zrobić, ale ostatecznie mogłem im jeszcze urządzać pogrzeby. Ale pochować samego siebie? Ten podwójny strach i ta trudniejsza sytuacja — miałem nadzieję — mogłyby odkupić moją winę.

Na razie bałem się przede wszystkim, że domowi odkryją, co się ze mną stało. Dowiedzą się najpierw, że woda znowu kogoś przyniosła i jak zwykle — i to przeze mnie, przeze mnie samego do tego wdrożeni, będą chcieli — cóż naturalniejszego — trupa pogrzebać. A jeżeli się będę temu opierał, zaczną się dziwić, będą się starali odkryć przyczynę, aż dojdą do prawdy, której nie pojmą nawet na tyle, na ile ja pojąłem, która ich uderzy, więc broniąc się, uderzą mnie. Bóg wie o co mnie posądzą, może nawet o to, że zawsze byłem nieżywy? Kompromitacja, do której nie wolno mi dopuścić.

Ażeby nie dopuścić, należało zacząć od pierwszego momentu, nie dopuścić przede wszystkim, żeby dowiedzieli się o nowym nieboszczyku.

Kryjówka w chaszczach nie była pewna, ktoś mógł się na niego (na mnie) natknąć choćby przypadkiem. Już lepiej mieć go (mnie) pod ręką, nie odstępować na krok, strzec. Postanowiłem przenieść go do domu i ukryć w mojej izdebce, a potem pomyśleć, co dalej. Zarzuciłem sobie siebie na plecy i poszedłem w kierunku młyna. Tymczasem ciemność zapadła. Zatrzymałem się — żywotrup — na skraju zagajnika, nadśluchując, pilnie bacząc. Cicho i ciemno, pewnie już spać poszli. Zdecydowałem się i pędem, na ile żywemu pozwalał trup, przebiegłem przez obejście. Co za pech, drzwi zaryglowane od wewnątrz. Należało to przewidzieć, dom zamykało się na noc.

Nic w tym nie było dziwnego, ale mnie się wydało, że zrobili to na umyślnie. Czyżby już wiedzieli albo do-

myślali się czegoś, już bronili się przed trupożywym... Jak nigdy przedtem, tak teraz zapragnąłem dostać się do domu. Już nawet nie po to, żeby ukryć swojego trupa pod łóżkiem, ale żeby znaleźć się między ludźmi. Ale z trupem iść między ludzi... czy nie byłoby przyzwoiciej, gdybym jednak został razem z nim na dworze, czy oni nie mieli racji zamykając się przede mną? (Przed nim). Dla niego (dla mnie) miejsce stosowniejsze tu raczej, wśród nocy, szelestu kropel spadających z okapu, ciszy, dalekiego naszczekiwania psów, w tej właśnie zaprzestrzeni — na zewnątrz czterech ścian, tu raczej, a nie tam, w czterech ścianach, już nieodpowiednich dla wszech wymiaru mojego śmiertelnego towarzysza. A byliśmy przecież jak dwójca święta, jeden w drugim i ta arytmetyczna mniejszość wcale nie znaczyła, że nasza tajemnica była mniejsza od tajemnicy Świętej Trójcy. Z drugiej strony — skąd u nich ta pycha, u tych, co teraz leżą w łózkach, skuleni czy rozwarci, obejmujący swoje własne kolana, czy przytuleni policzkami do swoich własnych ramion, w ciepłym obcowaniu ze swoimi ciałami, skąd ta pewność, że mają prawo już się odgradzać ode mnie, który swojego trupa niesie na plecach? A sprawiali takie wrażenie, jakby mieli prawo niezaprzeczone, dane im od Boga samego (który trupa też chyba stworzył) nie wpuszczać mnie do domu, skazywać mnie na tę niewymierność, nie-ścienność i nie-proże, nie-izbność i nie-kątność, na to wszystko, co nie było domem w jego wnętrzu. Błuznię — czy może ja błuznię? Bo przecież Pan Bóg nie wypowiedział się jeszcze wyraźnie po czyjej stronie racja, tylko pozwolił, żebym ja stał tutaj, z nim na plecach, a oni tam żeby pozamykali się w domu.

Czyżby ci, których chowałem... czyżby kiedyś tak samo chcieli wejść... Wobec tego ładnie wyglądałem z moim dla nich współczuciem, z moimi ceremoniami, które niby miały zaspokoić ich i mnie. Nie przesadzajmy, to była inna historia. Zawsze to byli oni i ja, a teraz już byłem tylko ja i ja. To ja ich chowałem, nie oni siebie,

więc nawet im było łatwiej, wygodniej, podczas gdy teraz...

Kto mówi o pochówku. Stoję tu jeszcze i choć żywo-trup, mam prawo do tego domu. No dobrze... a jednak zamknięte, stukać, budzić ich? Tego przede wszystkim chciałem uniknąć za wszelką cenę i to właśnie świadczyło, że coś tu już nie było ze mną w porządku.

Tak mimo wszystko nadwątliwszy pewność mojej racji i tym samym moje oburzenie na domowników — znalazłem miejsce pośrednie, nie wśród ludzi wprawdzie, ale też nie w polu, mianowicie zaniósłem się do obory. Nawet nieźle tam było. Ciepło. Krowy dawały mi poczucie czyjejs obecności, a przy tym nie było obawy, że zaczną mi stawiać jakieś pytania. Taka sobie, dyskretna, nie za bezwzględna samotność. W nią owinięty, przetrwałem do świtu.

Następnego dnia udało mi się przemycić go z obory do mojej izdebki — przeniosłem go w worku. Ale to wcale nie załatwiało problemu. W domu wprawdzie łatwiej było trupa ukrywać, ale też trudniej o nim zapomnieć. A właśnie ja, w oczekiwaniu — na co, na zmartwychwstanie? — postanowiłem jakoś tak potrwać. Na razie ukryć, a potem się zobaczy.

Nikt nie wie, jak trudno jest żyć ze swoim własnym trupem. Trzeba żyć normalnie, wciągać powietrze w płuca, wąchać kwiaty i mówić, że to są kwiaty, cieszyć się, czym należy i smucić się, czym wypada, a jednocześnie przez cały czas musi się pamiętać, że on tam jest, siedzi sobie i czeka. Na co? Oczywiście na mnie, żebym coś z nim zrobił. A ja czekam na co? Moje czekanie było właściwie czekaniem tylko na jego czekanie, czyli pozbawione było wszelkiego sensu. Bo można czekać tylko na coś, albo na kogoś, ale nie można czekać na czyjeś czekanie. On był więc w prawie, czekając, a ja w złej wierze.

Wspomniałem o zmartwychwstaniu. Początkowo łudziłem się, że może uda się go ożywić, słyszałem przecież o sztucznym oddychaniu, o masażach... Stosowałem więc

wszystkie środki i wreszcie biłem go po pysku, w podwójnej intencji: żeby go niby ocucić, na wypadek, gdyby znajdował się tylko w letargu, a właściwie ze złości na niego, żeby go ukarać. Na nic, oczywiście. Zresztą mu się nie dziwię. Czy mógł ożyć? Co by wtedy było: dwóch mnie żyjących? Niemożliwe, już to, że byłem dwóch, wprawdzie jeden żywy a drugi umarły, dostatecznie było trudne do pomyślenia, choć rzeczywiste niestety. Przemykała mi myśl o samobójstwie: nonsens w założeniu. Przecież byłem już także umarły.

A więc jednak pogrzebać... Wciąż wychodziło na to samo, to jedynie było możliwe, konieczne nawet... Wystawić sobie, jak i innym, zgrabny pomniczek, odwiedzać się na wzgórzu, powzdychać, śpij mój jedyny na wieki. Pogrzebać, przyklepać grób. Jeżeli jednak nawet wobec innych z takim rozwiązaniem nie całkiem chciałem się pogodzić, to co dopiero, kiedy chodziło o mnie. Nie wiem, jak on, mój trup, ale ja żywy zgodzić się na to nie mogłem, nie chciałem. Tu rozwiązywała się nasza spółka. To był jedyny moment, to właśnie moje niechcenie, kiedy dochodziłem do głosu wyłącznie ja żywy, z moją wyłączną, żywą odmową. Dopóki go nie chciałem pogrzebać, dopóki go nie pogrzebałem, odnajdywałem jeszcze siebie, mnie wyłącznie żywego. Pogrzebać go — to już bez względu na ludzką opinię — to by znaczyło go uznać, pogodzić się z nim na zawsze, stracić wszelką nadzieję.

Boże, jak ja chciałem żyć, mimo niego, przeciwko niemu. Może to zabrzmieć nieszczerze, on już przecież był, czyli on mnie już nad-umarł nieco, nad-konał, ale jednak daję słowo, że miałem czasami poczucie takiej integralności życia, takiej wciąż własnej żywotności, nie, nawet nie zdolności do życia, ale życia po prostu, że mógłbym nim zmartwych-podnieść wszystkich nieboszczyków świata i jeszcze by go zostało na inne, sam nie wiem jakie przedsięwzięcia. W takich chwilach tym bardziej wydawało mi się niezrozumiałe co on tutaj robi i miałem ochotę zawołać niecierpliwie: „Proszę to wynieść!”, dopóki

się nie orientowałem, że nie mam do kogo zawołać i musiałbym sam pojawić się w drzwiach jako mój własny służący, wezwany do uprzątnięcia niepotrzebnego, a zawadzającego przedmiotu.

A więc ukrywać go, jeszcze i wciąż, za wszelką cenę. Tylko to pozostawało, choć nie mogło pozostać, w sensie czasu dokonanego. I w praktyce też nie było takie proste. Bałem się, że prawda wyjdzie na wierzch, że oni się czegoś dowiedzą. I żeby tylko Strach, że już coś wiedzą, że się domyślają. Domownicy traktowali mnie jak zwykle, ale czy naprawdę? Nie mówię już o dzieciach, one zawsze były dwuznaczne. Jeżeli więc któreś z nich skakało na jednej nodze i powtarzało złośliwie: „A ja coś wiem, a ja coś wiem!”, to mogło się to tak samo odnosić do mojej tajemnicy, jak i do tego, że braciszek zjadł po kryjomu konfiturę. Ale z drugiej strony... Czy nie podpatrzyły mnie już wtedy, przy strudze? Albo nawet jeszcze wcześniej, czy nie widziały mnie wyrzuconego na brzeg, kiedy ja jeszcze o niczym nie wiedziałem? Gorzej, że na przykład młynarz, który zazwyczaj nigdy nie patrzył na nikogo, teraz czasami patrzył się na mnie. Niby drobna rzecz, a nawet śmieszna. Ale przecież czasem wystarczy, żeby krowa na pastwisku odwróciła się i patrzyła na nas długo i spokojnie, ale wprost, żeby obudził się w nas niejasny niepokój. I chociaż to niedorzeczne — patrzenie młynarza, mniej uzasadnione niż aluzje dzieci, które ewentualnie mogły coś naprawdę wiedzieć, peszyło mnie bardziej.

Przy posiłkach prowadziliśmy zwyczajne — ale czy na pewno? — rozmowy. Że nudno i dobrze by było znowu kogoś pogrzebać, że dawno nie było pogrzebu — rozmowy takie prowadziliśmy i przedtem. Potakiwałem, a nawet sam je wszczynałem, żeby stronieniem od tematu nie budzić podejrzeń. Ale jeżeli wydawało mi się, że tym sposobem mogę zażegnać podejrzenie u innych, to jednocześnie w sobie budziłem podejrzenie, że to zażegnywanie

mi się nie udawało, a przeciwnie, że je prowokuję. Ukrywanie rozszczepia duszę, toteż czułem się źle.

Doszło do tego, że już lżej mi było, kiedy zamykałem się z nim sam na sam. Niedobrze biedak wyglądał, ale i ja nie tęgo. Byliśmy do siebie podobni bardziej, niż dwie krople wody. Może to, co było we mnie z życia sprawiało, że on psuł się po mału, a to, co w nim ze śmierci, że ja mizerniałem. Spotykaliśmy się więc równo w połowie i szliśmy równo, w jednakim wyglądzie.

Nadszedł Dzień Zaduszny. Cmentarzyk na górze całkiem zaniedbałem. Kto ma swojego trupa, trudno, żeby zajmował się cudzymi. Ani na to czasu, ani głowy. Zresztą cudze przypominały mi własnego, o którym chciałem zapomnieć. Toteż dawno już tam nie byłem. Ale w taki dzień nie wypada wyłączać się ze wspólnoty, postanowiłem odwiedzić ich, tym razem po koleżeńsku. Nie tylko dla konwenansu. Na co dzień można udawać, że nie ma się z nimi nic wspólnego, ale przychodzi chwila, kiedy człowiek potrzebuje odnalezienia siebie wśród swoich, zawsze to raźniej. Może to też była potrzeba chwilowego rozejmu, odpoczynku, a więc rezygnacja. Teraz widzę, jak niebezpiecznie blisko byłem poddania się, zaprzestania walki. Byłem już zmęczony i nie przyznając się do tego przed sobą szukałem porozumienia, wstępnych warunków ugody. Dzień Zaduszny dostarczał mi doskonałej okazji, żeby zbliżyć się do przeciwnika nie tracąc twarzy, honoru i na gruncie neutralnym. Cóż naturalniejszego, że żywi odwiedzają umarłych w dniu ich święta. Rodzaj salonu, w którym spotykają się skądinąd i gdzie indziej skłóceni. Więc niby nic, mogłem tam sobie odpocząć, odetchnąć, nie opierać się już, a jednocześnie mieć prawo do oświadczenia: „Ja nic jeszcze nie powiedziałem. Jeszcze nic nie załatwione. Proszę nie myśleć, że ja się zgadzam”.

Poszedłem. Od czasu ostatniej mojej tam wizyty cmentarzyk zapadł się i jakby skurczył, było mi przykro. Może dlatego, że już ukradkiem widziałem swój nagro-

bek między innymi, tak samo zaniedbany, zapomniany. „Trzeba będzie wyplewić, podsypać, wygracować, murek podnieść” — myślałem, a kątem oka, sam o tym nie wiedząc, myszkowałem i wybierałem miejsce dla siebie, przebiegle, byle lepsze, suchsze, odpowiednio w środku, ale też lepiej zabezpieczone od osypiska i wód podskórnych.

Wtedy przypomniałem sobie, nie, nie przypomniałem, bo przecież przedtem o tym nie pamiętałem, odkryłem, odkryło mi się w przykrym olśnieniu, że wychodząc z domu nie zamknąłem mojej izdebki na klucz. Ktoś mógł wejść, zaskoczyć mojego trupa, rzekłbym, *in flagranti*. Moja utajona gotowość do kapitulacji zniknęła bez śladu. Jak uciekinier, któremu wydaje się, że nie ma już sił, opada na poszycie leśne, zamyka oczy, myśli: „Niech się dzieje co chce”, kiedy nagle rozlegnie się z bliska ujadanie sfory zrywa się — i znów biegnie — pobiegłem do domu. Co innego zbliżać się do kapitulacji powoli, kluczając i zachowując pozory dobrowolności, co innego być zagrożonym przez fakt nieodwołalny. Zresztą zbliżać się, to nie znaczy jeszcze: skapitulować. Zbliżając się można zachowywać słodką możliwość odwrotu. Zdemaskowanie taką możliwość by mi odebrało.

Dochodząc do szczytu schodów stwierdziłem, że na korytarzu było jaśniej niż zwykle, co wskazywało, że drzwi do mojego pokoju otwarto na oścież. Zwolniłem i cicho podszedłem do tych drzwi.

Ukazał mi się widok następujący: Naprzeciw drzwi było okno. Przed oknem krzesło, na którym siedział mój trup zwrócony do mnie plecami. Obok stała żona młynarza i trzymała go za rękę. Szarzało już, ale treść tego obrazu nie ulegała wątpliwości. Moja (trupa) ręka i jej, młynarzowej ręka, złączone w uścisku znanym mi przecież...

Co miałem zrobić? Wejść i wytłumaczyć jej, że to pomyłka, że to nie ja, a on, względnie, że to nie on, a ja? Z zazdrości wyzwąć mojego trupa na pojedynek? Czy też oskarżyć młynarzową, że zdradza mnie z moim włas-



nym trupem? Przed kim, przed młynarzem? Czy jej samej zrobić awanturę? Ale ona przecież nie wiedziała. Nie wiedziała tak długo, dopóki nie widziała nas we troje, siebie, jego, mnie... Czy wolałbym, żeby nas we troje zobaczyła, żeby wszystko się odkryło, ale żeby mogłam wziąć ją naprawdę za rękę, ja żywy, uwolnić ją od tego uścisku, który w swojej nieświadomości brała za mój? Ale ona wcale nie zadawała się odczuwać czegoś nienormalnego, trzymała mnie (jego) za rękę jak zwykle, z taką ekstazą, jakbym to był naprawdę ja. I patrząc na to bezsilnie byłem mimo to, mimo jej wiary i czucia, tego uścisku pozbawiony, ten nieboszczyk odebrał mi jedyną chwilę, która w tym młynie liczyła się bardziej niż życie. Więc nie tylko życie mi odebrał, ale nawet i to. Ale czy mogłaby, czy by już chciała mnie wziąć, raz gdyby się okazało, jaka jest prawda? A prawda była taka, że i przedtem jak i teraz zawsze była samotna, jeśli teraz nie odczuwała żadnej różnicy, jeśli tak samo brała mnie, czy byłem trupem, czy żywym. Więc teraz ukazać się, to by znaczyło upokorzyć ją najbardziej, ukazując tym samym, że to, co brała za nas dwoje, zawsze było tylko i wyłącznie nią samą.

Wycofałem się na palcach w takim wstydzie, jakiego nigdy przedtem nie znałem. I wiedziałem już, że odtąd już nawet takie trwanie jest niemożliwe i że muszę znaleźć jakieś wyjście jeszcze tego samego wieczora.

Jeżeli już nawet ona nie odróżniała mnie od mojego trupa, to znaczy, że sprawy za daleko zaszły, że mój trup wdzierał się we mnie za głęboko. Ale też nie mogłem przeciwko temu głośno protestować, bo to by znaczyło tylko jedno: pogrzeb.

Poszedłem nad rzekę. Płynęła jak przedtem, jak podczas... Więc przyszło mi do głowy, że będzie płynęła i potem i to proste odkrycie dostarczyło mi natchnienia.

Jeżeli trwanie było niemożliwe, jeżeli na pogrzeb nie mogłem, nie chciałem się zgodzić, jeżeli więc nie mogłem już dłużej z nim trwać, a jednocześnie nie mogłem się

z nim rozstać (pogrzeb i tak tylko pozornie byłby rozstaniem, w rzeczywistości byłby zatwierdzeniem go na zawsze) to co mi pozostawało? Oto zagadka, ale — i niech mnie kto sędzi, jak chce — wydało mi się, że znalazłem rozwiązanie.

Oczywiście wymagało to pewnej ofiary. Musiałem zrezygnować z tego, czego tak broniłem, kiedy pojawił się trup marszałka. Posady, bezpieczeństwa, spokojnego bytowania w tym podupadłym, ale przecież przytulnym młynie, którego uroki nie były mi obce, z czym chyba dostatecznie zdradziłem się w ciągu tego opowiadania. Rzeka, rzeka, ta sama, która mi go przyniosła, mogła mi teraz pomóc. Dzięki niej rozluźni się nasz nieruchomy uścisk, z którego dotąd nie było wyzwolenia. Ani nie wydam moich zwłok nikomu, ani też nie będę musiał ich nieść. Mój trup pozostanie ciałem na zawsze ze mną związanym, ale ja odzyskam swobodę ruchu. On pozostanie nieruchomy — to było istotą jego natury — ale też nigdy w jednym miejscu, zanurzę go w płynności, do której sam się przyłączę i ona nas pogodzi. On popłynie z prądem, a ja będę szedł wzdłuż rzeki, nie tracąc go nigdy z oczu. Bo rzeka przecież płynie i nie kończy się tutaj, przy młynie. Nie wiem, gdzie jest jej ujście, ale też nie wiem, gdzie jest jej początek, a mimo to tu jestem. Więc mogę być i tam. Idąc za rzeką, która poniesie moje ciało, nie będę już wprost zależny od mojego ciała, bo ono, więc i ja, my dwoje, będziemy jednako zależni od rzeki. Więc ona nam będzie Arką Przymierza. I ja dokądś dojdę i ono dokądś dopłynie.

Zapewne, względna to swoboda. Ale czy nie lepiej być już zależnym od ruchu, niż od nieruchomości? Od rzeki, niż od trupa?

Poczekaliśmy, aż młynarzowa znajdzie się na dole, zakrzątnie się koło wieczery. Przemknąłem się na górę. Szybko spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy. Trochę ciepłej bielizny, gwiazdę do golenia... Byłem gotowy, czekałem tylko, aż się zgromadzą przy posiłku. Walizka

do ręki, trupa na ramię. Za kuchennymi drzwiami brzęczą łyżki i talerze. Jakże chętnie usiadłbym z nimi znowu do stołu. Żegnaj, młynie. Za wiele nas łączy.

Poszedłem nad wodę, poniżej koła i słuzy. Trup plusnął miękko, zanurzył się, skręcił powoli i ruszył z nurtem. Nie sądzę, żeby miał do mnie pretensje. Ostatecznie umieściłem go w tym samym żywiole, który mi go przyniósł.

Tak zaczęła się nasza wędrówka. Nie była łatwa. Musiałem wciąż iść przy samym brzegu, nie szybciej i nie wolniej, niż rzeka niosła jego. Miejscami brzeg był urwisty, wspinałem się wzdłuż zbocza, na czworakach, ciągnąc za sobą walizkę, osuwając się na osypiskach i piargach. Albo szczytem, wyteżając wzrok, żeby nie stracić go z oczu. Tu znowu nieraz zarośla przeszkadzały mi i zasłaniały widok. Czasami nurt przyśpieszał, należało biec. To znowu brały go wiry, szczególnie przy kataraktach, kręcił się wtedy w kółko, a ja korzystałem z chwili wytchnienia przysiadając na urwisku, obserwując jego pluskanie się, wypadanie i zanurzanie, w czym był podobny do swawolnego delfina. Kiedy indziej gdy już weszliśmy w równiny, rzeka zwalniała, rozlewała się w martwe zatoki, muliste, zarosłe sitowiem i trzcina na płycznach, zamieszkałe przez dzikie ptactwo, które unosiło się nad nimi z wrzaskiem. Tam znowu ciężko było brnąć przez błota. Zdarzało się, że kończył w ślepych odnogach, zawieszony leniwie w brunatnych rozlewiskach, ucinałem sobie wtedy dłuższą drzemkę, pewny, że nie ruszy, dopóki go nie zawrócę w nurt, prałem skarpetki, paliłem ognisko, gotowałem gorące posiłki, słowem, odpoczywałem i czasem przez kilka dni nie interweniowałem, żeby nabrać sił na dalszą drogę. Nie było więc tak źle, a w każdym razie nie mogłem się skarżyć na jednostajność. Nieraz też miałem dosyć czasu, żeby się rozejrzeć po okolicy, poznać kraj, czy zawrzeć przelotne znajomości, a także zarobić parę groszy, pracując dorywczo to tu, to tam, nigdy wszakże nie oddalając się od brzegu.

Sprawiłem sobie bosak i w pewnym stopniu nauczyłem się kierować nim, przyspieszać jego płynięcie, czy skracać jego postoje. Zwraçałem go, gdzie prąd był najszybszy, albo spychałem go z mielizny, według uznania. Raz, w okresie wielkiej posuchy, kiedy rzeka wyparowała i mieliśmy dłuższą przerwę — udało mi się skończyć w nadbrzeżnym miasteczku kurs kreślarski, co mi pozwoliło lepiej zarabiać w czasie dalszej wędrówki. Dorabiałem sobie też u flisaków. Miało to tę zaletę, że mogłem pracować, nie tracąc go z oczu.

Raz o mały włos się nie pogubiliśmy. Zatrzymałem się na zabawie w „Domu Rybaka”, zakotwiczywszy go uprzednio u brzegu. W nocy, kiedy tańczyłem walca, zerwała się burza z ulewą. Żał mi było porzucić rozrywkę, więc zwlekałem, aż nad ranem ktoś przyniósł wiadomość, że rzeka się podnosi, łódzie zrywa w przystani. Pobiegiłem: jego ani śladu. Przybór go zniósł i zabrał. Ile ja przeżyłem, wyprzedzając płynące z prądem liście i patyki, miałem nawet ochotę krzyczeć, nawoływać, ale on i tak by nie słyszał. Dopiero koło południa ujrzałem daleko, na środku rzeki, która w tym miejscu płynęła, między łagodnymi, szeroko rozstawionymi wzgórzami, charakterystyczny nos wystający z powierzchni, gładkiej już i spokojnej jak tafla. Nad nosem unosiła się tęcza. Wypogodziło się i słońce świeciło po deszczu. O nosie, niech to mi będzie nauczka. Nie opuszczę cię już nigdy.

Życie na świeżym powietrzu, mimo niewygód, dobrze wpłynęło na moje zdrowie. Zahartowałem się i nabrałem przedsiębiorczości.

Tego roku, na przedwiośniu, znalazłem się w powiatowym miasteczku, położonym oczywiście nad rzeką. Szczególnie ostra zima skuła rzekę lodem, lód już pękał i kry od kilku dni piętrzyły się przed mostem, tworząc zator. Gdzieś tam, w tym zatorze, znajdował się i on, wstrzymany, jak i lody, w swobodnym biegu. Zatrzymałem się więc i ja. Most trzeszczał, groziło mu runięcie, podobno mieli przyjechać saperzy i wysadzić zator w po-

wietrze, żeby ocalić most i dać drogę lodom. Nie mając nic innego do roboty, poszedłem obejrzeć jarmark. Dzień był prawdziwie przedwiosenny, czysty, przebielony od słońca ostro odbitego w śniegu, lazurowy od nieba, sopli i ślizgawic, czarny od wszystkiego, co ludzkie. Jarmark tłumny, zjechali się chłopcy z całej okolicy.

Przechadzając się alejką wśród straganów zobaczyłem w tłumie grupkę, która wydała mi się znajoma. Chłopski wóz z wiklinowym półkoszkiem, koń z pyskiem zanurzonym w obroku, na wozie oni... ależ tak, to chyba była rodzina młynarza. On drzemał w półkoszku, ona, mój Boże, prawie już staruszka, coś tam rozwijała z tobołka, a ci młodzi ludzie patrzący hardo, czyżby to były ich dzieci?

Nie wiem, czy chciałem uciec, czy do nich podejść. Wprawdzie młynarzowa mnie dostrzegła, potrząsnęła męża za ramię, on podniósł głowę, posiwiała, popatrzył na mnie — ona podniosła rękę, zawołała coś, więc chyba mnie poznała, ale w tej samej chwili huknęło, kawki zerwały się z wieży kościelnej i ludzie zaczęli bieć ławą w stronę mostu, popatrzyć, jak saperzy lód wysadzają. Więc pobiegłem i ja, nie żeby popatrzyć, nie, tylko żeby odnaleźć siebie i zaraz, kiedy kry ruszą i ja ruszę, żebym ruszył i ja.

1967

Pewnego razu udałem się w podróż.

Z braku bezpośredniego połączenia z celami podróży wystąpiłem do pośredniej stacji, żeby się przedrzeć na inny przystanek.

Był wieczór. Ów następnym przystanku miał nadejść dopiero następnego dnia.

## NOCLEG

Opowiedziałem starcy i udałem się do miasteczka, żeby znaleźć nocleg.

W hotelu nie znalazłem miejsca, gdzie indziej też nie. Wreszcie wskazano mi adres, pod którym — zapewniano — mogłbym zostać przygity.

Był to okazały, niski dom w ogrodzie.

— Jak pan chce — powiedziała gospożarka. — Ale tutaj strażcy.

Nocy bezdomnej bałem się bardziej, niż nocy bezdomnej. Zresztą odtąd faktu noc bezdomna byłaby również nocy bezdomna.

— A jak strażcy?

— Strażcy w ogóle.

W ogóle — to lepiej i gorzej. Gorzej, bo nic nie wiadomo. Lepiej z tego samego powodu. Zgodziłem się.

— Oczekuję pana — powitała gospożarka i zaprowadziła mnie do pokoju, w którym oprócz innych rzeczy już znajdowała się wielka łaźnia.

Kiedy zostaliśmy sami, wyjrzałem przez okno. Nie tak było widać.

Zamknąłem się, na czym polegała strażcy. Złapałem marynarkę i powiesiłem marynarkę na opuszczonej łóżeczko.



Pewnego razu udałem się w podróż.

Z braku bezpośredniego połączenia z celem podróży wysiadłem na pośredniej stacji, żeby się przesiąść na inny pociąg.

Był wieczór. Ów następny pociąg miał nadejść dopiero następnego dnia rano.

Opuściłem stację i udałem się do miasteczka, żeby znaleźć nocleg.

W hotelu nie znalazłem miejsca, gdzie indziej też nie. Wreszcie wskazano mi adres, pod którym — zapewniano — mógłbym zostać przyjęty.

Był to obszerny, niski dom w ogrodzie.

— Jak pan chce — powiedział gospodarz. — Ale tutaj straszy.

Nocy bezdomnej bałem się bardziej, niż nocy bezsennej. Zresztą siłą faktu noc bezdomna byłaby również nocą bezsennością.

— A jak straszy?

— Straszy w ogóle.

W ogóle — to lepiej i gorzej. Gorzej, bo nic nie wiadomo. Lepiej z tego samego powodu. Zgodziłem się.

— Ostrzegłem pana — powiedział gospodarz i zaprowadził mnie do pokoju, w którym oprócz innych sprzętów znajdowała się wielka szafa.

Kiedy zostałem sam, wyrząłem przez okno. Nic nie było widać.

Zastanawiałem się, na czym polegają strachy. Zdjąłem marynarkę i powiesiłem marynarkę na oparciu krzesła.



Co mnie czeka?

Nalałem wody ze dzbana do miednicy.

Szkielety, gieźła, trupie czaszki?

Umyłem twarz.

Miarowe stukanie piszczelem o szyby?

Wytarłem twarz ręcznikiem.

Czy też sama głowa, tocząca się po podłodze?

Zdjąłem buty.

Ogromny, czarny pies?

Zaglądnąłem pod łóżko.

A może ektoplazma?

Zdjąłem resztę odzieży i położyłem się do łóżka. Nie mogłem zasnąć.

Wisielec w szafie?

Wstałem i otworzyłem szafę. Była pusta.

Przymknąłem szafę i położyłem się. Nic nie fosforyzowało, oprócz tarczy zegarka. Było już dobrze po północy. Krytyczna pora minęła.

Widać gospodarz zakpił sobie ze mnie.

Wreszcie usłyszałem cichy, ale wyraźny chrobot.

Wstałem i zapaliłem światło. Chrobotąło w szafie.

Niosąc lampę, na palcach podszedłem do szafy. Zajrzałem do szafy przez uchylone drzwi, przyświecając lampą.

Zobaczyłem zwyczajną mysz.

Zatrzasnąłem szafę i usiadłem na krześle.

A więc *to* nie zadało sobie trudu, żeby przyjść i przstraszyć mnie.

Chyba, że *to* przyszło pod postacią myszy.

Ale w takim razie *to* nie jest straszne.

Czy jednak naprawdę nie jest straszne?

Jeżeli *to* pojawiło się pod postacią myszy, jeżeli mysz miała coś znaczyć, to gorzej, niż gdyby pokazał mi się upiór, strzyga, albo kościotrup. Niezwykły upiór jest tylko niezwykłym upiorem. Ale czym jest zwyczajna mysz, jeżeli nie jest zwyczajną myszą?

Co się za nią kryje?

Włosy stanęły mi na głowie.

Chyba, że nic się za nią nie kryje.

Włosy ułożyły mi się z powrotem.

A więc coś znacznie straszniejszego od upiorów, albo w ogóle nie ma się czego bać.

Skąd jednak wziąć pewność?

Ostrożnie zajrzałem jeszcze raz do szafy. Siedziała w kącie, szara. Znaczy ona coś, czy nie znaczy. Nic po niej nie było poznać. Patrzyła na mnie oczkami podobnymi do dwóch ziaren maku. Co można wyczytać z dwóch ziaren maku.

Zatrzasnąłem drzwi. Oblał mnie zimny pot.

Może i nie. Ale jeżeli...

Chwyliłem but i zabiłem ją. Odetchnąłem.

Ale wtedy zobaczyłem, że w ręku trzymam but. Nigdy przedtem nie zwróciłem na niego uwagi.

Położyłem but na podłodze i zacząłem mu się przyglądać.

But jak but.

Ale to właśnie wydało mi się podejrzanę.

Bo on coś za bardzo but.

Postanowiłem go zaskoczyć. Wziąłem gazetę i udałem, że czytam. Potem zniemacka odwróciłem głowę. On jednak jakby nigdy nic był butem.

To niczego nie dowodziło.

Powtórzyłem doświadczenie kilkakrotnie. Z takim samym wynikiem.

Zgasiłem światło i położyłem się. Jednak nie mogłem zasnąć. On tam był. Po ciemku, ale był.

Nagle zerwałem się i usiadłem w pościeli. Serce mi biło.

A jeżeli to nie mysz, jeżeli to on, but...

Wstałem, zapaliłem światło, otworzyłem okno i wyrzuciłem but do ogrodu.

Zamknąłem okno, podszedłem do umywalki, żeby umyć ręce. Podniosłem ręce.

Rękawy piżamy były za krótkie. Może na skutek tego stwierdziłem, że moje ręce były rękami.

Usiadłem przy stole. Położyłem je przed sobą.

A jeśli to ani mysz, ani but, tylko moje ręce...

Nie czekając do rana, uciekłem z tego domu. Resztę nocy spędziłem na stacji.

Ale od tej pory boję się swoich rąk.

1967

Naszą miłość. Na wznak, swąją do nieba, płynę nad ziemią.

— Nie zawsze tak było. Parużem, pokrętyłem się, żeby spać. Iwa nie już nie berydem. Zdziłem bory, ale i to nie było wyrwanie. Retygnacja szrej. To zaszczyt, że już do nie...  
**CI, CO MNIE NIOSĄ**

— Ja sam więc nic takiego nie zrobiłem, w czym można by się dopatrywać przyczyny wyniesienia.

— Być tak unoszonym, to sam szczęśliwy. Nie znam niczego przyjemniejszego. Polega on na tym, że jesteśmy w ruchu, ale nie przesłanym nogami. Kiedy się, wiem wprowadzić teoretycznie, a nawet mam na to dowody, że przesuwam się względem otoczenia, ale nie nie muszę iść, że przebieżam nogami w miejscu, zawsze w miejscu, gdziekolwiek to miejsce się znajduje. To przykreć znika, kiedy jest się unoszonym.

— Kiedy idę, na ogół wiem dokąd. Zanim dojdę do celu, już jestem tam moją myślą, dlatego zawsze przychodzi za późno. Teraz nie wiem, dokąd zamierzam, dokąd jestem zmierzony, ale na pewno dokądś, nie wiem gdzie, przecież jednoczelnik we wszystkie strony. Wprowadzić to nie ja wybieram cel, ale czy wybieranie celu jest aż takim doświadczeniem, żeby się o niego upominać? Przecież jeden cel nie jest właściwy. Najlepszy dowód, że każdy tylko osiągnięcie jakiś cel, natychmiast zmieniający do innego.

— Teraz nie wiem, gdzie jestem, ani gdzie idę, ani chw...



Niosą mnie. Na wznak, twarzą do nieba, płynę nad ziemią.

Nie zawsze tak było. Pamiętam, położyłem się, żeby spocząć. Na nic już nie liczyłem. Zdjąłem buty, ale i to nie było wyzwanie. Rezygnacja raczej. To znaczyło, że już do nikąd iść nie zamierzałem, nie chciałem już szukać szczęścia. Nawet nie czuwałem przy drzwiach — już nie czekałem.

Ja sam więc nic takiego nie zrobiłem, w czym można by się dopatrywać przyczyny wyniesienia.

Być tak unoszonym, to stan szczególny. Nie znam niczego przyjemniejszego. Polega on na tym, że jesteśmy w ruchu, ale nie przebieramy nogami. Kiedy idę, wiem wprawdzie teoretycznie, a nawet mam na to dowody, że przesuвам się względem otoczenia, ale nic nie zmienia faktu, że przebieram nogami w miejscu, zawsze w miejscu, gdziekolwiek to miejsce się znajduje. Ta przykrość znika, kiedy jest się unoszonym.

Kiedy idę, na ogół wiem dokąd. Zanim dojdę do celu, już jestem tam moją myślą, dlatego zawsze przychodzę za późno. Teraz nie wiem, dokąd zmierzam, dokąd jestem zmierzany, ale na pewno dokądś, nie niosą mnie przecież jednocześnie we wszystkie strony. Wprawdzie to nie ja wybieram cel, ale czy wybieranie celu jest aż takim dobrodziejstwem, żeby się o niego upominać? Przecież żaden cel nie jest właściwy. Najlepszy dowód, że kiedy tylko osiągniemy jakiś cel, natychmiast zmierzamy do innego.

Teraz nie wiem, gdzie jestem, ani gdzie będę za chwi-

łę, nie troszczę się więc o to, czy znajduję się tam, czy gdzie indziej. Moje życie przestaje być tylko ciągłym dosuwaniem nogi do nogi, wiecznym maruderstwem, dożywną strażą tylną za sobą samym. Wolę być bezwiednym jeźdźcem, niż przewidującym wierzchowcem.

Nade mną ptak się pokazał. Kiedy nas nie niosą, kiedy znajdujemy się w pozycji pionowej, rzadko takiego ptaka widzimy. Trzeba by patrzeć do góry. Więc przeważnie widzimy wróble, które przelatują nisko i krótko nad ziemią jak kamienie, raczej skaczą niż unoszą się, pozał się Boże ich latanie. A tu ptak prawdziwy, ptak ptaków. Waży się nade mną, kołuje. Ach, ptaku, jestem teraz bliżej ciebie, na tej kanapie, niż gdybym stanął na wieży.

◆

Nie pamiętam dokładnie, kiedy przestali mnie nieść. Winne były obłoki, które przesuwając się po niebie łudzą, że jest się w dalszym ciągu niesionym, gdy porzucili cię już i odeszli. Poruszyłem palcami, dłonią, już nie leżała na niej świeżość, dłoń znów się pociała w upale, zdechła ryba w stawie, nawet nie w wodzie bieżącej, gdzie — choć zdechła — przynajmniej obmywałby ją prąd.

Ptak oddzielił się ode mnie, latał nade mną teraz obojętny i utraciłem z nim współnictwo. Po tych oznakach, jak i po czymś jeszcze, czego nie umiem inaczej określić, jak tylko jako pewność nagłą, że mnie porzucono, poznałem, że tak właśnie się stało. Uniosłem głowę. Jakże wstrętne nieruchome było teraz wszystko. A jednak, jeżeli ktoś chciałby przypuścić, że wszystko poprzednie było złudzeniem, oto dowód niezbity: znajduję się już gdzie indziej, w nieznaney mi okolicy. Dlaczego tu porzucono mnie akurat? Rozłądam się mozolnie, żeby w pejzażu znaleźć odpowiedź. Kanapa stoi przy rowie, osty w nim rosna, zielska, fioletowa korona ostowego kwiatu wznosi się na prawo od mojego policzka. Dalej płot tak szczyrbaty, że czwórką można przejechać przez nieobecne

sztachety. „Na opał” — myślę sobie — „...okradli”. Oczywiście jest to tylko domysł, ale raźniej się czuję, kiedy się czegoś bodaj domyślam. Za płotem park dziki, a między gałęziami budynki widać.

Kolej na lewą stronę. Droga wiejska, pylna, drugi rów, jeżyny, parę drzew, krzaków rozrzuconych coraz dalej na polach, aż do białej wieży kościoła na samym horyzoncie, w gęstniejącej znowu grupie drzew. Dokąd poszli?

Konkretność tej okolicy wydała mi się bardziej bezsensowna, niż moja, tak nieuzasadniona przecież — przygoda, przerwana chwilowo tylko, miałem nadzieję. Degutowały mnie te jeżyny i płot ten, jako zupełnie pozbawione przyczyny, choć zapewne miały dla mnie jakiś skutek. Nie pytałem, przedtem unoszony na kanapie, kto i dlaczego, do głowy mi takie pytanie nie przyszło, a teraz, kiedy wszystko co widziałem było tak najoczywiściej oczywiste, zgłaszałem pretensje: po co ten płot, na co te budynki, obecność ich napawała mnie głębokim niesmakiem. Nic z tego nie było mi naprawdę potrzebne. Nuda przejęła mnie tak okropna, że zamknąłem oczy, żeby choć przez chwilę tego wszystkiego nie widzieć. „Rów służy do odprowadzania wody deszczowej” — powtarzałem sobie tytułem wyjaśnienia. — „Rów służy do odprowadzania wody deszczowej”. I zrobiło mi się już tak smutno, że omal się nie rozpłakałem.

Zresztą czy to wszystko naprawdę takie nowe? Rów, płot, wieża kościoła, każdy z tych elementów, a gdyby je rozłożyć na jeszcze drobniejsze części — bo któż nam zabroni dzielić, dzielić, dzielić — każdy najdrobniejszy element każdego z tych elementów znałem dobrze skąd inąd, tyle tylko, że w innych konfiguracjach. Może kiedy indziej płot był na lewo zamiast na prawo, może kościół z czerwonej cegły, nie biały, ale czerwień z kolei też znałem z tysiąca innych przykładów w milionie kombinacji, choćby z mojej kanapy pluszowej, a plusz z kolei... Świat jako pudło, a w nim mechaniczna układanka, którą moż-



na kombinować wciąż na nowo, ale zawsze z tych samych klocków. Dziecko, które otrzymuje taką zabawkę w podarunku, powinno popełnić samobójstwo, jeżeli nie chce wyrósć na kretyna, jakkolwiek bardzo inteligentnego. Pozostało tylko oczekiwanie, że wrócą i znowu mnie poniosą.

Leżę więc, ale tego, co koło mnie, nie mogę się już pozbyć. Słyszę szelesty listków ocierających się o inne listki (względnie tych innych ocierających się o te pierwsze listki) gdy słaby nawet podmuch powieje, słyszę jak bąk albo pszczoła przyleci i przeleci, a w stronie zabudowań coś łązi i coś robi.

Wciąż nie wracają, ale mogą wrócić lada chwila. Może tylko poszli napić się wody? Albo co...

Z daleka słyszę pobrzękiwanie, podzwanianie, chrzęst coraz wyraźniejszy, niewątpliwie coś się zbliża, a od coś to już tylko krok do ktoś, a ktoś, to któż inny, jak nie człowiek. Liczyć na to, że ślepy, to igrać z przypadkiem. Zobaczy mnie tu, na tej kanapie, amarantowej, jaskrawej na tle zieleni w parku, tym głębszej, że cieniejszej. Kanapa stoi przy drodze, gdzie więcej światła. Zobaczy — i pewnie obdarzony jest mową, ja również — zapyta, co tutaj robię, z tą kanapą, a ja, a ja... Za nic!

Więc ukryłem kanapę w zaroślach póki czas, a sam stanąłem przy drodze. Chętnie bym ukrył i siebie, ale obawiałem się, że tymczasem wrócą i nie znalazłszy ani mnie ani kanapy odejdą, porzucając mnie, tym razem na zawsze.

Widzę już stwór złożony z konia *en face* i czegoś, co niewątpliwie jest ludzką twarzą umieszczoną nieco wyżej, oraz z martwego przedmiotu, który, według wszelkich pojęć, jakich mnie nauczono, jest wozem. (Ogólnie biorąc). I gdybyż to była twarz tylko. Niestety, twarz łączy się z chłopem, (rozumuję pośpiesznie i sprawnie), bo chłopem nazywa się mieszkaniec tego rodzaju okolicy, w jakiej się znajduję.

Już się zbliżył. Wszystko w nim tłumaczyło się dos-

konale jedno drugim. W swoim obrębie cały był w pełnym świetle zacnej i zdrowej tożsamości. Nieogolony, ale niedbałość o wygląd zewnętrzny naturalna w życiu poświęconym pracom rolnym. Oczy niebieskie i typ antropologicznie jednolity, ale to właśnie jako potwierdzenie uspokajające działa na widza, który wie *a priori*, że życie od wieków osiadłe i reprodukowane z miejscowych materiałów nie podlega dzikim przygodom ras. Powozi wprawnie, ale bez skupienia, co świadczy, że ma w tym doświadczenie, że powożenie wynika z jego kondycji. Ten obraz powinien mnie ukoić, gdyby nie to, że czułem się winny, bo heterogeniczny.

Już z daleka utkwiał we mnie niebieskie oczy, oczy bez życia własnego, jak dwa otwory w kocu, rozwieszonym na tle bladego błękitu. Przewaga takich oczu jest druzgocąca, ponieważ łączą one w sobie siłę martwej rzeczy z siłą ludzkiego spojrzenia. Niby to rzecz tylko, a jednak nie można nie podejrzewać, że kryje się w niej zdolność do refleksji. Bo jednak człowiek on jak i ja. Patrząca ściana to zjawa z koszmaru. Odpowiadasz jej spojrzeniem, ona ścianą tylko. Więc bijesz w nią jak w ścianę, a cios twój przez nią przechodzi, jak przez myśl czyjąś. Już w bajkach to zauważono, gdy opisywano pojedynki z czarnoksiężnikami. Traktujesz takiego ogniem, on w wodę się obraca. Wypić go chcesz, pali cię w żołądku. Nadepniesz, on w ptaka, ty w strzelca, on w strzałę się zamienia.

I patrzył właśnie na mnie i choć ja też patrzyłem na niego, to przewaga jego w tym była, że ja wiedziałem, że on na mnie patrzy, podczas gdy on na mnie patrzył tak, jakby nie widział, że ja na niego patrzę. Choć kto go tam wie.

Kim byłem dla niego? Co on sobie o mnie pomyśli? Och, gdybym miał na sobie jakiś mundur, żołnierza, albo kolejarza. Żołnierz to żołnierz, a kolejarz to kolejarz. „Widziałem wojskowego (kolejarza)” — mógłby potem powiedzieć do swojej żony. Ale nie mam na sobie uniformu, nic się we mnie nie łączy jedno z drugim, jestem

nie do opisania. Tym bardziej, że kanapę wprowadzie ukryłem, ale wciąż stałem przy drodze w samych tylko skarpetkach.

A jednak na pewno spróbuje mnie określić. Może pomyśli, że jestem złodziejem, przybłądą, wariatem. Rozpowie we wsi, że pojawił się ktoś podejrzany. Gawiedź się zejdzie, będą się patrzyli, wypytywali, kto wie, może i bić mnie będą? I jak tu, kiedy przyjdzie pora, unieść się znowu. To zdarzyło się tylko raz, kiedy byłem sam, nie wśród gawiedzi.

Muszę coś powiedzieć, jakoś mu się przedstawić. Żeby odjechał, nie zaprzatając sobie mną zanadto głowy. Potrzebny był mi jakiś wiarygodny powód mojej obecności. Powiem mu na przykład, że szukam szkoły. Właśnie dlatego, że jestem obcy, nie powinien się dziwić mojemu pytaniu. Moja obcość wytłumaczy moje pytanie, a moje pytanie moją obcość. Skąd mogę wiedzieć, gdzie tu znajduje się szkoła, jeżeli jestem obcy? Więc zapytałem:

„Daleko tutaj do szkoły?”

„A, tam” — odparł, wskazując biczyskiem przed siebie. I dodał, zatrzymując pojazd: „Siadajcie, podwożę”.

Tego nie przewidziałem. Odmówię — wydam się chłopu podwójnie podejrzany. Najpierw pytam się o szkołę, a potem nie chcę się tam udać. Nie odmówię — a nuż tymczasem oni przyjdą, żeby mnie dalej nieść? Ale to nie było całkiem pewne. Natomiast jeśli nie pojedę — chłop z całą pewnością domyśli się mojego kręactwa. Więc wybrałem mniejsze zło. Liczyłem też na kompromis: Pojadę, a potem, kiedy chłop odczepi się ode mnie, zawrócę chyłkiem.

Wsiadłem na beczkę, bo to jednak nie był wóz, ale wielka, metalowa beczka na kołach, pachnąca amoniakiem, dowód prawie pewny, że służyła do przewożenia gnojówki.

Pozostawała do wyjaśnienia sprawa skarpetek. Ktoś, kto szuka szkoły — w porządku. Ale dlaczego w samych tylko skarpetkach?

„Gorąco w butach” — powiedziałem. Nie przytaknął, ale i nie zaprzeczył, co mogło oznaczać zarówno zgodę, jak i różnicę zdań.

„Ale boso za zimno” — uzupełniłem, żeby umieścić moje nogi, nie obute, ale i nie bose, w samym sednie słuszności. Ale i to przyjął milczeniem.

Przejechaliśmy wzdłuż parku. Mignął mi tam między gałęziami staw częściowo zarośnięty zieloną rzęsą. Potem droga rozwidlała się i chłop skręcił w jedno z tych rozwidleń.

„Bociek” — powiedział, wskazując biczykiem, tym razem w bok.

Istotnie, na łące stał czarno-biały ptak. Czyżby to był ten sam, który przedtem unosił się nade mną? Należało jednak coś odpowiedzieć chłopu.

„Stoi” — odrzekłem, niezbyt twierdząco, żeby to mógł przyjąć także jako wątpliwość. W ten sposób mieliśmy temat do dalszej rozmowy. Wątpliwość zawsze ożywia rozmowę. On jednak doskonale obywat się bez konwersacji i milczenie, jak znowu zapadło, zdawało się jemu nie ciążyć.

„Szkoła” — powiedział nareszcie, wskazując na niski, bielony budynek. Ściągnął lejce. Zlazłem z beczi, dziękując za uprzejmość. Czekałem teraz, aż odjedzie, żebym mógł wrócić po kryjomu tam, skąd mnie przywiózł. On jednak bynajmniej nie zamierzał odjechać. Zwrócił się ku mnie i patrzył na mnie. Koń natomiast odwrócił się ode mnie i skubał trawę. Lubię zwierzęta.

Więc zamiast pójść z powrotem do parku musiałem jednak wejść do szkoły. Znalazłem się w sieni z kamienną posadzką. Stąd drzwi prowadziły na prawo i na lewo. Zajrzałem przez dziurkę od klucza na prawo i zobaczyłem puste ławki. Zajrzałem przez dziurkę od klucza na lewo i zobaczyłem książki ustawione rzędami na półkach, oprawione w szary, pakunkowy papier, z białymi etykietkami o niebieskiej obwódce na grzbietach. Cicho tu było i pa-

chniało karbolem. Szkoła widać opustoszała o tej godzinie, to dodało mi otuchy, a nawet rozzuchwaliło.

Nacisnąłem klamkę u drzwi na lewo — były zamknięte.

Nacisnąłem klamkę u drzwi na prawo — ustąpiły. Znienacka ujrzałem młodą kobietę na drabinie. We wzniesionych rękach trzymała papierową girlandę. Dwie białe łydki, wyprężone, odsłaniały się wysoko, nawet powyżej zgięcia kolanowego.

Odwróciła się i upuściła girlandę. Schyliłem się i podniosłem girlandę z galanterią.

„Proszę” — powiedziałem. — „Pani upadło...”.

Patrzyła na mnie z góry. W wargach trzymała kilka gwoździków, a młotek wystawał z kieszeni granatowego fartucha, z lśniącego jedwabiu. Wyjęła gwoźdźki z ust i zamiast się odezwać — zachichotała. Z pewnością zobaczyła moje skarpetki. Ale tym razem wcale się nie zmieszalem. Byliśmy różnej płci i dzięki temu nasze spotkanie miało swój sens, jakkolwiek bym wyglądał.

„My się skądś znamy” — powiedziałem śmiało.

Trzymaliśmy teraz girlandę razem. Ja podawałem z dołu, ona odbierała z góry. Wyglądało to, jakbym jej wręczał dar na znak hołdu. Mimo to, mając jej łydkę koło mojego ucha, nie czułem się wcale poniżony.

„Pani mnie sobie nie przypomina? Przecież myśmy się już widzieli”.

To prawda. Była kobietą, a kobiety widywałem przecież codziennie.

Patrząc wedle jej łydki, zobaczyłem przez okno, że chłop wreszcie odjechał. A ja tymczasem tkwiłem tutaj, unieruchomiony z tą głupią girlandą. Poczulem wyrzuty sumienia, że tracę czas, kiedy może mnie tam już wołają, szukają...

„Powiem pani kiedy indziej”. — Niecierpliwie wcisnąłem jej girlandę w ręce i pobiegłem ku drzwiom. Została na drabinie, ściskając oburącz girlandę, jak różowe, papierowe zwłoki. Zreflektowałem się i zatrzymałszy się

w drzwiach, dodałem uprzejmiej już i bardziej przytomnie:

„O piątej. W parku nad stawem”.

Już byłem w sieni, ale znów mnie tknęło, że wciąż nie zachowałem się przyzwoicie. Zawróciłem, żeby uzupełnić:

„Niech pani na pewno przyjdzie”.



Kanapę znalazłem tam, gdzie ją zostawiłem. Czy przyszli po mnie podczas mojej nieobecności? Nic na to nie wskazywało. Położyłem się znowu, zmęczony biegiem, zresztą to było moje miejsce. Może wszystko skończy się dobrze. Starąłem się uporządkować myśli i uporządkowałem je tak:

1. Jeżeli mnie nieśli, to widocznie im na mnie zależało. Trudno przypuścić, że mnie nieśli przypadkiem.

2. Jeżeli mnie znaleźli przedtem, znajdą mnie i teraz.

3. Gdyby przyszli podczas mojej nieobecności, to by poczekali. Wynikało to z poprzednich dwóch punktów.

W zaroślach było nieco chłodniej, a nawet, mimo upalnej pogody — wilgotno. Zwolna moją głowę przestały nękać komentarze, a potem z różnych odgłosów wyodrębniły się tylko poszczególne. Najpierw brzęczenie owadów, potem ujadanie osełki pocieranej o kosę, jazgot rozgniewanej baby gdzieś w opłotkach. Później brzęczenie owadów zjednoczyło się z brzęczeniem osełko-kosy, jakby dużego owada, a jednocześnie jazgot baby z koso-osełką i stał się gderaniem babo-owada. Co do widoku, od początku był monotony: pułap splątanych liści.

Rzeczywiście, zobaczyłem obłoki, niebo. Tym trudniej było mi uwierzyć, że jednak mam nad głową liście i że gryzą mnie komary. Zdrzemnąłem się. A może jednak — ostatnia nadzieja po przebudzeniu — nieśli mnie znowu choć trochę, kiedy spałem i rzeczywiście widziałem niebo, choć przez sen? Może to już inne liście? Nie,

te same. Przez krzaki prześwitywała ta sama droga, ten sam szczerbaty płot. Wspomnienie i żal za utraconą lotnością były tak silne, że miałem łzy w oczach. Nie wstydziałem się ich, bo zapłakałem bezwiednie, jeszcze przed obudzeniem, kiedy posiadałem niebo, ale już widać wiedziałem, że je utracę. W każdym razie łzy — łzy były prawdziwe.

Przypomniałem sobie o umówionym spotkaniu i zwlokłem się z kanapy. Obecnie rzecz przedstawiała mi się tak:

1. Może właśnie nieśli mnie tylko przypadkiem. Chodziło im o kanapę, nie o mnie, a to, że znajdowałem się właśnie na kanapie, to był tylko przypadek. Może zresztą chcieli sobie ponieść cokolwiek.

2. Nie miałem dowodów, że mnie wtedy szukali. Więc nie musieli mnie szukać i teraz.

3. Nawet, jeżeli jakimś trafem wrócili podczas mojej nieobecności, nawet jeżeli na mnie czekali, to mogło im się znudzić czekanie.

A może noszenie znudziło im się w ogóle?

Co będzie, jeżeli dzisiaj już się nie zjawią.

Ani jutro.

Ani nawet pojutrze.

Poszedłem nad staw. Stopy grzęzły nieprzyjemnie w podmokłościach. Nie było nawet na czym usiąść.

O ile z łatwością spędzam długie godziny siedząc, stanie w miejscu bez konkretnego zajęcia, choćby tylko przez krótki czas, wydaje mi się męką i wolę równie bezmyślnie poruszać się tam i z powrotem, mimo, że wtedy także się męczę.

Chodziłem więc wzdłuż brzegu, dopóki nie odkryłem, że po drugiej stronie stoi jakiś człowiek. Stoi właśnie bez ruchu, dlatego też nie zauważyłem go wcześniej. Spłoszyłem się na myśl, że on — być może — zauważył mnie pierwszy i obserwuje mnie od dawna. Uspokoilem się dopiero, kiedy po bliższym wejrzeniu stwierdziłem, że trzyma wędkę. To był wędkarz, a wędkarze patrzą na

pławik i nie rozglądają się dookoła. Stał też nie na brzegu, ale przy brzegu, w łodzi. Mężczyzna w szarej watówce, a pewną osobliwość jego twarzy z daleka skłonny byłem przypisać wąsom.

Przestałem się poruszać, raz dlatego, żeby nie ściągnąć na siebie jego uwagi, dwa, bo teraz mając już czemu się przyglądać odzyskałem zdolność pozostawania w miejscu. Tak patrzyliśmy, on na pławik, ja na niego i czekaliśmy obaj, on na rybę, która miała się złapać, ja na moją znajomą. Jemu czas się nie dłużył dzięki rybie, mnie dzięki rybie i niemu. Toteż, kiedy nagle wyjął wędkę z wody (bez ryby) — owinął żyłkę — niewidoczną z tej odległości — wokół wędziska, dobił do brzegu — i odszedł — poczułem się opuszczony i wytrącony z równowagi. Poczłapałem jeszcze tam i z powrotem, aż nadeszła ona.

Miała na sobie świeżo wyprasowaną, niebieską sukienkę z białym kołnierzem, włosy też świeżo zakręcone. Wystroiła się dla mnie, ale to właśnie mnie krępowało. Przechadzaliśmy się, cofnięci w rozwoju naszego romanu, bardziej skrępowani, niż przy pierwszym spotkaniu. Opowiadała mi o swoim życiu prowincjonalnej nauczycielki. Pracowała tu od niedawna, na posiadzie, tatuś i mamusia czuli się dobrze, mieszkali w odległej miejscowości, ale odwiedzali ją raz do roku, ona też bywała u nich na święta. Brat, z którym często się sprzeczali, kiedy byli dziećmi, odbywa służbę wojskową. Teraz się lubią i pisują do siebie. Pokazała mi nawet fotografię brata, wyjętą z czarnej, lakierowanej torebki. Owszem, brat jak brat, tyle, że ciemniejszy od niej. Mieszka i stołuje się u gospodarzy, szyje sobie sama. Brakuje jej rozrywek i rozmów z kulturalnymi ludźmi.

Tak gwarząc, okrążyliśmy staw wielokrotnie. Księżyc wyszedł przedwcześnie — zdarza się to czasami przy pięknej pogodzie — jak pijany aktor, który przez pomyłkę wkracza na scenę zanim przyjdzie na niego kolej i wprowadza zamieszanie. Przewidziałem księżyc, ale na potem, kiedy zapadnie noc. Teraz on mnie przynagłał,



zamiast żebym to ja czekał na niego. I jako partner tego pomyłonego aktora, który popsuł szyk przedstawienia, zmuszony byłem przyśpieszyć akcję, żeby ocalić utwór w oczach publiczności. Nic sobie nie robiąc z nieporządku, któremu był winien, beztroski, tkwił na nieboskłonie jasnym przecież i jeszcze zupełnie niebieskim, podobny do monety na dnie sadzawki, wrzuconej tam na szczęście. Na jakie szczęście!

Moje szczęście było gdzie indziej, nie nad tym stawem i nie z tą miłą skądinąd osobą. Jednak wspomnienie przydało mi się o tyle, że mając na myśli tamtą przygodę zacząłem mówić, o czym innym wprawdzie, ale z uniesieniem, którego bym nigdy z siebie nie wykresał, gdybym myślał o bieżącej chwili. Opowiadałem jej o wrażeniu, jakie na mnie zrobiła (a miałem na myśli nie jej płaskie loki, ale obłoki, wtedy), o niezwykłym uczuciu wiecznej przynależności wzajemnej, którego doznałem, kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy (a myślałem o moim związku z przestrzenią i wysokością, kiedy mnie nieśli), o tym, że niczego innego nie pragnę, jak tylko zatrzymać jej spojrzenie na zawsze (podczas gdy chodziło mi o moje spojrzenie, które — pocieszałem się — zostało w tamtej przestrzeni, bo kiedy mnie z niej wyrzucano, ono przybrało postać ptaka, może ten ptak był moim spojrzeniem, tak pragnącym pozostać, że zamieniło się w ptaka, który będzie się jeszcze unosił, kiedy mnie już zabraknie) — i tym podobne rzeczy.

Dzięki temu przesunięciu, dzięki temu, że mówiłem na niby, ale myślałem naprawdę, moje słowa miały nieoczekiwaną siłę perswazji i robiły wielkie wrażenie. Słuchała mnie z przejęciem, czując widocznie, że to już coś więcej, niż flirt towarzyski. Sam zresztą dałem się porwać samemu sobie zapatrzony w moje wspomnienie i wznosiłem się coraz wyżej, a im bardziej, tak się wznosząc oddalałem się od niej — tym łatwiej mi było mówić, bo o niej zapominałem i dzięki temu mówiłem coraz lepiej, coraz bardziej przekonująco. Aż się zmęczyłem i opad-

łem. Widocznie mówiłem długo, bo tymczasem zapanował zmierzch. Księżyc nabrzmiał i poczerwieniał. Podwójny — odbijał się teraz w stawie. Byłem smutny.

„Może przejedziemy się łódką?” — zaproponowałem. Miałem na myśli nie tyle przejażdżkę, ile to, że w łódce można by usiąść.

Podeszliśmy do łodzi. Ale okazało się, że w łódce było pełno wody i bez gumowych butów nieprzyjemnie z niej korzystać.

Więc dalej krążyliśmy dookoła stawu i naprawdę chciałem nareszcie gdzie spocząć. Księżyc tymczasem wzniósł się i zbladł.

„Mam tu niedaleko kanapę” — powiedziałem. — „Nie chciałbym być źle zrozumiany” — dodałem szybko, pojawiwszy, jak dwuznaczna była ta propozycja. — „Moglibyśmy ją przynieść tu, nad staw, żeby patrzeć, jak pięknie księżyc odbija się w wodzie”.

Takie ujęcie sprawy wydało mi się niewinne, nawet szlachetne, bo estetycznej natury. Poszliśmy po kanapę. We dwoje dźwignęliśmy mebel i przenieśliśmy nad staw. Postawiliśmy ją przy samym brzegu, zgodnie z zamierzeniem, żeby oglądać krajobraz. Istotnie, wystarczyło spojrzeć na wodę, żeby widzieć firmament aż po bladego selenę.



Zamieszkałem w budynku, który niegdyś był dworem, a obecnie własnością gminy. Mieszkał tam pełnomocnik, który gospodarzył resztówką. Przedstawiony jako jej kuzyn otrzymałem pusty pokój na parterze, do którego wstawiliśmy kanapę. Pierwszą noc przespałem w ubraniu, nazajutrz ona przyniosła mi pościel i buty.

Dom był pusty, ponieważ nieliczne meble, jakie pozostały, pełnomocnik ściągnął do kuchni, gdzie urządził sobie mieszkanie. Jedna izba wystarczała mu w zupełności, jako człowiekowi niezonatemu. Pełnomocnik miał

wąsy i lubił łowić ryby na wędkę. Budził się wcześniej ode mnie i odchodził do swoich zajęć.

Wstawałem późno. Bez pośpiechu jadłem śniadanie, potem, niekrępowany przez nikogo, spacerowałem po amfiladach. Odwiedzałem zabudowania folwarczne, szedłem do parku. Popołudniu ona kończyła pracę w szkole i przynosiła mi obiad w dwojakach. Resztę dnia spędzaliśmy razem, ciągle w obrębie zabudowań i parku. Z rzadka tylko szliśmy na pola, o zmierzchu.

Dom był zniszczony. Zacieki na ścianach (okna były bez szyb, z wyjątkiem okien kuchennych) i odarty tynk sprawiały w pokojach mroczne wrażenie, nawet w pogodny dzień. Brakowało drzwi między izbami. Na wpuł rozebrane piece, a co najmniej wyrwane ruszta niedwuznacznie już przypominały ruinę. Kamienne schody prowadziły na piętro, drewniane z piętra na strych. Na strychu znalazłem przedmiot, który wydał mi się znakiem, a w każdym razie odnowił moją ranę.

Czy trzeba podkreślać, że wciąż pamiętałem o tym, co mi się przydarzyło na samym początku, na skutek czego tutaj się znalazłem? Minęły już jakieś dni, ale to były dni monotonne i straciłem ich rachubę. Zresztą wątpię, czy nawet dni różniące się od siebie, dni, w których miałbym co innego do roboty, jak tylko włączyć się z kąta w kąt, byłyby zdolne oderwać mnie od wspomnienia. Bo nie tylko o wspomnienie tu chodziło, ale także o nadzieję. Przecież jeżeli wciąż tutaj się znajdowałem, to tylko dlatego, że spodziewałem się wciąż powtórzenia, albo lepiej: dalszego ciągu mojej pierwotnej przygody, jedynej, do której przywiązywałem jakąkolwiek wagę.

Jeżeli tu tkwiłem, jeżeli spędzałem dni na wałkoństwie i nieszczerých amorach, w dodatku w niewygodzie i ograniczeniu, to jedynie dlatego, że miałem nadzieję. Więcej, obawiałem się, że oddalając się z miejsca, w którym została przerwana zasadnicza przyczyna dla której żyłem, uniemożliwię sobie nawiązanie wątku. Tu gubił

się ślad i tu należało go szukać. Inaczej dawno bym uciekł.

Inaczej zresztą trudniej by mi było tutaj wytrzymać, niż wytrzymałem. Bo mimo wszelkich niedogodności mojego położenia nie odczuwałem zbyt boleśnie, zajęty — jak byłem — rozpatrywaniem jedyne go tematu, który mnie interesował i obojętny na wszystko inne. Te dni, te okoliczności służyły mi tylko jako przypadkowe tło do mojego nieprzypadkowego sensu. Może szaleństwem było uznawać pełnomocnika z jego prawdziwymi przeciw wężami, jego chrapaniem za ścianą, za bezsensowne, a moje myśli (wiadomo przecież o czym) za pielęgnację prawdy. Realne komary i żywą nauczycielkę za niekonieczne zdarzenia, a to, co mi się przydarzyło, na początku historii, za konieczność. Niemniej, w praktycznym skutku tego szaleństwa, jeśli to było szaleństwo, mniej cierpiałem od chrapania, komarów i nauczycielki, niż gdybym im poświęcił więcej uwagi, gdybym je uznał za jedyną realność i gdybym nie sądził, że są tylko epizodem. Ostatecznie czułem się przejeżdżnym i moja niewygodą była tylko niewygodą podróżnego, który tracąc połączenie między pociągami spędza parę godzin na małej stacyjce, ale nie go z nią nie łączy.

Na strychu znalazłem lektykę. Sprzęt od dawna nieużywany, ale który przecież zachował w sobie bez uszczerbku przeznaczenie, do którego był stworzony. Wszystko w nim mówiło o przeznaczeniu. Cztery drążki z wyrobionymi na końcach, wygodnymi uchwyty, dobrze przylegającymi do dłoni, wprost wymarzone dla tych, którzy mieli nosić. Dla tego, który miał być niesionym, również wszystko przemyślane w najbardziej celowy sposób. Budka, kryta lakierowaną skórą — aby go chronić przed niepogodą i spojrzzeniami ciekawych, ławeczka w budce, wyściełana wojłokiem, obita białym atłasem — aby mu było wygodnie. Szybki w budce były nietknięte. Firanki, aby mógł — gdy zechce — odciąć się od świata. Nawet materia, którą wytapetowano wewnątrz budki, choć

spełniała zadanie wyłącznie dekoracyjne, spełniała je nie bez związku z ogólną celowością. Wszystko ułożone według nadrzędnego zamysłu.

To odkrycie było aluzją tak brutalną, jak strycek w domu powieszzonego. W dodatku jakaż różnica między tym doskonałym przyrządem, a moją kanapą. Kanapę tylko z trudem, w braku czegoś lepszego, można zastosować do noszenia i to wbrew jej naturze. „Nieście mnie” — zdawał się mówić ten przyrząd, tak kategorycznie, aż prawie słyszało się zgodny odzew: „Hej, nieśmy, nieśmy!”. A jednak to na mojej biednej, skromnej kanapie mnie nieśli. Lecz jeśli mogli na kanapie, to tym bardziej powinni...

Wcisnąłem się do środka i zamknąłem za sobą portierę. Lektyka była raną dla wspomnienia, ale też znakiem dla nadziei.

Ciężko było oddychać w tej ciasnej komórce, ciężej jeszcze niż na strychu pod rozgrzanym dachem, przepętlionym rupieciami różnego rodzaju. Przedtem wydawało mi się, że na strychu jest ciemno, teraz przez małe szybki widziałem trochę jasności. Siedziałem jak w kufrze, opakowany ciemnością. Wyobraziłem sobie, że we mnie, wewnątrz mojego ciała jest jeszcze ciemniej. Poczułem się jądrem ciemności, otoczonym różnymi warstwami. Pierwsza, to błękit na dworze, rozchwiane czubki drzew, śpiewające ptaki. Druga, półmrok strychowy, zakurzony, stęchły. Trzecia — zgęszczona ciemność w szczelnie zamkniętej lektyce, pleśń i mysie łajno. A w samym środku ja, sama substancja ciemności. Ale pomyślałem sobie, że ta cała cebula mroku, choć z wierzchu rozjaśniona, otoczona jest doskonalszą jeszcze czarnością kosmosu. Doskonalszą, czy też równą tej, która siedziała we mnie? Wolałbym, żeby równą, czułbym się wtedy spokrewniony z anty-światłem wszechświata, zrobiony z tej samej, co ono, materii.

Nadśłuchiwałem. Poczujęm zresztą, gdyby mnie dźwignęli. Czemuż ich nie nęcił ten świetny przyrząd,

o ile byłoby im łatwiej, niż mordować się z niezgrabną i ciężką kanapą. Cóż naturalniejszego, niż skorzystać z okazji, póki siedziałem w środku. Starłem się nie myśleć o tym, liczyłem do pięćdziesięciu, do stu. Że nic się nie działo, o tym przekonał mnie ostatecznie jej głos, wołający mnie na podwórzu. Przyszła z obiadem.

Głos z trudem przenikał do lektyki, jednak wyraźny. Wołała mnie po imieniu. A gdyby tak udać, że to imię mnie nie dotyczy? Zresztą czy muszę udawać, czy ono dotyczy mnie naprawdę? Dlaczego to słowo to mam być ja? Co sprawiło, że się z nim utożsamiałem? Chyba nic, poza biernością i przyzwyczajeniem. Przez chwilę siedziałem w chłodnym olśnieniu, obserwując obcość tego imienia. Nie odpowiadałem więc na jej wezwania, coraz to bardziej niecierpliwe, wcale nie ze złościwości, ale dlatego, że ten, którego ona wzywała, nie był mną. Nie byłem ani złośliwy, ani okrutny, ani tchórzliwy. Te wszystkie cechy należały do mojego imienia, z którym nie miałem nic wspólnego.

Nie trwało to długo. Ani się spostrzegłem, jak moje imię zaskoczyło znowu i wysiadłem z lektyki, nawet z pośpiechem. Zastałem ją na dole, krążącą niespokojnie wokół domu. Niosła gliniane dwojaki, nakryte czystą, płócienną chustką. „Gdzie się podziewałeś tak długo, dlaczego nie przyszedłeś od razu. Czy nie słyszałeś, jak cię wołałam?”. Nie umiałem odpowiedzieć na zarzuty, ponieważ sam, teraz, kiedy moje imię do mnie wróciło, nie rozumiałem swojego stanu, w jakim się znajdowałem, kiedy imię było nieobecne. (Dokąd poszło? Skąd wróciło? Czy skądś wróciło, czy też nie poszło do nikąd, zniweczyło się tylko, a potem narodziło na nowo, z niczego? Ale jakżeż mogło się narodzić z niczego, dokładnie takie same). Jakże mogłem wytłumaczyć jej coś, czego sam już nie pojmowałem. Starłem się być dla niej czuły i przepaszający, ponieważ przykro mi było, że nie mogłem jej dać odpowiedzi. Ale o dziwo, to właśnie uspokoiło ją wnet, skuteczniej niż najdokładniejsze wyjaśnienie-

nia. Widać naprawdę nie chodziło jej wcale o odpowiedź, ale o to, żebym wobec niej był taki, jakiego mnie sobie wyobrażała. Jeżeli żądała odpowiedzi, to wyłącznie dlatego, że zaczęła podejrzewać, jakoby takim nie był. Teraz, kiedy takim się okazałem, czułym i uprzejmym, zniknął powód do indagacji.

Usiedliśmy pod studnią, w cieniu padającym od wielkich drzew lipowych, na starym korycie. Bez śladu poprzednich dąsów opowiadała o tym, co się przydarzyło w szkole tego ranka, o drobnych kłopotach i powszednich zmartwieniach. Słuchałem nieuważnie, ponieważ zaprzętało mnie pytanie: oto odpowiadałem za przewinienie, którego nie popełniłem. (Przepraszałem ją za to, że kazałem jej długo czekać, ale ten, który kazał jej czekać, nie był już tym, który przeprasza). Jednakże ten, który je popełnił, też nie popełnił go właściwie, ponieważ tego rodzaju przewinienie wobec niej mógł popełnić tylko ktoś, kto miał wobec niej zobowiązania, kto nosił moje imię. A więc nie ten bez imienia, wtedy, w lektyce.

Kto więc był winien?

Opowiadała mi między innymi, że zabrakło miejsca na książki w szkolnej biblioteczce i należało temu zaradzić. Fundusze już są i właśnie przynieśli półkę. Słowo „przynieśli” sprawiło, że natychmiast zacząłem uważać. Podjąłem wątek:

„Co ty mówisz! Przynieśli?” — „Przecież mówiłam przed chwilą. Nie słuchałeś?” — gdyby wiedziała, jak ja ją teraz słuchałem. Ale tego właśnie nie powinna się nawet domyślać. — „A jak wyglądali?” — zapytałem, udając obojętność — „Kto?” — „No ci, co przynieśli”. — „Grabarz?” — „Jaki grabarz...”. — „Grabarz z synem”. — „Grabarz nosi półki?!” — „Zajmuje się stolarką. Jak tylko co trzeba, grabarz umie zrobić”. — „I sami przynieśli?” — spytałem nieco rozczerowany. — „A z kim?” — „Nic. Myślałem, że im ktoś pomagał”.

Nie, to nie było to. A jednak noszenie półki przez

grabarza mogło coś oznaczać. Postanowiłem dotrzeć do grabarza i wy badać go.



Poszedłem na cmentarz. Grabarz siedział na płycie grobowca i mieszał zaprawę murarską w wiaderku. Pozdrowiłem go i zagadnąłem o jego zajęcie. Pokazał mi szczelinę w podmurówce, którą należało załatać. Był to jedyny, murowany grób na tym cmentarzu, własność parafialna, przeznaczony do pochowku miejscowych proboszczy.

Odwinąłem litrową butelkę z gazety i postawiłem ją na płycie, pytając, czy by nie zechciał otworzyć. Odłożył kielnię i sprawnie wybił korek przy pomocy dłoni. Zaproponowałem, żeby się poczęstował, nawet nie wypadało inaczej. Pociągnęliśmy po pierwszym łyku i tak zaczęła się nasza znajomość.

Grabarz był człowiekiem uprzejmym, nie wtrącającym się w cudze sprawy, ale też z rezerwą mówiącym o swoich. Za to chętnie rozmawiał na tematy ogólne. Gazeta, w którą zawinięto mi butelkę w sklepie spożywczym donosiła o wojnie toczącej się w dalekim kraju amerykańskim. Grabarz, oceniając mnie jako człowieka inteligentnego, wypytywał, jak długo, moim zdaniem, trzeba by iść, gdyby koleje stanęły i gdyby trzeba tam iść pieszo. Doszliśmy do wniosku, że piechurowi zajęło by to co najmniej kilka miesięcy, ale z powrotem znacznie więcej, zważywszy zmęczenie poprzednim marszem w tamtą stronę. Kto wie jednak — zaproponował grabarz — czy z powrotem nie szłoby się tyle samo czasu, a może nawet krócej, ponieważ znając już drogę można by iść na skrót, a w każdym razie nie błędzić. Tak, ale zależy jaka pora roku by nas zaskoczyła po drodze — zastrzegłem. — Bo jeżeli zima, albo roztopy, to wiadomo, że idzie się znacznie ciężiej i niektóre odcinki mogłyby się okazać wprost nie do przebycia. — „Iiii... panie, jaka zima” — sprzeciwił się grabarz. — „Wszystko to ciepłe kraje”.



Siedziało się nam przyjemnie. Z cmentarza, położonego na łagodnym wzniesieniu, widać było białe pasemko drogi, obok park (przedstawiał się z tej odległości jako zwarta wysepka na polach, nad którą wystawał szczyt dachu), wieś z białym budynkiem szkoły, a najbliżej kościół, z wieżą nie szpiczastą, ale zakończoną kopulasto, z kopułą krytą popielatą blachą, zwężającą się dopiero w samej górze w rodzaj latarni, zwieńczonej złotą kulą i krzyżem. W bok od kościoła plebania, czysta i porządna, z kwadracikami ciemno pomalowanych okiennic.

Przyjemnie było widzieć tak wszystko jednocześnie, ogarniać wzrokiem całą okolicę, samemu nic nie robiąc wyszukiwać maleńkie punkciki krzątające się gdzieś po polach, z rzadka, bo był to okres po ukończeniu pilnych robót wiosennych, a przed żniwami.

Tym przyjemniej, że dopiero zaczęliśmy butelkę, a wietrzyk chłodził.

Przepiliśmy znowu i zapalili.

„... Zależy” — powiedziałem, nawiązując do rozmowy. — „... Czy idzie się bez niczego, czy się co niesie”.  
„Co się ma nieść?”

Wypierał się w żywe oczy, albo o niczym nie wiedział. A może za wcześnie zacząłem i się spłoszył. Nie należało przyciskać go do muru.

„Plecak na przykład. Z prowiantem. Albo co...”

Pokręcił głową.

„Jakby już szedł, to by nie był taki głupi, żeby nie dostał bonów na wyzywienie. Nawet za darmo”.

Trudno sugerować, że nasz hipotetyczny piechur nie odznaczałby się pełnią władz umysłowych. Byłoby w tym coś uwłaczającego dla nas, przecież niejako utożsamiliśmy się z naszym podopiecznym.

Nie nastawałem więc. Zwłaszcza, że mój rozmówca poruszył inną sprawę:

„Panie, jak to jest. Powiadają, że gdzie indziej też są ludzie. Ale sami nie wiedzą, gdzie. Raz mówią, że tu,

drugi raz, że tam... I tak w kółko. Po co mówić, że oni są, jak nawet nie wiadomo gdzie”.

Wyjaśniłem, że skoro ich nie ma na jednej planecie, to widocznie są na innej. — „Nosi ich inna planeta” — tak to sformułowałem, patrząc mu głęboko w oczy.

„Wszystko to zawracanie głowy. Nawet jak są na innej planecie, to na co nam potrzebni. Albo są tacy sami jak ja i pan i wtedy o co chodzi, to ja już wolę posiedzieć sobie elegancko z panem (tu przepiliśmy do siebie z sympatią). Nie ma ich po co szukać. Albo nie są tacy sami jak my i wtedy są... (tu użył ordynarnego określenia).

To wyznanie wzruszyło mnie. Oto on wyznaje, jak bardzo mnie ceni i przedkłada moje towarzystwo nad towarzystwo osobników z najbardziej nawet odległych planet.

„Mówmy sobie ty” — zaproponowałem.

„Zakąś szczawiem” — zachęcił mnie, zrywając zielony listek. Była w jego wezwaniu prostota i życzliwość. I ja takiego człowieka chciałem podejść. Zbliżyłem się do niego wyłącznie celem zdobycia pewnych informacji. (O ile zdolny był mi ich udzielić). Zrobiło mi się przykro.

„Twoje zdrowie” — powiedziałem czule. Chciałem jakoś zadośćuczynić za przewrotność, której się wstydzilem. Zresztą ten cmentarz podobał mi się coraz bardziej.

„Albo takie zwierzęta” — ciągnął grabarz. — „Jedne są, drugich nie ma. Kot na przykład jest. Pies — też jest. A takie jedno, co go nie ma, to nie jest żadne zwierzę”.

Powiedział to po prostu, ale mnie się wydawało, że czyni aluzję do moich problemów. Przyjąłem to jako zarzut, krytykę mojej postawy życiowej, wątpliwość o skuteczności moich poszukiwań i niewiarę w sens ewentualnego ich skutku.

Zauważyłem więc, że często nam się wydaje, że coś jest i potem się okazuje, że rzeczywiście.

„Bywa i tak, ale bywa też inaczej” — tu stuknął

butelką w płytę grobowca. — „Jak myślisz, co tu jest w środku?”

„Ksiądz proboszcz” — odparłem, pewny swego.

„Nic nie ma. Owszem, był u nas kiedyś jeden dobrodziej bardzo stary. Wszyscy już-już się spodziewali, że umrze i że go pochowamy. I w samej rzeczy umarł, ale go pochowali gdzie indziej”.

Może i miał rację. Może nie ma tego, czego szukałem. Może kiedyś było, ale już nie ma. I w takim razie: „takie jedno, co go nie ma, to nie jest żadne zwierzę”. Ale przypomniałem sobie, że chociaż pleban nie leży w tym grobie, to leży gdzie indziej.

„A gdzie?” — zapytałem.

„W innej parafii”.

A jednak! Nie wszędzie, to jeszcze nie znaczy: nigdzie. Nie zawsze, to jeszcze nie znaczy: już nigdy. Z tego, że nie teraz i nie tutaj, jeszcze nie wynika, że nie kiedy indziej i nie w innym miejscu. Cierpliwości. Żądać, żeby coś działa się ciągle, to jakby żądać, żeby ksiądz proboszcz leżał i tu i tam i jeszcze w stu innych miejscach jednocześnie. Należało tylko mieć dosyć wytrwałości, żeby czekać, dość siły, żeby szukać.

„No to jego zdrowie” — powiedziałem z otuchą, wznosząc butelkę.

„Przecież nie żyje”.

„Ale żył, zanim umarł”.

„A tak, to co innego”. — I godząc się na mój toast, potwierdził moje rozeznanie świata, które można by streścić: „Wszystko na swoim miejscu, wszystko w swoim czasie”.

A czas był piękny i miejsce niebrzydkie. Po raz pierwszy kanapa, lektyka, tamte rozczarowania i tamte nadzieje wydały mi się mniej ważne. O cóż mi właściwie chodziło. Czy nie jest mi dobrze na tym kamieniu, kiedy słońeczko dogrzewa i gawędzę sobie z przyjacielem.

„Swoją drogą” — powiedziałem — „to świństwo z tym proboszczem. Nie należało do tego dopuścić”.

„Jakże...” — zaprzeczył grabarz — „... kiedy go przenieśli na inną parafię jeszcze za żywota”.

Słowo „przenieśli” coś mi przypomniało. I już nie tyle, żeby go wybadać (brzydziłem się teraz takim podstępym procederem wobec przyjaciela) i nie tyle, żeby się czegoś dowiedzieć (bo już mi na tym nie zależało, teraz, kiedy przestałem rozumieć, dlaczego właściwie chciałem odmienić los, skoro było mi tak dobrze) — ile dla spokoju sumienia, bo pamiętałem jeszcze, po co tutaj przyszedłem — a także, żeby między nami nie było już żadnych sekretów — zapytałem po męsku:

„Kto go przeniósł?”

„Biskup”.

Jasne! Że te ja o tym nie pomyślałem wcześniej. To biskup mnie niósł na kanapie, a może nawet kilku biskupów, w pontyfikalnych strojach, podpierając się pastorałami. Pochlebiałoby mi nawet to odkrycie, gdyby nie okoliczność, że teraz nie miało ono już żadnego znaczenia. Co mnie teraz obchodził biskup, kanapa, wszystko co przedtem wydawało mi się tak ważne. Za żadną cenę nie rozstałbym się z przyjacielem, rozłąka z nim byłaby nie do wytrzymania. Na samą myśl, że biskup mógłby mnie od niego oderwać, łzy nabiegły mi do oczu.

„Ja ciebie lubię” — powiedziałem.

Zrobiło mi się rzewnienie i smutno. Myślałem o rozstaniu, jakby to już biskup stał nade mną. Poczułem nienawiść do porywacza za moją krzywdę.

„Nie lubię biskupa!” — krzyknąłem.

„Mnie nie lubisz?” — zaperzył się grabarz, który mnie źle zrozumiał.

„Ciebie lubię, nie lubię biskupa!”

Potem kilkakrotnie on znikał mnie, a ja jemu. Szukaliśmy się cierpliwie i odnajdywali. Ja wpadłem do jakiegoś dołu, on zanucił pieśń. Ja go błagałem, żeby był człowiekiem, a kiedy nie chciał, obraziłem się. Pojedna-

liśmy się, stwierdzając, że każdy musi żyć. „Bo widzisz...” — wmawiał mi uporczywie — „... taki już jestem. Jak mam, to mam”. Zgadzałem się z nim w zupełności, zastrzegając tylko, że kto jak kto, ale ja wiem swoje. Wywołało to nową dyskusję. Tyle mieliśmy sobie do powiedzenia. Postanowiłem mu wszystko wytłumaczyć. On mnie także.

Skończyły się nam papierosy. Grabarz oświadczył, że skoczy po nową paczkę. „I coś jeszcze” — dodał. Było to już w tym okresie, kiedy znowu poczułem się samotny i nic nie mogło pogłębić mojej samotności, z grabarzem, czy bez. A nawet stał mi się obcy, równie obojętny co biskup na początku, zanim go, biskupa, znienawidziłem. Zresztą do biskupa już nie czułem nienawiści. Wszystko jedno, grabarz czy biskup, nikt mi nie mógł pomóc, raczej obaj byli współnikami tego — czego? — może życia? — które obchodziło się ze mną tak okrutnie. Czyhali na mnie, ale ja miałem swoją godność, ja im jeszcze pokażę.

I wróciło do mnie to, o czym mimo wszystko nie dane mi było zapomnieć.

Krażyłem wśród nagrobków, trawiając swój żal, aż trafiłem na kamiennego anioła, który klęczał na niewysokim cokole, złożonywszy ręce do modlitwy. Postanowiłem mu się zwierzyć.

„Bo widzisz...” — mówiłem — „... ja ich lekceważę. Ja ich teraz wszystkich lekceważę. Oni myślą, że ja nic nie wiem. Oni myślą, że ze mną tak można, raz tak, a raz tak. Ja do nich mówię: chwileczkę. A może mnie się coś nie podoba? A może ja dziękuję bardzo? A może ja nie chcę? Bo może do mnie trzeba powolutku, może ze mną trzeba ostrożnie. Bo może mnie boli”.

Nie zauważyłem tymczasem, kiedy nadeszła moja narzeczona i stanęła przy mnie. Zresztą nie zauważyłem także, kiedy minęło przedpołudnie, południe i popołudnie, jak to się stało, że słońce miało się już ku zachodowi.

„Spiełeś się” — powiedziała.

„Tak” — odpowiedziałem, nagle bardzo zmęczony.  
— „Ale nic z tego nie wynika”.



Więc nie dowiedziałem się niczego, jeżeli nie liczyć pijackiego olśnienia z biskupem. Na trzeźwo idiotyzm przypuszczenia, a nawet pewności, jaką miałem wtedy, że biskup mnie nosił, tylko dlatego, że jakiś zwierzchnik diecezji przeniósł jakiegoś proboszcza drogą administracyjną do innej parafii — ukazywał się w całej jaskrawości. Zniechęcony, porzuciłem ten ślad. A przecież tęsknota dręczyła mnie bardziej, niż kiedykolwiek. I gdybyż to była tylko tęsknota. To była potrzeba, tak kategoryczna, jak głód. Można było przypuszczać, że przyzwyczałem się już do mojego stanu nielotności, do tego życia na niby. Nic podobnego. Czasem przeklinałem szczęście, bo gdybym go nie zaznał, nie potrzebowałbym go dzisiaj tak bardzo. Ale przekleństwa nie pomagały. Świadczyły co najwyżej, że dręczyło mnie coś jeszcze potężniejszego od potrzeby — namiętność.

Istotnie — popadłem w rodzaj obsesji. Prawdopodobnie, gdybym na początku popełnił jakiś kompromis, zaczął się jakoś urządzać, licząc wprawdzie w dalszym ciągu na to, że wrócą i znowu mnie poniosą, ale też zabezpieczając się na wypadek gdyby nie wrócili tak prędko, gdybym grał na dwie strony — uchroniłbym się od takiej monomanii. Choćby dlatego, że częściowo przynajmniej byłbym zajęty czym innym. Ale ja od razu odmówiłem ugody, nie przystałem na żaden kompromis. (Jeżeli nie liczyć niezbędnych drobiazgów, jak wyżywienie, dach nad głową i obuwie). Nic więc nie odciągało mnie od mojej obsesji, której poświęciłem się całkowicie. Więcej, to jakieś niezbędne życie było mi właściwie zbędne, bo nie było tym, co sobie wyobrażałem. Traktowałem je jako zło tymczasowe i jeżeli miało dla mnie jakąkolwiek war-

tość, to tę tylko, że lada chwila mogło się przemienić w co innego. Ale to życie, niby tymczasowe, trwało i okazywało się, jak dotąd, jedyną rzeczywistością.

Rok szkolny miał się ku końcowi. Już wnet ona nie będzie zajęta w szkole i ja stracę wolne przedpołudnie. I tak niedość mi było czasu na rozmyślenia. Miałem nadzieję, że ona wyjedzie na wakacje, do swoich rodziców. Ale co wtedy stanie się ze mną? Kto mnie będzie utrzymywał?

Dopuszczać do siebie obawę o moją przyszłość — znaczyło przyznawać, że tutaj zostanę, czemu przecież zaprzeczałem i zaprzeczanie czemu było moim głównym zajęciem. Uwięziony w obrębie parku, podobny do narkomana, któremu odebrano narkotyki — ale ani nie odmawiając mu na zawsze, ani też niczego nie obiecując, co pozwalało na wszelkie rozpacz i wszelkie nadzieje — stałem się drażliwy i przykry dla otoczenia, to znaczy dla niej, bo poza nią nikogo koło mnie nie było. Nie skarżyła się, co jeszcze powiększało moją złość, bo widząc, że mimo wszystko dba o mnie w dalszym ciągu i nie robi mi żadnych wyrzutów, upewniłem się w podejrzeniu, że się jej to opłaca. Mianowicie podejrzewałem, jakoby mi pomagała tylko dlatego, żeby mnie od siebie uzależnić. Więc korzystałem z jej usług, ale dając jej do zrozumienia, jak wielkim są dla mnie ciężarem. Chciałem w ten sposób podkreślić moją niezależność.

Najprościej byłoby porozmawiać o przyszłości. Ale ja nie życzyłem sobie takich rozmów. Skądinąd milczenie na ten temat wyprowadzało mnie z równowagi. „Godzi się na milczenie” — myślałem. — „A więc uważa, że nie ma o czym mówić”. Oczywiście nigdy jej nie wyznałem, dlaczego znalazłem się w tej okolicy. Tym bardziej jej nie mówiłem, czego oczekuję lada chwila. Miała więc prawo zachowywać się tak, jakby całe życie było przed nami. Postępowała zgodnie z nieświadomością, w jakiej ją świadomie pozostawiłem. Ja jednak przyjmowałem jej zachowanie jako wyraz niewiary w to, w co ja wierzy-

łem, czyli w to, że lada chwila odejdę. Taki sceptycyzm był niewybaczalny.

Pewnego razu, kiedy leżałem na kanapie (coraz częściej lgnąłem do kanapy. Była jedynym materialnym znakiem, jaki mi pozostał. Pomostem do innego wymiaru, niestety pomostem, na którym mogłem tylko leżeć), przyszedł posłaniec od księdza proboszcza — następcy po tym, którego odwołano do innej parafii — i przyniósł list, a w liście zaproszenie na podwieczorek. „Choć się nie znamy...” — pisał ksiądz proboszcz — „... mam nadzieję, że pan nie pogardzi skromnym podwieczorkiem, spożytym w towarzystwie osoby duchownej”. Dawał mi tym samym do zrozumienia, że spotkanie będzie miało charakter prywatny, poza światopoglądami, że pojmuje moje zastrzeżenia, jeżeli jestem ateistą. Jednocześnie szantażował mnie nieco, bo jeśli odrzucę zaproszenie, będzie to znaczyło, że nie wznoszę się ponad ideologie jak on.

Zresztą tak czy inaczej nie wypadało odmówić. Ksiądz na wsi jest zbyt ważną postacią, i jeżeli ściągnąłem już na siebie jego uwagę, należało dbać, żeby nie stała się uwagą niezycliwą. Lepiej pójść, jak składa się wizytę oficjalnym osobistościom, żeby utrzymać się w owej poprawności wobec środowiska, której potrzebowałem dla zachowania świętego spokoju.

Kazałem chłopcu powiedzieć, że przyjdę i ogoliłem się, bo mimo, że ksiądz nie jest kobietą, coś jednak obcego naszej płci każe nam w stosunku do księdza być starym i czujnym.

Plebania łączyła uroki wiejskie z pewnym miastowym wykwintem. Przez okno zaglądały bzy, na podłodze lśniło linoleum i sprawiało miłe wrażenie świeżości i chłodu. Kryształowy półmisek pełen czereśni, etażerka z książkami, w większości oprawionymi na czarno (treści teologicznej chyba), fotel wyplatany na biegunach, stoliki i krzesła politurowane. Na ścianach krucyfiks i klasycy malarstwa religijnego, ale też reprodukcje całkiem świeckie, co prawda tematycznie powściągliwe: widok



górskiego jeziora we mgle, kozica na skale, studium typów ludowych.

Ksiądz był człowiekiem jeszcze młodym, twarzy pełnej, tylko oczy miał osobliwe. Oprawione w bardzo ciemne rzęsy, wydawały się czarne, tymczasem, kiedy im się lepiej przyjrzeć, były niebieskie.

— A, nasz Robinson! — przywitał mnie kordialnie. — Witamy, witamy na naszej wyspie.

Prosił siadać, podsunął papierosy w drewnianym kubku, papierosy cienkie, z ustnikami, jasnym tytoniem. Sam też zapalił, ale delikatnie, bez zaciągania. Mówiliśmy o mikroklimacie tutejszym, on nawiązał do specyfiki miejscowej także jeśli chodzi o strukturę gospodarstw, historycznie uzasadnioną, o folklorze regionu, charakterze i obyczajach ludności. Tematy, które mnie nic nie obchodzą. Dzięki temu konwersacja toczyła się swobodnie, aż weszła baba i oznajmiła, że podwieczorek przygotowany.

Przenieśliśmy się na ganek. Tu otwarte widoki pozwalały mi spoglądać w dal bez uchybienia grzeczności i unikać tego-jego spojrzenia. Czekał nas stolik zastawiony porcelaną, świeżym pieczywem, masłem, serami, konfiturą. Jakże dawno nie jadłem na porcelanie, karmiony wciąż z glinianych dwojaków. Także z innego powodu ucieszył mnie ten stolik. Wspólne jedzenie, jako intymna przyjemność i wstydliva potrzeba razem zaspakajane stwarza między biesiadnikami rodzaj zależności, kompromituje wszystkich jednakowo i sprawia, że człowieka, z którym się jadło, mniej się należy obawiać.

Słońce już zaszło za pagórek cementarny, za to wieża stała w pełnym blasku, bo oświetlona z boku, nie z góry, jak w południe. Przypomniałem sobie, że odkąd tu przybyłem, nie spadła ani kropla deszczu. Podzieliłem się tą uwagą z księdzem.

— Przed świętym Bonifacym nigdy nie pada. Dopiero po procesji można się spodziewać odmiany. Tutejszy fenomen — dodał zaznaczając, że wcale nie upiera się przy mistycznej interpretacji zjawiska, dopuszczając rów-

niez przyczynę świecką — meteorologię. Chcąc mu się odwdziżyć równą kurtuazją, zapytałem o świętego Bonifacego.

To patron tutejszej parafii. Co roku odbywa się wielka uroczystość, połączona z procesją.

Cmentarz na wzgórzu był prawie stąd niewidoczny jako cmentarz, natomiast doskonale widoczny jako zagajnik, wzgórze wełnistej zieleni. Od kościoła prowadziła ku niemu więcej niż ścieżka i mniej niż droga, bo wydeptana przez pogrzebowe orszaki, zbyt liczne, żeby ją wydeptały tylko w wąską ścieżynę, ale zbyt rzadko ją uczęszczające, żeby stała się gościńcem. Dla kogoś kto by nie wiedział, co się mieści na wzgórzu, ta niedrożność i nie bezdroże była jedyną poszlaką, że mieści się na nim coś szczególnego.

Kiedyśmy już podjedli, ksiądz znowu zapalił cienkiego papieroska i zapytał, patrząc czarnymi (niebieskimi) oczami na wzgórze, a może jeszcze dalej.

— No i jakże się panu u nas żyje?

Dmuchałem i ja dymem starannie, ale słaba to była zasłona. Powiedziałem, że nieźle. Gdybym mu powiedział prawdę, zaraz by zapytał, po co w takim razie tutaj żyję.

— Bardzo się cieszę. A długo pan jeszcze zabawi?

Odpowiedziałem, że będzie to zależało od pewnych moich spraw.

— Rodzinnych?

— Nie. Raczej osobistych.

Zorientowałem się po niewczasie, że odpowiedziałem głupio. Zdradziłem się, że nie uważam spraw rodzinnych za osobiste, czyli najważniejsze.

— Miło mi będzie widywać pana. Bo to i nie wyklucza, że zostanie pan z nami długo, dosyć długo. Ale, ale, czy ja nie jestem egoistą, kiedy tak się cieszę możliwością obcowania z panem? Widzi pan. Wszyscy mamy skłonność do egoizmu. Taka już natura ludzka. Jednakże... — dorzucił po chwili namysłu — ... Przecież ja nie zamie-

rzam zatrzymywać pana wyłącznie dla siebie. To mnie rozgrzesza. Prawda?

Powiedziałem, że i ja cieszę się z naszej znajomości, ale nie sądzę, żebym był aż tak atrakcyjnym partnerem.

— Co też pan mówi! Człowiek pańskiego pokroju, na takim poziomie, kulturalny... Skromność się chwali, ale trzeba znać swoją wartość.

Podziękowałem za komplement, zbyt pochlebny moim zdaniem. „Książd mnie doprawdy przecenia”.

— Czyżby? — tu spojrział na mnie niebiesko, znie-nacka. — A zresztą pan ma rację. Pan wie najlepiej.

To była impertynencja. Już zamierzałem mu odrzec coś równie ciętego, kiedy on przeniósł spojrzenie gdzie indziej, tym razem czarne, i świadczył poprzednim tonem, poważnie, a nawet uroczyście:

— Na pewno jest pan bardzo przyzwoitym człowiekiem.

I dodał:

— Wobec tego napijmy się jeszcze herbaty.

Wolałbym już zakończyć wizytę. Herbata była dobra, podwieczorek doskonały, kiedyż to po raz ostatni siedziałem w takim dobrobycie prawie wytwornym. Ale rozmowa przybierała dla mnie obrót zbyt osobisty. To jego przelotna impertynencja sprawiła, że nie ruszałem się z miejsca. Uraziła mnie, to prawda. Ale też zaniepokoiła, rozbudziła moją ciekawość. Jakbym teraz nie tylko z kaznodzieją tutaj siedział. Z kim innym jeszcze, kto księdzem był, na chwilę stanął obok roli księdza i obraził mnie na własny rachunek. Ciekawy byłem, kto taki.

— Chętnie — powiedziałem. — Chętnie się jeszcze napiję.

Baba parzyła świeżą herbatę. Cień od cmentarza wydłużał się znacznie, bo zagarnął już i kraniec plebańskiego ogrodu. Tylko wieża świeciła coraz jaśniej.

— A może pan wpadnie jutro na procesję? Bardzo ciekawe również dla interesujących się folklorem.

Odpowiedziałem, że na ogół jestem ignorantem. Je-

dyną dziedziną, w której osiągnąłem pewną wiedzę, było zbieranie znaczków pocztowych. Zajmowałem się tym w dzieciństwie, ale od dawna przestałem. Kłamałem zresztą, bo nigdy nie interesowałem się nawet znaczkami. Ale będąc próżnym, nie chciałem uchodzić za zupełnego ignorantą.

— Poruszył pan bardzo ciekawe zagadnienie. W dzieciństwie wydaje się nam, że jesteśmy sami na świecie. Mamy swoje pasje, swoje wyłączne zainteresowania, w których się zamykamy. Dopiero później odkrywamy istnienie innych.

U osób niedojrzałych — ciągnął, patrząc znów na mnie, czarno — ... to zaślepienie może się przeciągnąć nawet w lata późniejsze. Nie chcą uznać faktu, że żyją w społeczeństwie. Odsuwają od siebie pytanie: jak ułożyć stosunki z innymi ludźmi. To zresztą pytanie zasadnicze: czy osoba dorosła może zajmować się tylko sobą? W praktyce jest to przecież niemożliwe. Zajmujemy się bliźnimi swoimi chcemy, czy nie chcemy. Po prostu dlatego, że wchodzimy z ludźmi w pewne związki. Ale na jakiej podstawie? Czy świadomie, według jakiejś etyki, czy też od niechcenia właśnie, niejako anarchicznie. Jeżeli zgodzimy się, że anarchia nikomu nie przynosi pożytku...

— Anarchia nie jest tak prymitywną postawą, jakby się wydawało — wtrąciłem. Nie zależało mi na anarchii, ale instynktownie wyczułem, że trzeba mu się przeciwstawić, dla samoobrony.

— Czy jest pan anarchistą?

— Nie.

Nie chciałem być niczym, nawet anarchistą.

— A więc? O co panu chodzi.

Milczałem.

— Wobec tego niech pan weźmie cukier.

... Nawet na bezludnej wyspie Robinson znalazł swojego Piętaszka — mówił dalej, mieszając herbatę. —

A cóż dopiero w społeczeństwie. Bo nie jesteśmy nawet bezludną wyspą, nieprawdaż?

Pokiwałem głową. Cóż mogłem mu powiedzieć.

... I pan o tym najlepiej wie. *A propos*, co pan sądzi o naszej nauczycielce?

A więc o to mu chodziło. Poczułem ulgę, wiedząc nareszcie, co mi grozi.

— Niewątpliwie bardzo wartościowa jednostka.

— O, tak! Dawno już nie mieliśmy tak dzielnej kierowniczkę szkoły. Osoba o niezwykłym poczuciu obowiązku. Zjawisko niestety rzadkie w dzisiejszych czasach, kiedy przyjemność stawia się na pierwszym miejscu. Zwłaszcza, że chodzi o osobę młodą, bez doświadczenia... Co pan o tym sądzi?

Zauważyłem, że ludzie zawsze lubili przyjemności. Westchnął.

— Niestety, ma pan rację. Tym bardziej my, wykształceni, świadomi, powinniśmy sobie zdawać sprawę z odpowiedzialności, jaka na nas ciąży. Ale czy ciąży? To niewłaściwe słowo. Odpowiedzialność wyróżnia nas od zwierząt i raczej zamiast odczuwać ją jako ciężar powinniśmy widzieć w niej zaszczyt, szansę. Acha, co pan sądzi o małżeństwie?

Miałem tego dosyć. Co sądzę, co sądzę, co sądzę... Każdy ma prawo zadawać mi pytania, a ja nie wiadomo dlaczego muszę odpowiadać. Pomyliłem się, to był tylko ksiądz. Lepiej bym zrobił, gdybym wtedy wstał i odszedł. Mogłem to zrobić i teraz, natychmiast, zbyt wzburzony, żeby zważać na konsekwencje. Ale było mi też zbyt wszystko jedno, żeby odchodzić. Teraz moja kolej. Nie zastanawiając się więcej, bez najmniejszej przerwy między jego pytaniem, a tym, co miało być moją odpowiedzią, a nie było, aż nastąpiło jego pytaniu na piąty, krzyknąłem:

— A czy księdza kiedy nieśli?

— Rozumiem — i nagle zaczął się śmiać, po raz pierwszy od naszego spotkania i po raz pierwszy też zobaczyłem jego zęby, urodziwe i białe.

A więc przyjął to jako odpowiedź? Właściwie miał rację. Jego przytomność rozżłościła mnie, jako wyższość nad moim uniesieniem. Więc brnąłem dalej.

— Nie ma się z czego śmiać! Gdyby księdza choć raz... — i utknąłem, bo nie wiedziałem, gdyby księdza choć raz co. To znaczy, wiedziałem, ale „nieśli” — to jeszcze nie było wszystko.

— Przepraszam — powiedział. — Ja się nie śmieję. — I rzeczywiście, nie śmiał się już tak zupełnie, aż nie wiedziałem, wydawało mi się tylko?

— Ciekawe, dlaczego jeszcze nie dzwonią. Już pora — spojrzał na zegarek ręczny. — Gdzież on się podziewa. Ach, nareszcie.

Od cmentarza ukazała się mała figurka z wiązku chrus-tu na plecach. Grabarz pośpieszał w stronę kościoła, żeby zadzwonić na podwieczerek. Może wiedział, że ksiądz na niego patrzy, bo śpieszył się ostentacyjnie, potykał na niedodrożu w dół zbocza, przynaglany nieczystym sumieniem, okiem przełożonego i ciężarem chruścianego tobołka. Siedział dotąd na wzgórzu jak insekt w trawie, teraz dopiero wywabiony. Nie przyszło mi do głowy, kiedy przedtem patrzyłem na wzgórzu, że przez cały czas tam był.

— Nie śmiem już proponować herbaty — zwrócił się do mnie ksiądz. — Ale może napijemy się nalewki.

Nie chciałem nalewki. Chciałem prawdy. Chodziłem po ganku tam i z powrotem, nie zamierzając nawet ukryć podniecenia. Sprawa długo tajona przed światem, przeżywana w samotności, domagała się ujawnienia, przemocą cisnęła się w słowa. Wypowiadałem je gorączkowo, w pośpiechu, bojąc się zarówno tego, co powiem, jak i że zamilknę.

— Ksiądz mi tu prawi o bliźnich, odpowiedzialności, obowiązkach... Ale kto ma ponosić tę odpowiedzialność, wykonywać te obowiązki, kochać swoich bliźnich? — Ja! Dlaczego więc nie zaczniemy od początku, ode mnie! O mnie mówmy, a potem możemy pomówić o reszcie!

Egoizm? Niech będzie, niech to ksiądz nazywa tak, czy inaczej, ale ja jestem, proszę księdza, ja jestem i ksiądz na to nic nie poradzi, ani ja nie poradzę, ani nikt! To znaczy... — tu się zawahałem. — Ja prawie jestem.

Uwadze księdza nie uszło to wahanie.

— Więc jest pan, czy pana nie ma? — zapytał.

— To znaczy już-już jestem. Już prawie jakbym był.

— Sam pan nie wie, a mówi pan tak, jakby pan wiedział na pewno.

— A wie ksiądz dlaczego? Bo już raz byłem. A jeżeli raz byłem, to mogę być jeszcze raz, jeszcze i jeszcze, ciągle! I o to przede wszystkim chodzi, nie o te księdza...

— Ależ spokojnie, spokojnie... — przerwał mi ksiądz. — Zgadzą się przecież doskonale i nie ma powodu, żeby się tak unosić. Jeżeli dobrze rozumiem, chodzi panu o zbawienie. Prawda?

— Można i tak nazwać...

— No proszę. W sprawie zasadniczej nie ma żadnej rozbieżności. Pan chce być zbawionym, a ja byłbym ostatnim, żeby pana od tego odwozić. Cóż jest bardziej człowieczego, różniącego nas od zwierząt... — (Musiał tak powiedzieć. Jakby nie można pochwalić człowieka inaczej, jak tylko kosztem biednej świni, czy psa) — ... niż ten wzlot, poryw, tęsknota za życiem wiecznym...

— Za jakim życiem wiecznym! — krzyknąłem. — To, co mnie spotkało...

— Proszę mi nie przerywać!... Za wieczną nagrodą. Stworzono nas dla zbawienia i dano nam sposoby, żeby do niego dojść. Trzeba tylko iść odpowiednią drogą i w odpowiednim kierunku. A tak postępując, wypełniając obowiązki, przestrzegając prawa, na pewno tam dojdziemy. I tu wyłania się owa nieznaczna różnica zdań między nami.

Odchrząknął.

— ... Bo zastanówmy się. Mamy tę samą rzecz na oku, jeżeli się różnimy, to przecież w tym jedynie, że widzimy ją z różnych perspektyw. Pan zaczyna od tego, co jest

celem, a co mylnie nazywa pan początkiem. Od życia trzeba do zbawienia, a nie od zbawienia do życia. Życie, drogi panie, nie jest zbawieniem, a środkiem do zbawienia tylko. A pan chciałby od razu w sedno. Już, natychmiast. Ależ gorączka z pana — dorzucił pobłaźliwie, co mnie wzburzyło do reszty. Bo kiedy ja cały ciskałem się naprzód, on zdawał się ciągle mnie trzymać w odległości i uśmiechał się, jakby myślał przy tym: „Ja cię widzę”.

— A więc ziarnko do ziarnka, a będzie miarka! Cierpliwością i pracą, przez łyżę do szczęścia! Nie, proszę księdza, ja już znam te przykazania i dosyć mam tej mądrości. Wie ksiądz co o niej sądzę? Że to są wybiegi, żeby usprawiedliwić lenistwo i tchórzostwo, niedołęstwo i nieudolność. Niech to ksiądz mówi swoim parafianom, owieczkom beczącym, które nigdy nie zostaną zbawione, bo ich na to nie stać. Lepiej to ukrywać przed nimi, niech one się łudzą, że zostaną orłami w przyszłości. Nie, jeszcze później, po śmierci dopiero — kiedy są tylko baranami i nigdy niczym innym nie będą. To im zapewnia dobre samopoczucie i pozwala znosić to ich beznadziejne baranństwo. Ale nie mnie, proszę księdza, nie mnie!

— Cut-cut... — cmoknął ksiądz dziwacznie, kiwając głową z ramienia na ramię. — Więc to aż tak?

— A tak. Zamiast tracić czas, pomówmy lepiej otwarcie.

— Dobrze. Pan chce żywcem do nieba.

— A dlaczegoż by nie? Czy mi nie wolno? Przecież już raz tam byłem! Już raz mi się udało. Czy nie mówiłem księdzu...

— Tśśś... — psyknął ksiądz, kładąc palce na usta i rozglądając się niespokojnie.

— Tak, byłem. I będę to ciągle powtarzał. Zasluga! Dążenie! Nagroda! A czy ja czymkolwiek zasłużyłem sobie na to? Wcale nie, nawet palcem nie ruszyłem... A jednak to się już raz stało. Czy dlatego, że coś zrobiłem, czy czegoś nie zrobiłem? Czy mimo to? Czy wbrew? Wszystko co wiem, to że nic nie zrobiłem, że się stało



i potem przestało. Dlaczego? Też nie wiem. Ale zasługa tu nie ma nic do rzeczy, to jedno wiem na pewno.

Już w czasie mojej przemowy dawał mi znaki, ale nic nie mogło mnie powstrzymać. Kiedy wreszcie doszedł do głosu:

— Wolno o wszystkim porozmawiać, ale rozsądnie, w atmosferze spokoju. Namawiam do rozwagi. Proszę, niechże pan się uspokoi.

Nie tyle jego słowa, ile moje wyczerpanie skłoniło mnie, żebym nareszcie zamilkł, przestał krążyć po ganku i usiadł na swoim miejscu. Ksiądz odmienił się wyraźnie. Nie był już pobłażliwy, ani pouczający, ani nawet tak pewny siebie, jak przedtem. Coś trapiło go najwidoczniej. Bawił się łyżeczką, nad czymś się zastanawiając.

Rozległo się dzwonienie na podwieczarz. Zmiana, jaka zaszła w księdzu, jak i głos dzwonu usposobiły mnie bardziej pokojowo. Niegdyś na Anioł Pański zawieszano spory i przerywano bitwy. Milczeliśmy więc, on sobie i ja sobie. Po gwałtownej przemowie miałem w głowie pustkę. Wreszcie i dzwon zamilkł, uderzywszy jeszcze trzy, dwu i jednokrotnie.

— To, o czym pan wspominał, należy do bardzo drażliwych tematów — zaczął ksiądz, gdy ucichło ostatnie, najsłabsze echo. Porzucił łyżeczkę, splatał i zaplatał ręce. — Słyszał pan zapewne, istnieją pewne świadectwa, powiedzmy nawet, dokumenty, stwierdzające, że to się zdarzało...

— A więc ksiądz nie zaprzecza, że to jest możliwe!

— Chwileczkę. Zdarzało się osobom znajdującym się w niezmiernie specyficznej... odgrywającym niezmiernie specyficzną... No, wyjątkowym. Niezmiernie nielicznym zresztą. To znaczy, nielicznym. Właściwie jedynym.

Mówienie sprawiało mu trudność i widząc to, całkiem przestałem się złościć. Nie czułem już do siebie żalu za nieopanowaną szczerłość. Rozmowa podobniejsza była teraz do wymiany zwierzeń, niż do przesłuchania. Nie

przez to, co mówił, ale przez to przynajmniej, że mówił z trudem.

... Więc jeśli powiada pan, że i panu to się zdarzyło, zdarzyć może, zdarzyć powinno, to należy do tego podchodzić z najwyższą oględnością, aby gwałtowność i nieprze-myślane posunięcia nie prowadziły do nieobliczalnych skutków. Aby nie... Aby się nie narazić na pewne zestawienia, porównania, które z kolei mogłyby pociągnąć za sobą pewne następstwa, pewne konsekwencje — dla nas wszystkich zresztą — natury prawnej, chciałbym uniknąć określenia: „teologicznej”. Prawnej, a więc przez implikację: karnej...

— To znaczy, że ja nie mam prawa?

Ujął znowu łyżeczkę i wplótł ją między palce, aż pobielaty, tak mocno je zacisnął na metalu. Patrzył w stół.

— Czemu pan się nie poświęci jakiejś działalności, jak tyłu innych młodych ludzi. Karierze na przykład — powiedział cicho. — Tyle jest pięknych, a pożytecznych zajęć...

— A tamto?

— Pomińmy na razie. Mógłby pan jakoś zużyć swoje młode siły z pożytkiem dla siebie i dla innych. Byłoby lepiej dla każdego i dla pana...

— Nie, proszę księdza, mnie to nie interesuje — stwierdziłem stanowczo. — Ksiądz radzi mi karierę? Wyobraźmy sobie, że staję się działaczem w tej gminie, potem w powiecie, w województwie. Potem w całym kraju, dlaczegóż by nie? Można zacząć skromnie i dojść do wielkich rzeczy. Zakładam jakieś stronnictwo, staję się przywódcą, przechodzę do legendy, jestem sławny i ukochany nawet — a raczej przede wszystkim — przez te osoby, które mnie nigdy na oczy nie widziały. A jest ich teraz miliony. Sporządzają moje podobizny i obnoszą je podczas uroczystych pochodów. I co? Czy mam uwierzyć, że to mnie niosą? Niosą tylko kawałki kartonu pokryte czernidłem. Nic mi z tego nie przyjdzie i dlatego

wolę nawet nie zaczynać. Dziwię się nawet księdzu, że mnie do tego namawia.

— Tylko dla pańskiego dobra.

— Jakież w tym moje dobro, kiedy to nie jest żadne zbawienie. I tak samo moja dusza, która według księdza oddzieli się ode mnie po śmierci, pójdzie do nieba, jest jak ów portret niesiony przez moich wielbicieli, poza mną, z daleka ode mnie. Ona tam, a ja tu. Chyba ksiądz rozumie, że ja interesuję się sobą niepodzielnie, w całości.

— Lecz właśnie pańska dusza...

— Ja chcę zbawienia.

— A pan znowu swoje. Co znowu? — zapytał baby, która wystawiła głowę zza drzwi z korytarza. — Zaraz idę! — podniósł się z krzesła. — Pan wybaczy, zdaje się, że mnie potrzebują. Na chwilę zostawię pana samego.

Byłem już bardzo zmęczony. Wszystko teraz przedstawiało mi się we fragmentach. Stolik, schludny na początku, jak plac defilad, przedstawiał obraz dekompozycji, jak wojsko po bitwie. Okruszki, plamy na serwecie, niedojedzone resztki, talerze i filiżanki rozstawione chaotycznie, nie w funkcji porządku, ale rozbieżnych działań, nic już nie dało się z nich ułożyć, można je było najwyżej uprzętnąć. Papieros, którego zapaliłem, miał smak popiołu i paliłem go na przekór jego popiołowatości, upierając się, że powinien mi sprawić przyjemność i ulgę. Zmierzch już zapadał, żadna strona świata nie była jaśniejsza od drugiej, ogród plebański, wzgórze, wieża, wszystko powleczone tym samym cieniem, wycieńczone ze światła, jak po zadanej ranie. Nieboskłon oddzielił się od ziemi, nie miał już z nią nic wspólnego, odkrojony horyzontem, garbatym gdzie przedtem było wzgórze, wyciętym w ząbki, gdzie przedtem były drzewa, równym jak linijka, gdzie przedtem było pole. Nieboskłon miał jeszcze światło, ale tylko na swoje potrzeby, oświetlające samo siebie. Ziemia nie miała już żadnych zasobów.

Ksiądz wrócił zafrasowany. Podniosłem się z krzesła, ale on już nie siadał.

— Obawiam się, że będziemy musieli przerwać naszą rozmowę. Przyszli do mnie parafianie w sprawie jutrzejszej procesji. — Westchnął. — Uważają za wielki zaszczyt nieść figurę świętego, pobożność godna pochwały, ale wynikają z tego kłopoty. Figurę może nieść sześciu, ośmiu ludzi najwyżej, a chętni są wszyscy. W tych warunkach nikt nie chce odstąpić miejsca drugiemu. Nie ma się zresztą czemu dziwić, każdy chce błogosławieństwa.

— Czy nie można by skonstruować więcej takich figur?

— Skądże! Figura jest tylko jedna, lud nawet wierzy, że obdarzona mocą czynienia cudów. Choć oficjalnie wstrzymujemy się od uznania tej tezy, z uwagi na niepełność dokumentacji.

— Można by więc zdementować. Na pewno to by osłabiło frekwencję.

— Zaprzeczanie byłoby zbyt pochopne. Odpowiedni przewód w tej sprawie jest w toku, mimo to nie należy się spodziewać rychłej konkluzji.

— Jednakowoż... — zastanowiłem się — ... W innych miejscowościach, w innych kościołach, na pewno znajdują się podobne wizerunki świętego Bonifacego. To tylko kwestia takiego, czy innego zagęszczenia. Czy nie można by więc przyjąć, że w jednym miejscu, w jednym kościele znajdzie się kilka identycznych figur? W niczym to by nie sprzeciwiało się zasadzie.

— Sądzi pan?... To dyskusja na dalszą metę. W tej chwili musimy liczyć się z faktami. Na przykład dzisiaj. Przyszli do mnie, żebym rozstrzygnął ich spór. Co roku to samo. — Westchnął znowu.

— No to ja już pójdę.

— A może pan zaczeka? Dam panu coś do czytania...

— Nie, pójdę już.

Spojrzał na mnie bystro.

— Dokąd się panu tak śpieszy?

— Mam jeszcze coś do załatwienia.

— Ha, w takim razie... Ale nie ma mi pan za złe? Pan rozumie, obowiązki proboszcza.

Odprowadził mnie aż do furtki.

Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce — powiedział, ściskając mi rękę na pożegnanie. — A co do tego, niech pan jeszcze pomyśli.

Obiecałem, że przemyślę na pewno.

— I proszę, niech pan na siebie uważa.

To ostatnie zdanie powiedział jakoś inaczej. Ale w mroku nie widziałem już, które miał oczy: niebieskie, czy czarne.



W kościele było ciemno, tylko lampka oliwna w czerwonym kloszu paliła się przed głównym ołtarzem. Ale to, czego szukałem, powinno się znajdować właśnie w pobliżu głównego ołtarza, na poczesnym miejscu. Zdjąłem buty, żeby nie stukać po posadzce i w skarpetkach, jak na początku tej historii, przemknąłem się przez nawę. Buty ukryłem w kruchcie, za kropielnicą.

Po lewej stronie, patrząc w kierunku ołtarza, między amboną a ołtarzem, we wnęce, znajdował się postument obstawiony kwiatami w doniczkach. Również na postumencie, u stóp świętego, leżała wiązanka świeżych kwiatów. Odsunąłem doniczki i wspiałem się na palce. Wsunąłem rękę między kwiaty, pod skraj szaty biskupiej i dotknąłem stopy świętego. Drapiąc paznokciem przekonałem się, że były z drzewa.

Płomyk lampki niedostatecznie oświetlał figurę. Wyjąłem świecę z najbliższego lichtarza, zapaliłem od lampki i wznosząc ją wysoko przyjrzałem się świętemu. Na szczęście był wielkości naturalnej, choć infuła dodawała mu wzrostu. Bezwłosy, jak zawsze eklezjaści, co również było okolicznością sprzyjającą. (Nie noszę zarostu). Twarz składała się z elementów uproszczonych, ciosanych z grubszą. Pionowy nos, poziome usta. Dzięki tej schematyczności można je było łatwo zamienić. Jedynie oczy miał

charakterystyczne: intarsja z białej emalii, z okrągłymi, kółczkowatymi źrenicami, prawdopodobnie wykonanymi farbą. Nie mogłem rozeznaczyć z tej odległości.

Reszta postaci obleczona w fałdzisty, bogaty strój nie różniła się od żywego biskupa. Widocznie sprawiano mu co jakiś czas nowe szaty, bo choć sama rzeźba była wiekowa, ubiór znalazłem w doskonałym stanie.

W lewej ręce trzymał pastorał, dłoń prawą wznosił na wysokość ramienia, dwoma wyciągniętymi palcami błogosławiąc, czy grożąc. Ale w całości nie była to trudna figura.

Przysunąłem krzesło, stanąłem na krześle i przyjrzałem mu się bliżej. Drzewo szcerniało, ale mogło też przypominać opaleniznę, a ja po ostatnim okresie życia wiejskiego byłem dość opalony. Nieznacznym makijażem dokonałby reszty. Największy kłopot miałbym z oczami. Tak, te kółeczka były niebieskie. (Gdzież ja ostatnio widziałem takie oczy). Niedarmo był dziełem ludowych artystów, w kraju, gdzie nawet święta rodzina, ba, nawet kapłani z Jeruzalem mają chabrowe oczy na pobożnych obrazach. Ja wprawdzie nie mam oczu czarnych, ale też nie ufam zbyt ich błękitowi.

Któż jednak będzie zwracał uwagę na taki drobiazg w blasku, trzasku, tłoku i zamęcie procesji.

Ogłędziny wypadły pomyślnie i należało przejść do działania.

Osadziłem świecę na powrót w lichtarzu i z krzesła przedostałem się na postument. Omal nie spadłem, kiedy straciwszy równowagę przytrzymałem się świętego, chwyciwszy go w pól. Nie pomyślałem o tym, że nie był on przytwierdzony do postumentu, zdejmowano go przecież rokrocznie. Zachwialiśmy się obaj, puściłem go, żeby przytrzymać się ściany. Miejsca na postumencie było mało i musiałem uważać, żeby nie postawić stopy w próżnię.

Najpierw zdjęłem mu infułę. Od razu wyglądał inaczej, o wiele biedniej, aż zrobiło mi się go żal. Ale nie było czasu na czułości. Nie wiedziałem o której godzinie

pojawią się wierni i wolałem być gotowy przed świtem.

Zamierzałem go potem, ogołoczonego, schować za ołtarzem wraz z moją własną odzieżą, aby bez hałasu i nikomu nie czyniwszy szkody przebrać się znowu następnej nocy, kiedy już będzie po wszystkim. Zwrócić mu szaty i postawić go z powrotem na swoim miejscu. Wierni przecież nie domyślą się niczego, a sam święty na pewno mi daruje tę jedyną procesję. Tyle ich już miał i jeszcze będzie ich miał tyle.

Z infułą poszło bez trudu, ale ornat nie dawał się ściągnąć tak łatwo. Należało go zdjąć przez głowę. Rzuciłem infułę na posadzkę, żeby mieć obie ręce wolne, ale i teraz nie mogłem sobie poradzić. Za mało miałem miejsca i bałem się, że spadnę. Postanowiłem zdjąć go ze wszystkim i rozebrać go dopiero na dole, co było najprostszym rozwiązaniem. Zawsze dochodzi się do najprostszych rozwiązań nie na początku, ale w miarę trudności.

Chwyciłem go mocno w pasie i uniosłem. Ciężki był, ale do zniesienia. Powoli, przytrzymując go pod ramiona, a później za głowę, miałem zamiar opuścić go na posadzkę.

— Nie! — rozległ się głos za moimi plecami. — Niech pan tego nie robi!

Ścisnęły mi się wnętrzności, a serce rozszerzyło. Boleśnie ugniotło piersi. Z twarzą w szacie świętego mogłem uciec tylko w głąb jego drewnianego korpusu i wolałbym być najmniejszym kornikiem, niż sobą. Gdybyż on mógł przeniknąć we mnie, albo ja w niego! Ale on martwym dębem, ja żywym ciałem, stopienie się w jedno nie było możliwe. A jednak tylko dla jednego z nas było tu miejsce, niestety, nie dla mnie. Byłem jak małpa uczepiona idei, zelżywie. Jak jemioła na dębie, pasożytniczo. Do odrąbania mieczem, żeby spadła do stóp kolumny, na rozkład i humus. Jeszcze nic mi nie odrąbano. Trwaliśmy tak, jak podwójne grono.

— Nie trzeba — powtórzył głos, odbijający się echem po sklepieniach. — Nie trzeba.

Oderwałem twarz od świętego. Do niego nie było ucieczki. W kręgu światła nie zobaczyłem nikogo. Wolałbym już, żeby to był głos nadprzyrodzony. Znałem wypadki, kiedy oburzony lud linczował śmiałków za znacznie mniejsze przestępstwa.

W głębi nawy rozległy się kroki. Przyszło mi do głowy, że jestem niezgrabnie wypięty, co przecież nie powinno mieć znaczenia w takiej sytuacji. Widocznie miłość własna nie jest słabsza od strachu.

— Dzięki Bogu, przyszedłem w porę — powiedział ksiądz występując z ciemności. — A jednak...

Przerwał, zatrzymując się pod kolumną i zadzierając głowę. — Jak pan tam wszedł? — Zdziwił się.

— Co jednak? — zapytałem agresywnie. Wolałem pomijać wszystko, co dotyczyło mojego położenia.

— ... A jednak miałem rację, że wkrótce się spotkamy. Ależ gimnastyk z pana.

— Acha — odrzekłem bezbarwnie, ponieważ nie wziętem tego za komplement.

— Podziwiam, podziwiam sprawność. Ale i tak pan by nie wytrzymał. Czy pan wie, jak długo trwa procesja?

— Wszystko mi jedno.

— Pan nie jest materiałem na świętego.

— Dlaczego?

— Bo pan jest desperatem. Zemdlałby pan wcześniej, czy później. Dwie godziny na słońcu, nie licząc nabożeństwa! I to bez ruchu, bez mrugnięcia powieką. Karygodna lekkomyślność. A co, gdyby pszczoła pana uzgryzła?

— Dałbym sobie radę.

— Ale by pan spuchł. Już to samo by pana zdradziło. Ładnych rzeczy by się pan doigrał.

— Cudowna figura może przecież spuchnąć. To by nawet było normalne...

— Powiedziałem, że figura być może jest cudowna, nie na pewno.

Poprawiłem się na postumencie, jak kura na żerdzi. Najgorszy strach minął. Nie groziło mi już ani pobicie,



ani — zaczęło mi świtać — ujawnienie mojego występku przed ludźmi. Proboszcz będzie wolał uniknąć skandalu.

— To tylko hipoteza — stwierdziłem. — Z tą pszczołą. Nie ma żadnej pewności, żeby mnie ugryzła. Jeżeli więc istnieje szansa...

— Ale istnieje też ryzyko. Nie, drogi panie, nie bądźmy dziećmi.

Dziwaczna jest logika człowieka niewdzięcznego. Przyszedł, żeby mnie uchronić od szaleństwa. Nie wołał ludzi, nie robił skandalu, nie krzyczał nawet. Przemawiał do mnie łagodnie, wyrozumiale, starając się mnie odwieść od zamierzonego czynu bez morałów, do czego miałby pełne prawo, ale przez wykazanie mi, jak niewykonalny byłby ten czyn. Zamiast to docenić, zamiast być mu wdzięcznym, rozzuchwaliłem się tylko. Był ludzki, pobłażliwy, a tacy wydają się słabi. Kto wie, może uda mi się coś wytargować? (Zapomniałem, że argumentów przetargu nie miałem żadnych. Stałem na spalonej pozycji). Może w jakimś oszałamiającym przypływie litości zrobi to dla mnie, może mi pozwoli? Byłem jak topielec, który walczy z ratownikiem, ponieważ nie rozumie, że ratownik niesie mu ocalenie.

— Ryzyko? Nie ma żadnego ryzyka. Zdarzają się przecież takie fenomeny, derwisze, fakirzy, święci właśnie. Wszystko zależy od stanu ducha. Och, gdyby ksiądz wiedział, jaka siła jest we mnie, wytrzymam, przysięgam, że wytrzymam!

Musiąło go coś uderzyć w moim głosie, bo cofnął się o krok i nic nie mówił, przypatrując mi się tylko. Przyjąłem to za znak, że moje słowa robią na nim wrażenie. Więc posunąłem się jeszcze dalej.

— Ksiądz przecież wie, co to jest dla mnie. Cóż znaczą euforie chłopstwa, psychoza tłumu, owe pospolite, zbiorowe historie, wobec łaknienia jednostki. Czyż nie powiedziano: więcej jest warta jedna palma na pustyni, niż sto drzew w gaju oliwnym? Ksiądz przecież wie, jakie oblegają mnie diabły nieurodzaju, władcy żaru i suszy.

Czy ksiądz sam przyłoży topór do mojego pnia? Co szkodzi, że ten sam źródł, który nawadnia oliwki, ocali również mnie. Ale dla nich ogrodnik, dla nich służy przemysłne, a ja nie przeżyję, jeśli sam sobą nie wrosnę w źródło korzeniami. Spójrz księżę, jak usychają moje liście.

Ostatnie słowa wypowiedziałem stojąc, bo wyprostowałem się w miarę przemówienia, a nawet rozpostarłem ręce, balansując na wąskiej krawędzi, którą pozostawił mi święty.

— ... Zresztą czyż odbierzemy chłopstwu, czego się spodziewa? Bynajmniej. Kogo czcic będą? W swoim rozumieniu figurę z drewna, aczkolwiek, nie zaprzeczam, świętą. A w rzeczywistości nawet lepiej. Czyż nie jestem koroną stworzenia, ciałem ludzkim uświęconym stokroć bardziej od wszelkich innych stworzeń, włączając w to dzieło sztuki religijne? Nie twierdzą, że jestem święty. Ale jako wehikuł świętości przysłużyć się lepiej niż martwy posąg. Jeśli ksiądz mi nie ufa, niech ksiądz zaufa tej hierarchii.

— Dosyć tego — powiedział ostro. — Niech pan złązi i zapomnijmy o tym.

Niestety. To, co wziętem za wahanie i co mnie skłoniło do wzmożenia wysiłków, żeby go przekonać, było tylko chwilowym zaskoczeniem. Ochłonał już i zrozumiałem, że odtąd nie ma dla mnie nadziei.

— Jak to, więc ksiądz tego wszystkiego nie rozumie!? — krzyknąłem niecierpliwie, jak zawsze, kiedy nam coś wydaje się doskonale jasne, a inni nie mogą tego pojąć.

— Przykro mi, że do tego doszło. Pan przekroczył granice. Odtąd nie będę z panem dyskutował. Proszę uporządkować figurę i opuścić kościół. W przeciwnym razie zawezwę personel.

— Nie! — krzyknąłem, aż zahuczało pod sklepieniami.

Schylił się po infułę, żeby ją podnieść i podać mi ją.

Bez intencji, bo pies nie uprzedza skoku intencją, kiedy odbierają mu kość, pchnąłem świętego. Przeważył się lekko przez krawędź. Na chwilę święty przysłonił mi księdza, tam, w dole, stuknęło dwa razy, raz miękko, drugi raz twardo... i ksiądz już nie wstał. Zostałem sam na postumencie.

Zaniepokoiłem się. Przysiadłem na postumencie, opierając się rękami o gzyms, żeby zbliżyć twarz do posadzki i zobaczyć, co się stało. Ksiądz leżał na boku, z podwiniętymi nogami. Obok niego święty na wznak, z pastorałem w lewej dłoni, dwoma wyciągniętymi palcami błogosławiąc, czy grożąc. Było coś bezmyślnego w tym niezmiennym geście.

Ogarnięty coraz większą paniką zsunąłem się po filarze. Dotknąłem księdza bezradnie. Ale nawet moja panika była za mała, żeby pomieścić fakt: ksiądz, zdaje się, chyba... nie żył. Fakt wyrastał poza panikę, przechodził gdzieś jej granice, rozprzestrzeniał się poza nią, w niepojęty obszar, w obojętność.

◆

Ocknąłem się o jasnym dniu, zdziwiony, że nie obudziło mnie jak zwykle poranne chrząkanie i krzątanie pełnomocnika i że spałem tak mocno. Widocznie moje myśli przed zaśnięciem były w obrębie paniki, a moje spanie poza nią, w owej nieznannej strefie. Leżąc, oglądałem nieufnie ściany, sufit i krzesło, na którym leżało moje ubranie. Bo rzuciło mi się w oczy, że były takie same jak przedtem, ten sam układ plam na suficie, te same ściany, to samo krzesło.

Albo nie zmieniło się nic rzeczywiście, albo udawało po mistrzowsku. Jednakże, mimo dokładnych oględzin, nie zdołałem stwierdzić żadnych zmian. Rzeczy i przedmioty były te same.

Wyszedłem na dwór. Również i tam panowały dosłowność i tożsamość. Nie mówię już o tym, że ani jedno drzewo nie rosnęło gdzie indziej, niż wczoraj. Ale po zwie-

rzętach też nic nie dało się poznać. Przyroda ożywiona naśladowała nieożywioną w niezamąconej kontynuacji. Te same kury idiotki grzebały w piasku, albo spoglądały w dal, przekręcały głowy ruchami podobnymi do drgawek, połączenie nerwowości z tępotą. Ich zamyślenie kończyło się dziobnięciem zniecka w słomkę, albo w coś, co tylko przypomina ziarno. Ta sama komedia.

Nie stwierdziłem jednak obecności krowy, która, w dzień powszedni wyprowadzana na łąkę, w niedziele i święta pasła się przed domem, na postronku, przywiązany do kołka wbitego w ziemię. A dzisiaj było święto, dzień świętego Bonifacego Patrona, arcybiskupa i męczennika. Zajrzałem do parku, również i tam jej nie było. Znalazłem ją dopiero w oborze, nad pustym żłobem, gdzie porykiwała smutnie. Dalej: nie było również pełnomocnika, który zazwyczaj w niedziele i święta, nie idąc do pracy, rozkładał na progu skrzynkę ze szwarcpastą i czyścił do pucu i glancu wysokie cholewy, zanim udał się na sumę. Dzisiaj zniknął, a cholewy stały przy łóżku, nieoczyszczone. Więc niecodziennosc nie polegała na oznakach odświętności, co byłoby właśnie normalne, bo dzień był przecież świąteczny, ale na braku jakiegokolwiek rutyny, tak odświętnej jak i codziennej. To było jakieś nadzwyczajne święto.

Usiadłem na taczce obok drewnutni. Droga wzdłuż parku przejechał motocykl. Nadśłuchiwałem dalej. Od sadu biegł ktoś, co można było poznać po falowaniu porzeczkowych krzaków, bo gdyby to był pies albo prosiak, to by się przemykał dołem, przy ziemi, nie roztrącając gałązek. Powstałem z taczki. Ona ukazała się na skraju zarosli, w niebieskiej, odświętnej sukience, którą znałem (przyszła w niej na pierwsze spotkanie), ale wtedy nie przychodziła nigdy, choć przez krzaki było ze wsi najbliższej. Żałowała nawet powszedniego stroju, bała się podrzeć sukienkę, zawsze nadchodziła drogą, a potem przez bramę. W dodatku biegła, co również nigdy się nie zda-

rzyło. Tak nie śpieszyła się do mnie nigdy, nawet na najczulsze spotkanie.

— Książd się zabił! — krzyknęła już z daleka.

— No to co — powiedziałem niezadowolony.

— Co no to co... — zatrzymała się, zdumiona. — Zabity... — powtórzyła, myśląc, że jeszcze nie rozumiem.

Byłem urażony, że okazała więcej pośpiechu dla tej nowiny, niż kiedykolwiek dla mnie. Dla mnie nigdy się tak nie śpieszyła, ani nie narażała swoich sukienek. Nie mogąc jej jednak tego powiedzieć wprost, starałem się okazać jej moje niezadowolenie okrężnie, a mianowicie lekceważąc wiadomość, która jej wydawała się tak ważna.

— Co za głupstwa opowiadasz.

Ona jednak uznała, że ja w tę wiadomość po prostu nie wierzę, ponieważ jest tak niezwykła, że aż niewiarygodna.

— Acha, głupstwa! — krzyknęła tryumfalnie. — Znaleźli go dzisiaj rano, w kościele. Figura na niego spadła i zabiła. Musiał coś poprawiać na figurze przed procesją, taki był pilny, biedaczek... Wstał wcześniej od wszystkich. Chyba pójdzie do nieba — dodała po krótkim namyśle.

Odetchnąłem. Wszystko więc układało się według prawdopodobieństwa. Błogosławiona logika. Śmierć księdza interpretowano według danych, a dane były takie, że tylko wypadek podczas pracy mógł się nasunąć jako logiczny wniosek rozumowania.

— Policja jest? — zapytałem rzeczowo.

— Była. I lekarz. Już pojechali.

— Na motocyklu?

— ... I oficer jeden. Ludzie nawet z innych wsi przychodzą, żeby popatrzeć. I księża, co przyjechali na odpust. Wszyscy płaczą. Taki był pobożny, przystojny... — I zapłakała i ona, przypomniawszy sobie sceny, których niedawno była świadkiem.

Mnie ta kobieca uwaga przypomniwała o moim niezadowoleniu.

— Nie ma się co roztkliwiać — powiedziałem po męsku. — Stało się, trudno. Wszystkich czeka to samo, prędzej, czy później.

Uwaga była słuszna. Nie wspomniałem tylko o jednej różnicy. Na moim miejscu mógł ją wygłosić każdy, mogli ją wygłosić wszyscy, z wyjątkiem księdza.

Usiedliśmy razem na taczce. Oparła głowę na moim ramieniu, gładziłem ją po włosach i pocieszałem. Była tak młoda, że zapewne niewiele śmierci widziała i ten wypadek wydał jej się niezrozumiały, jak dziecku. Ja natomiast miałem lepszy punkt widzenia.

— Wszyscy umrzemy (jakby to miało oznaczać, że on nie umarł), a zresztą ksiądz ma tę korzyść, że jest nie tylko człowiekiem, ale i księdzem. A ksiądz właściwie nie umiera. Na jego miejsce przychodzi inny. I co? I też jest ksiądz, taki sam, jak tamten. Zawsze jest jakiś ksiądz.

— Ale on też był człowiekiem.

— No to co, niech będzie. Umarł tylko jako człowiek, ale jako ksiądz wcale nie. Więc jako człowiek, który był księdzem, też nie bardzo. Posłuchaj, kiedy ja umrę — powiedziałem z żalem, choć nie wierzyłem w to zupełnie — razem ze mną skończą się wszystkie moje sprawy. Z księdzem całkiem inna historia. Wszystko, czym się zajmował, zostaje. Nic się nie kończy i nie zmienia. Więc on jakby wcale nie umarł. To by dla niego była duża pociecha, gdyby żył. To znaczy, na pewno to dla niego jest duża pociecha — poprawiłem się. — Sama powiedziałaś, że poszedł do nieba. Nawet ta figura, co go zabiła, była święta.

Nie byłem pewien, czy mnie słuchała, a jeżeli tak, czy rozumiała moje wywody. Jednak to nie było dla niej najważniejsze. Gdybym je przedłożył na piśmie, nie zrobiłyby na niej najmniejszego wrażenia. Ale siedziała przy mnie, opierała o mnie głowę, mówiłem to wszystko odpowiednim tonem, to działało lepiej, niż na posiedzeniu towarzystwa naukowego, znacznie mądrzej powiedziane.

— Miał bardzo zdrowe poglądy. Był jak kucharz,

który sam jada potrawy przyrządzone dla gości, te same, można więc mieć gwarancję, że są zdrowe. Nie wszystkie, co prawda. — Bo przypomniałem sobie, że moja znajomość z księdzem zaczęła się przecież od jego intencji ożenienia mnie, uporządkowania spraw moich i jej według pobożnego prawa, a w tym wypadku nie mógł przecież mnie zachęcić osobistym przykładem. Uprzytomniłem sobie, że nie będzie mnie już molestował, że jego odejście uwalnia mnie od zagrożenia w tym względzie i poczułem do niej specjalną tkliwość. Przycisnąłem ją mocniej do siebie.

— Tam, w niebie, będzie mu lepiej... — (Nie było mu chyba źle na plebanii, ale skąd mogłem wiedzieć, jakie miał kłopoty). Lepiej... — Urwałem. Wiedziałem już, że właściwie nic nie wiem. W czasie mojej rozmowy na moje pytanie-okrzyk „a czy księdza kiedy nieśli” właściwie nic nie odpowiedział. A potem także rozmowa dotyczyła tylko mnie, obracała się wokół moich spraw. Wtedy dogadzało mi to, chętnie przyjmowałem ten układ. Nie powtarzałem mojego pytania. Uznałem za naturalne, że mówiliśmy tylko o mnie, że tylko ja się spowiadałem, krzychałem, żądałem, czegoś chciałem, albo czegoś nie chciałem. O nim ani słowa. Zrobiło mi się przykro, ale i ta przykrość miała samolubny charakter, bo przykro mi było, że już za późno, ale komu za późno? Dla mnie na pewno, bo już niczego od niego się nie dowiem.

I przyszło mi na myśl coś całkiem odwrotnego. Że to właśnie on był egoistą, nie ja. To ja, mówiąc o sobie, jemu pomagałem. Wyznając mu siebie, dawałem mu coś więcej, niż on mnie. Bo co on mi właściwie dawał? Był jak profesor, który na wykładzie powtarza to samo, co student może sobie przeczytać w domu z podręcznika, którego w dodatku ten profesor nie jest nawet autorem. Może uznał, że tak trzeba, że to jest jego obowiązkiem. Ale mnie, mnie co to obchodzi, powód, dla którego on był egoistą?

Co wiedział naprawdę? Czemu ukrywał się za księ-

dzem swoim, z sutanny robił parawan. Może gdyby mówił o sobie, nie jako ksiądz powszechny, wymienny, wieczny, dowiedziałbym się czegoś więcej. Może bym nie był tak rozpaczliwie sam.

Coś tam w nim przecież błyskało od czasu do czasu, coś poruszało się za parawanem. A może mi się tylko wydawało? Może go szukając, sam umieściłem go za zasłoną, może nawet parawan sam wymyśliłem? Byle zachować kolejność: „Szukajcie, a znajdziecie”, podczas gdy „Znajduje się, więc miejcie” byłoby prawdą.

Przyszły mi do głowy jeszcze inne warianty: „Nie ma, więc szukajcie”. „Jest, więc nie znajdziecie”. Ale cokolwiek bym chciał od niego, spóźniłem się.

— Masz rację — powiedziałem. — On umarł.



Zobaczyłem go jeszcze w dwa dni później, na plebani, gdzie leżał w otwartej trumnie, wystawiony na ostatnią cześć swoich parafian. Nie zmienił się nic, albo też zmienił się całkowicie. To znaczy — zmienił się tak całkowicie, że z największą uwagą szukałem na czym polega ta zmiana, ale sądząc po szczegółach, po rękach, po twarzy — dochodziłem tylko do wniosku, że nie zmienił się nic. I zaczynałem jeszcze raz od początku, oglądając twarz, ręce, próbując patrzeć nie tylko z profilu, ale i *en face*, o ile możliwości (udało mi się docisnąć jedynie z boku, na wysokości złożonych rąk), wciąż z tym samym wynikiem.

Nie miałem wiele czasu. Tłum wiernych wypychał mnie z pokoju, jakbym należał do tutejszych mebli. Bo wyniesiono stąd wszystkie meble, pozdejmowano widok górskiego jeziora we mgle, kozicę na skale i studium typów ludowych, a nawet klasyków malarstwa religijnego, zostawiając tylko krucyfiks i linoleum. Bzu również nie wycięto, zaglądał przez otwarte okno jak przedtem — jak przedtem już przekwitły, drobnymi, brunatnymi płatkami.



Było więc duszno — mimo okna — i hałaśliwie — mimo, że wszyscy starali się zachować ciszę — od pociągania nosami przez baby, szurania nogami, gorliwych westchnień, mrużanych modlitw i trzepania po pysku dzieci, które niczego nie chciały zrozumieć.

Wybrałem się na plebanię sam, nie chciałem się z nią pokazywać ze względu na ludzkie języki, jak tłumaczyłem, a właściwie dlatego, że gdybyśmy się pokazali razem, mogłoby to uchodzić za formę zapowiedzi, rodzaj zaręczyn — jak ja sam to czułem. Wobec kogo? Z pewnością nie wobec ludzi, którzy nic nie wiedzieli o mojej ostatniej rozmowie z nieboszczykiem. Wobec niego w takim razie? Śmieszne, już nie żył. Może więc świadomość jego śmierci nie przeniknęła mnie naprawdę, wiedziałem, że umarł, ale była to wiedza doprawdy powierzchowna, jeżeli krępowiałem się przy nim manifestować coś, co mógłby — ale jak, skoro był nieżywy? — przyjąć jako moje zobowiązanie.

Spotkałem jednak znajomych. Plebańską babę, co podawała nam podwieczorek trzy dni temu. Nie czuwała przy zmarłym, miała tego widocznie w bród kiedy tylko jej przyszła ochota, więc — wyższy stopień posiadania — wydzielala go innym, serwując księdza, jak niegdyś księdzu, nie bez kumoterstwa, bo zauważyłem, że faworyzowała niektóre baby, widocznie jej znajome, wpuszczając je poza kolejką i dając im lepsze miejsca, u wezglowia i w nogach.

Po drugiej stronie trumny stał chłop w czarnym, sukienym ubraniu, niewątpliwie świątecznym, ale z nalotem kurzu na całej powierzchni, choć co dopiero wydobyto je ze skrzyni. Takie sukno widać nie do oczyszczenia. Koszulę miał białą i krochmaloną, bez kołnierzyka, zapiętą na jeden guzik pod szyją i kapelusz czarny, który trzymał sztywno przy brzuchu. Nie poznałbym go, tak był przebrany, gdyby wciąż patrzył w dół, na umarłego. Jednak podniósł oczy i popatrzył też na mnie. Dzięki temu poznałem chłopca, który mnie podwiózł w pierwszy

dzień mojego przybycia. Wtedy byłem niewinny. A jednak wtedy nie mogłem znieść jego spojrzenia. Teraz nie krępowano mnie wcale, ponieważ nic bardziej oczywiste-  
go, jak to, że przyszedłem oddać ostatnią (czy też przed-  
ostatnią) posługę zmarłemu.

Zmarły miał trumnę solidną, dębową, jak przystało na księdza proboszcza. Z ornamentalnymi okuciami z metalu srebrnego — srebro wydaje się bardziej żałobne, niż złoto. Ale matowe, bez połysku, na skutek właściwości materiału, czy też na umyślnie, dla powagi.

Wiekło stało w korytarzu, oparte o ścianę. Wyrobione od wnętrza na uskok, po krawędzi.



W kościele było jaśniej, niż poprzednio. Nie tylko lampa oliwna paliła się przed głównym ołtarzem, ale też cztery świece koło trumny.

Tym razem nie bałem się, że mnie ktoś zaskoczy. Tutejsi odwiedzają zmarłych tylko gromadą i tylko przy świetle dziennym.

Znowu byliśmy we trzech: ja, święty i ksiądz. Sami starzy znajomi. Ale stosunki między nami układały się teraz inaczej. Nic już nie chciałem od świętego, ani święty ode mnie. Również między świętym a księdzem wszystko było skończone. Więc tylko między mną a tym ostatnim zostało coś na rzeczy.

On wprawdzie zerwał ze mną stosunki. Zresztą nie tylko ze mną. Jego relacje ze światem, odkąd spadła na niego figura, były jednostronne. To znaczy — starano się jeszcze o niego (do czasu), ale on pozostał już całkowicie obojętny, nie starał się już o nic.

Z takim zakończeniem, zarówno jego ogólnych związków jak i mojej osobistej z nim znajomości — nie mogłem się pogodzić. Nie było ono właściwe ani z jego, ani z mojego punktu widzenia.

Najpierw z jego punktu widzenia. Obcowano z nim

jednostronnie, bez liczenia na jego wzajemność. To nie było obcowanie, ale postępowanie z nim, jak z rzeczą. Jakże to starano się o niego. Myto go, obracano nim, ładowano do skrzyni.

Gdyby jednak poprzestano tylko na tej niezbędnej rzeczowości, można by jeszcze z nią się pogodzić. Ostatecznie wina była także po jego stronie (jeśli wolno mówić o winie), zachowywał się przecież z ową drażniącą obojętnością. Można było więc to traktowanie uznać za rodzaj płaskiego rewanzu. Jednakże nie poprzestano na myciu, obracaniu, ładowaniu. Urządzono rodzaj zabawy, w której manipulacja przekroczyła zakres konieczności i przybrała charakter dowolny, umyślny, niekonieczny i zakrawała na szyderstwo.

Wyobraźmy sobie, że jakiś przedsiębiorca angażuje do głównej roli aktora, byłą sławę, który na skutek nieszczęśliwego wypadku stał się głuchy, niemy, ślepy i sparaliżowany. Na co liczy? Oczywiście na to, że publiczność zabawi się bezradnością kaleki. Daje mu główną rolę wiedząc dobrze, że nie jest zdolny nawet do wykonania najpodrzedniejszej. Że skompromituje się gorzej od najpośledniejszego statysty. Jeżeli więc urządza uroczyste przedstawienie, to wyłącznie dla kpiny.

Tylko jedno może uratować nieszczęśnika: jeżeli w ostatniej chwili ktoś weźmie jego kostium i zagra jego rolę — ale wciąż w jego imieniu i pod jego nazwiskiem — tak pięknie, jakby on sam zagrał kiedyś.

Czy potem ów nieszczęśnik, niedoszła ofiara okrutnego żartu — nie będzie wdzięczny swojemu zastępcy? Doprawdy, nie wątpiłem w to.

Z mojego punktu widzenia: to prawda, on zakończył znajomość ze mną. Czy jednak miałem mu odpłacać pięknym za nadobne? Przecież był do tego zmuszony. Może nie mógł inaczej. A jeżeli on nie mógł, a ja mogłem, to prosta lojalność nakazywała, żebym zrobił co trzeba i za siebie i za niego. Ale, ponieważ teraz chodzi o mój punkt widzenia, powiem otwarcie: miałem w tym swój interes.

Odchodząc był mi dłużny. Odszedł, jako mój dłużnik. Mam na myśli nasze ostatnie (ściśle mówiąc, przedostatnie) spotkanie, kiedy to dałem mu wszystko, co posiadałem osobiście, on natomiast wykręcił się ogólnikami. Może gdyby żył, nie upominałbym się o wyrównanie długu. Sprawę można by odkładać z dnia na dzień, zawsze przecież byłoby dość czasu. Ale odszedł i za chwilę stracę go z oczu. Należało rzecz z nim załatwić, dopóki znajdował się jeszcze przed horyzontem, dopaść go, zanim zniknie doszczętnie.

Jednakże i ta ostateczność nie skłoniłaby mnie do wymierzenia sobie (i jemu) sprawiedliwości. Nikt nie lubi upominać się o swoją należność. Znalazłem się jednak w wielkiej potrzebie, w ogromnym niedostatku i rezygnować z tego, co mi się należało, byłoby głupotą.

Nie mógł mi oddać w tej samej monecie, w której wziął (milczał i nie mógł mi już nic powiedzieć). Ale można było tę monetę przeliczyć na inną. Jeżeli więc teraz żądałem od niego pewnej przysługi, a nawet jedynie jego zgody na pewną przysługę, to jako wierzyciel miałem do tego prawo. Przypuszczam nawet, że łatwiej mu było oddawać dług w postaci ekwiwalentu. Bo mówić nie jest łatwo, a cóż kosztowała go spłata w tej formie, jaką zaproponowałem? Nic, a nawet zyskiwał na tym niezmiernie.

Bo do jego korzyści, przedstawionej, kiedy omawiałem jego punkt widzenia, muszę teraz dodać co najmniej dwie. Wspomniałem już, że traktowano go jako rzecz. Ja, teraz żądając od niego spłaty tamtego długu, który on zaciągnął przedtem, jeszcze za życia, traktowałem go w dalszym ciągu jako osobę. Dając mu możliwość wypłaty, dawałem mu jednocześnie szansę przeżycia. Zaprzeczałem jego śmierci. Nie koniec na tym. Ocalałem nie tylko osobę, ale także honor tejże osoby.

Nie posądzałem go przecież o sprzeniewierzenie, o złą wolę. Zapewne, gdyby żył, sam kiedyś przyszedłby do mnie, żeby dopowiedzieć wszystko, czego mnie pozbawił

podczas owej wymiany, jakże nierównej. Jednakże śmierć mu w tym przeszkodziła i niewykonanie obowiązku odpłaty na pewno leżało mu na sercu. Każdy chce odejść z honorem, nie zostawiając po sobie urazy. Wyrównać przedtem wszelkie rachunki. Więc należało mu pomóc. Nie porzucać go na niełaskę losu — który pozbawił go przecież możliwości działania i nie rozstawać się z nim w goryczy niezłaławionych porachunków. Przy odrobinie wysiłku można było nasze sprawy doprowadzić do końca i pożegnać się z nim bez żalu. Czułem się wykonawcą tej części jego testamentu, która mnie dotyczyła, testamentu, którego nie zdążył sporządzić.

Czas już był najwyższy. Kiedy minie nocka, przyjdą na wielkie przedstawienie i będzie za późno, żeby zamienić się kostiumem. Zwłaszcza, że kostium był nieporęczny i zamiana niełatwa.

— Widzisz? — powiedziałem, odsuwając lichtarze. — Masz, czego chciałeś. Twoja dusza tam, a twoje ciało tu. Ale z tego wynika, że ciebie by ponieśli tylko na niby.



— Miałeś rację — powiedziałem, kiedyśmy się już znaleźli w polu. Już po świętym Bonifacym i pogoda się zmienia.

Nie padało, ale zanosiło się od wczoraj. Nie padało chyba tylko dlatego, że silny wiatr usuwał chmury, zanim zdążyły upuścić deszcz. Przychodziły następne, ale i z nimi uwijał się szybko i zostawało mu jeszcze dosyć energii, żeby pastwić się nad łanami zbóż, chwastami przy miedzy i gruszami polnymi. Nie zostawiał w spokoju nawet najmniejszego źdźbła i wszystko wyteżone było w ruchliwej walce o przetrwanie, w szelestach, gwizdach, w ostatecznym sprzeciwie, podczas gdy on chciał wszystko usunąć. Mimo, że na rozum nie powinno być wątpliwości co do wyniku tych zmagañ (zbożom, chwastom i gruszy przychodziła z pomocą nieruchomość korzeni) — niepew-

ność, czy tym razem się uda, niepokój zmiany dręczyły okolicę.

Nam to zajęcie się sobą żywiołów było na rękę. Gdy wojna, zbiegowie przemykają się bezkarnie. Świadkowie nie świadczą, bo działają sami. Czułem się lepiej, niż gdyby cisza i nieruchomość, a więc uwaga i dociekliwość panowały tej nocy.

Kółko u taczki podskoczyło na twardej okrągłiznie. — Poczekaj — powiedziałem i zatrzymałem się. Z gruntu wystawał spory kamień. Wyłuskałem go i dołożyłem do worka. Znalazłem ich jeszcze kilka. Chętnie rozgrzewałem się tą dodatkową pracą, bo wciąż było mi zimno, choć uprzednio wiatr nie wydawał mi się chłodny. Spociłem się w kościele i dlatego teraz odczuwałem ziąb.

— Sam rozumiesz — mówiłem kontynuując podróż — ... że pogrzeb to nie dla ciebie. Jeśli twoja dusza zbawiona, tym lepiej dla niej, ale ty kiepsko byś na tym wyszedł. Trzeba przynajmniej uratować co się da, a przede wszystkim nie kpić z ciała, które przecież niewinne, że zostało samo. Nie robić z niego idioty. Nie nosić, kiedy bez duszy. Ciebie by ponieśli jak błazna, a mnie poniosą jak króla. Chyba sam widzisz różnicę.

Co raz przejaśniało się i na chwilę okolica występowała w twardym blasku. Chmury szły szybko i nisko, ostro odrysowane od odległego szafiru, najjaśniejszego wokół księżyca. Gdyby nie nieregularność przeblysków, byłoby to podobne do latarni morskiej, to gasnącej, to zapalanej, tym bardziej, że wysokie już zboże kotłowało się nie gorzej od fal. Wtedy widziałem ciemną wyspę-park, nad którą dach zaświecił barwą cynowego żołnierza, nowego jeszcze i nieużywanego — garb wzgórze po lewej — a kiedy się oglądnałem za siebie — białą wieżę kościoła. Dalej i dookoła, w srebrzystych odległościach, nieznane mi już pola i zagajniki. Zateęskniłem za przestrzenią mojego początku. Ach, gdyby mnie jutro ponieśli tam właśnie, zamiast na cmentarz. Ale nie wypadało mi utyskiwać. „Dobre i to” — powiedziałem półgłosem do siebie.

Skończyło się pole. Przeciąłem drogę i przez szczerbaty płot do parku. Tu mniej wiało, za to szumiało stokrotnie. Taczki szły ciężko, grzęzły. Obróciłem je czepigami do przodu i ciągnąłem zamiast pchać, kawałek uciągnąłem w ten sposób, zanim zapadły się po oś i nie dały się więcej ruszyć z miejsca.

Worek, teraz dodatkowo obciążony korzeniami, za ciężki był, żeby go nieść. Wlokłem go po ziemi. Już z daleka słyszałem przez szum drobną falę chlupoczącą o łódź, mokre łąpięcia w sitowiu. Wyszliśmy na brzeg. Staw był ten sam, ale jakże ożywiony. Rozbiegane falki pędziły w różne strony, zawracały, traciły znowu kierunku, zbierały się jeszcze raz w koliste równoległe i ponawiały pogoń, czy ucieczkę w sprzecznych zagonach. Ale woda nie odbijała już nic, skłócona sama z sobą i mętna.

Wsiedliśmy do łodzi i ja odbiłem od brzegu, zanurzając żerdź coraz głębiej. Wreszcie, kiedy już nie zgrunтоваłem dna, odłożyłem żerdź. Łódź chybotąła, dryfując na toni.

— No... — powiedziałem wzruszony, jak to bywa przy rozstaniach — to by było wszystko. Już czas. Dziękuję za... — Chciałem powiedzieć: „Za wszystko”. Ale przypomniałem sobie, że on też ma mi coś do zawdzięczenia i że rachunki między nami wyrównane.

— Nie ma za co — odparłem.

Chwyciłem worek za obydwa rogi i nadniosłem na krawędź. Potem, popychając, przeważylem przez burtę. Opuszczałem, wciąż przytrzymując, dopóki woda nie sięgnęła mi po łokcie. Tak idzie się jeszcze wzdłuż peronu, kiedy pociąg powoli odjeżdża, unosząc bliską osobę.

Potem rozluźniłem uchwyt i zniknął.



Trumna okazała się za krótka.

Daremnie usiłowałem wyprostować sterczące kolana. Sterczały wciąż ponad skrzynię i wieko nie domykało się

w żaden sposób. Próbowałem leżeć na brzuchu, ale wtedy wystawały mi pięty, z tym samym dla wieka rezultatem.

Tego nie przewidziałem, chociaż przewidziałem wszystko. Przygotowałem sobie posłanie z mięty pachnącej, wywierciłem nieznaczne otwory pod liściem srebrnej palmy i położyłem u wezglowia dwie paczki papierosów, aby mi ich nie brakło, zanim wymknę się z piwniczki pod osłoną następnej nocy.

Do wieka, u wewnętrznej strony, przybiłem rączkę mosiężną od kołatki, prawdziwe arcydzieło kowalskiej roboty. Znalazłem ją we dworze. Miałem zamiar trzymać się za tę rączkę, aby wieko się nie zsunęło, kiedy mnie będą nieśli na pochyłości. Jeszcze tylko gwoździe poucinać, tuż przy główkach — i zatknąć je z powrotem w pokrywę. Tyle zachodu, tyle pracy i wszystko na nic.

Ale nie straconych zachodów żal mi było najbardziej.

Żegnaj, rdzeniu mojego życia, chwilo niespełniona, kiedy popłynę znowu — bo miałem nadzieję, że to byłoby znowu, a nie tylko wreszcie — na barkach czterech silnych tragarzy, obojętne któreś i obojętne dokąd. Choćby tylko z kościoła na cmentarz. Choćby tylko tak długo, jak długo trwa pogrzeb.

Los wziął się na mnie, czy ja sam nie stanąłem na wysokości losu. Gdy chciałem być świętym, przeszkodził mi ksiądz. Gdy chciałem być umarłym, przeszkodziło mi te głupie parę centymetrów wzrostu. Jednym i drugim chciałem zostać nie dlatego, że wiele mnie obchodził święty, czy nieboszczyk. Próbowałem ich tylko jako różnych środków do tego samego celu. Może źle wybierałem, ale właściwie nie miałem wyboru. Podejmowałem każdą sposobność i Bóg mi świadkiem, że w każdym wypadku nie szczydziłem sił.

Umarłym wprawdzie chciałem zostać tylko na niby. Ale właśnie tak należało. Tylko umarły na niby jest umarłym naprawdę, to znaczy tylko taki umie skorzystać ze swojego stanu, cieszyć się tym, co mu się należy. Nie udało mi się.



Może dlatego, że każdy może być tylko swoim własnym umarłym, a ja chciałem się podszyć pod mojego przyjaciela. Widać — ja nie byłem nim, a on nie był mną, choćby tylko przez różnicę wzrostu.

Zapewne, doczekam się kiedyś i ja, dostanę swoją własną, najwłaśniejszą trumnę. Ale wtedy będzie dla mnie za późno, jak za późno już było dla księdza proboszcza.

Nie miałem już tutaj nic do roboty. Wstałem, założyłem wieko i przybiłem je z powrotem gwoździami. Zebrałem narzędzia i ruszyłem do wyjścia. Świtało i w kościele zrobiło się szaro, jak o zmierzchu. Świt i zmierzch są tożsame, czego nie można powiedzieć o nocy i dniu.



*Requiescat in pace* — to wezwanie w trzeciej osobie liczby pojedynczej przyjąłem jak ironię. „*In pace*” — to znaczy — „w spokoju”. Nie miałem spokoju, odkąd siebie pamiętam, a kiedy go miałem, byłem niespokojny, że spokój pozbawia mnie niepokoju.

Ale uświadomiłem sobie, że to nie ja byłem tam w środku, że przeznaczone było dla kogo innego. Od dawna uważałem siebie za adresata i odwyknąć od tej myśli przychodziło mi z trudem.

Jednakże jego tam również nie było. Więc — bepańskie — obito się jeszcze parę razy uroczyście po sklepieniach i ta urozystość była jedynym pożytkiem, z jakim samo siebie skonsumowało.

Krople wody święconej stuknęły o trumnę i zaczęły się wynosiny. Czterech silnych chłopów o twarzach w słup pochwyciło trumnę i zadało ją sobie na ramiona. Baby uderzyły w podwójny płacz, z tą samą nieuchronnością, z jaką otwarcie drzwi na przestrzał nieuchronnie powoduje przeciąg. Przed kościołem grabarz otworzył pochód chwając czarnym krzyżem naturalnej wielkości. Wiatr i grabarz wydzielali sobie ten krzyż nawzajem.

Pięliśmy się pod górę, po niedrożnym zboczu. Zaczęło padać i pochód nieznacznie przyśpieszył kroku. Sapano i twarze poczerwieniały. Nie był to żaden wielki deszcz, ale pojedyncze krople zacinając ostro i ukośnie sprawiały większe wrażenie, niż na to zasługiwała czerwcową mżawka.

Na cmentarzu zmieszały się szyki, orszak, przedtem porządnie ustawiony załamał się, idący dotąd w dalszych szeregach wysforowali się naprzód, zabiegając na skróty, żeby zawczasu zająć miejsca u celu. Tłum otoczył grobowiec pierścieniem — zwartym od wewnątrz, rozrzedzonym na obwodzie. Trącano mnie i nieustannie i popychano, aż odwróciłem się i również nacierając, ale w przeciwnym kierunku, wydostałem się z okrążenia. Minąłem kilku starców i kalek — i usiadłem opodal na cokole kamiennego anioła.

Gromadka stłoczyła się, pochyliła i ucichła tak, że usłyszałem szczekanie psów z odległych zabudowań. Potem rozpięzchła się we wszystkie strony.

Odczekałem, aż staruchy i kaleki, teraz dopuszczone, nasycą się poniewczasie. Wreszcie, kiedy odpełznął ostatni niedołęga — podszedłem i ja. W kaszkiecie odwróconym na tył głowy — grabarz przykrywał płytę wieńcami z jedliny.

— Jak myślisz, co jest w środku — zapytałem, wskazując na płytę.

Spojrzał na mnie obrażony.

— Jakże, ksiądz proboszcz...

Chciałem odpowiedzieć: „Nic nie ma”. Ale przypomniałem sobie, że nie ma tu, to jest gdzie indziej i poszedłem do domu.



## SPIS RZECZY

<i>Dwa listy</i> .....	7
<i>Moniza Clavier</i> .....	17
<i>O n a</i> .....	75
<i>We młynie, we młynie mój dobry panie...</i> .....	83
<i>Nocleg</i> .....	119
<i>Ci, co mnie niosą</i> .....	125





ACHÈVE D'IMPRIMER  
LE 20 JUILLET 1970  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>)

Dépôt légal : 3<sup>e</sup> trim. 1970

ACHÈVE D'IMPRIMER  
LE 20 JUILLET 1970  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
DE MEY STEPHENSON  
PARIS (75011)

Dépot légal : 17 mai 1970

Kulturca-Paryz

24. VIII. 70

F U





**Cena 18,50 F (dol. 4; 32 sh.)**